



PIĘŚĆ

cz.I Czas zniewolenia

B. D. Walewska

Bożena Danuta Walewska

Pięść

cz. I Czas zniewolenia

Rozdział I — Boska obietnica

Ocean był wyjątkowo spokojny, jakby ostatni sztorm wysał z niego wszelkie siły. Szemrał przedwieczorną modlitwę, kołysząc się leniwie. Nawet mewy przycichły. Ciemniejącą taflę wody przecinały krwiste łuny zachodzącego słońca.

Samotny człowiek stał na krawędzi klifu zapatrzony w to boskie malowidło — niezmiennie od wieków, a zarazem inne każdego dnia. Zawstydzony wzruszeniem, jakie ten obraz w nim budził, zerknął w jedną, potem w drugą stronę, upewniając się, że nikt nie patrzy. Bezwiednym gestem odgarnął z twarzy długie włosy, próbując wygrać z wiatrem. Nie na wiele się to zdało, złośliwiec natychmiast nawiewał je z powrotem.

— „Ot, jaką zabawę sobie znalazł.” — Samotnik uśmiechnął się do swoich myśli.

Czasy młodości miał za sobą — na skroniach połyskiwały srebrne nitki, a twarz znaczyły pierwsze linie zmarszczek. Mimo to wystarczyło spojrzeć, by rozpoznać wojownika, któremu pod ciężarem miecza nie zadrzą ręce, nie ugną się kolana. Świadczyła o tym zarówno dumna postawa i spokój, jak też kocia czujność widoczna w każdym ruchu, w każdym spojrzeniu. Na silnych rękach, ogorzałych od wiatru i słońca, widniały tatuaże żmij sięgające od ramion aż po nadgarstki, na grzbietach obu dłoni miniaturowe sylwetki szarych sów — znaki przynależności, a może kaprys młodości.

Od dłuższego czasu tkwił w całkowitym bezruchu jak posąg, zapatrzony w dal, nieobecny.

— Nair? — Okrzyk rozbrzmiał nadspodziewanie blisko.

Wyrwany z zamyślenia wojownik gwałtownie odwrócił głowę, odruchowo sięgając po rękojeść miecza. Przez moment obserwował zbliżającą się młodą kobietę, po czym stanowczym gestem nakazał jej zatrzymanie się tam, gdzie była. Ona jednak zlekceważyła rozkaz i z uśmiechem na twarzy ruszyła jeszcze szybciej. Wpatrywał się w drobną postać kompletnie zaskoczony. Wreszcie skoczył w jej kierunku, wołając radośnie jak dziecko:

— Caril! Siostrzyczko! — Dobiegł, chwycił dziewczę w pól i zakręcił z nią kilka piruetów. W końcu postawił ją na ziemi, jednak nie wypuszczał z uścisku, jakby z obawy, że mogłaby zniknąć. — Nie masz pojęcia, jak się cieszę... nie masz pojęcia... — powtarzał ze wzruszeniem.

— Saendranie Nairze Karun! Twoje zachowanie niezmiennie mnie martwi. Takie rzeczy wyprawiać? Siostrę poniewierać jak jakąś wędrowną tancereczkę? — fuknęła z groźną miną, ale w jej oczach połyskiwały łzy wzruszenia.

Nair odsunął dziewczynę delikatnie, obrzucił taksującym spojrzeniem i zagwizdał przeciągle. Szybko się jednak zreflektował i spojrzał jej prosto w oczy z przeprasającym uśmiechem.

— Tak długo cię nie widziałem, Caril Karun, tak długo..., a ty z poczwarki przeobraziłaś się w kobietę, na dodatek prawdziwą piękność. Mężczyźni oszaleją na twoim punkcie. Wybacz żołnierskie zachowanie, lata tułaczki zrobiły swoje. Dobrze, że wróciłaś, będę cię musiał przypilnować, moja droga. — Pogroził jej palcem z braterską surowością, jednak twarz wyrażała coś zupełnie przeciwnego, wielką radość i poczucie

dumy.

Miał powody, gdyż szesnastoletnia Caril niezaprzeczalnie była śliczną dziewczyną. Drobną twarz otaczała burza ciemnych, nieco potarganych włosów. Wielkie, lekko skośne, niemal czarne oczy migotały jakimś chochlikowym światłem. Nawet szara, prosta sukienka z rozcięciami na bokach odsłaniającymi szczupłe łydki nie ujmowała jej czaru, wręcz podkreślała kobiece już kształty. Caril wprost tryskała młodością i energią — nie mogąc ustać spokojnie, dreptała w miejscu, podrygiwała i nie przestawała gadać, a właściwie zadawać pytania, na które Nair i tak nie nadążył odpowiadać. Patrzył na nią z wielką radością a zarazem troską. Obiecał sobie, że zrobi wszystko, by ukochanej siostry nie spotkało nic złego. Musiał być dla niej oparciem, zastąpić całą rodzinę. Kilka lat temu oboje stracili najbliższych. Ojca, króla Morovii, zabili eseńscy zakonnicy podczas audiencji. Zrobili to z zaskoczenia, mordując wszystkich obecnych w sali tronowej — nikt nie zdołał uciec. Później przetrząsnęli cały zamek. Zabijali wszystkich, dorosłych i dzieci, dworzan i służbę. Zgromadzili taką liczbę zakonnych magów, że nie sposób było się obronić. Matkę zgwałcili i uprowadzili jako brankę. Brat, Olande, zdołał uciec, ale, jak głosiły plotki, zaciągnął się na statek i kilka miesięcy później zaginął wraz z innymi na jednej z morskich wypraw.

Na koniec, tuż przed odjazdem, imperialni żołnierze podpalili stajnie, żeby uniemożliwić pościg.

Caril była wówczas małą dziewczynką. Tamtego dnia Nair zabrał ją na dłuższą, konną przejażdżkę. Już z daleka zobaczył dym nad zamkowym wzgórzem. Nakazał siostrze ukryć się w pobliskim zagajniku i czekać na jego powrót, a sam wyrwał co koń wyskoczy. Zatrzymał go tłum mieszkańców uciekających z miasta. Przerażeni ludzie opowiadali przerażające historie i doradzali, by natychmiast uciekał. Słyszając, co zakonnicy zrobili w zamku, o bestialstwie dokonanym na mieszkańcach, zrozumiał, że jego też będą szukać. Nie miał czasu na rozpamiętywanie ani rozpacz — wrócił po dziewczynkę, posadził przed sobą i pognął galopem do niezbyt odległej posiadłości eseńskiego kupca, od lat zaprzyjaźnionego z rodziną Karunów. Po paru dniach Caril, wraz z innymi dziewczętami, kapłani z sąsiedniej Sylii wyprowadzili nocą z miasta i wywieźli do zamkniętego klasztoru w górach. Nair nie był w stanie zapewnić bezpieczeństwa siostrze, sam ledwo dając radę unikać pościgu, mimo że pomagała mu miejscowa ludność. Tęsknił za Caril, ale rozumiał, że kapłani zapewniali jej ochronę. Mijały lata, a on wciąż uciekał z miejsca na miejsce, byle jakoś przetrwać. Kiedy po śmierci królowej imperium, Sylwii z rodu Edmurów, nasiliły się represje, Nair postanowił skończyć tę bezsensowną tułaczkę, skupić ocalałych wokół siebie i stanąć wrogom naprzeciw. Ludzie ściągali z całej Morovii, powiadomieni jakimś sposobem, że Karun zbiera chętnych do walki. Małymi grupkami odsyłał ich do granic Sylii, nakazując unikać głównych traktów. Pomagali przewodnicy, głównie sylscy kapłani, ale też zwykli ludzie. W skromnym, chłopskim odzieniu nie ściągali na siebie zbyt wiele uwagi. Nair podejrzewał, że robili to od dawna, gdyż ewakuacja szła nadzwyczaj sprawnie. Odczekał jeszcze kilka dni i wyruszył w ostatniej grupie. Przewodnik powiedział, że doprowadzi ich do królewskiego zamku w górach opuszczonego od ponad stulecia.

Po trzech dniach wędrówki dotarli do obozu na klifach nad Zatoką Krabów, gdzie

postanowili poczekać jeszcze dwie doby. Dziewczęta przyprowadzili kapłani o świcie ostatniego dnia. Mogły zostać w górskim klasztorze, ale Nair sam nie był przekonany, czy iść do Sylia, czy ruszyć dalej, w pustynne rejony Alierii. Tak czy inaczej to był ostatni postój na morovskiej ziemi. Nocą postanowili opuścić rodzinne terytorium i wkroczyć w gęste lasy u podnóża Pallarów. Tylko wprawne oczy i uszy Sylów potrafiły odnaleźć w nich drogę, musieli im zawierzyć, gdyż dopiero tam mogli poczuć się w miarę bezpiecznie. Imperialni unikali tych ostępów tak samo, jak górskich ścieżek. Tylko raz jakiś zaciętrzewiony żołnierz Jego Królewskiej Mości, Anvila Edmura III, spróbował zagłębić się w te lasy w pościgu za grupką Morovów, ale z tej wyprawy nie powrócił ani on, ani żaden z jego ludzi. Takim sposobem maleńka Sylia stała się oazą spokoju i bezpieczeństwa w tym okrutnym świecie.

Caril przez dłuższą chwilę milczała, z uwagą obserwując brata. Zmienił się, minęło w końcu sporo lat. W jego szczupłej twarzy nie było widać nawet śladu lęku, raczej niezłomność, a nawet zaciętość i zuchwałość. Szlachetne rysy podkreślał niezbyt długi zarost przyprószone pojedynczymi nitkami siwizny. Zapamiętała go inaczej, jednak mimo upływu lat wciąż mógł zawrócić w głowie niejednej kobiecie.

— Dlaczego ciągle jesteś sam? — zapytała bez ogródek. — Przystojny z ciebie mężczyzna, Nairze. Niejedna panna stanęłaby w zawody o ciebie. Kto wie — na samą myśl chochliki w jej oczach rozbłysły — może nawet by się o ciebie biły? — Klasnęła w dłonie, ale już po chwili na jej twarzy pojawiła się troska. — To był żart, a ja nie jestem już dzieckiem. Wiem, że każdy człowiek potrzebuje bratniej duszy u boku, ty także.

— Nie szukałem, Caril. Czasy nie sprzyjały zakładaniu rodziny, przecież wiesz — odparł z ledwo dostrzegalnym smutkiem — a teraz jestem już na to za stary.

— Mówisz głupstwa. Nie jesteś stary, a poza tym masz obowiązek zapewnić dziedzica — mówiła to już z powagą wręcz nieprzystającą do jej wieku. — Byłam przerażona, kiedy mnie oddałeś. Ciągle płakałam, nie chciałam jeść i spać, jednak z czasem przywykłam. Kiedy trochę podrosłam, kapłani wyjaśnili mi, dlaczego musiałeś mnie zostawić. Uświadomili, kim jesteś, jak ważne jest twoje życie i misja, którą stawia przed tobą przeznaczenie. Wiem o tobie wszystko, Nairze, dlatego zrobię, co tylko w mojej mocy, żeby ci pomóc.

— Już dobrze, moja ty mądralo. Będę cię słuchał jak wyroczni, obiecuję. — Podniósł dłoń, uśmiechając się przy tym szeroko. Próbował obrócić wszystko w żart, jednak w oczach ciągle czaił się smutek. — Chodźmy już, siostrzyczko. Musisz się posilić, straszna chudzina z ciebie. — Szybko zmienił temat, przygarnął ją ramieniem i mocno przytulił.

— Czy ciotka Mirie żyje? — zapytała.

— O tak. Ona jest wieczna, niezniszczalna jak Morovia. Spotkamy się z nią wkrótce, może jeszcze dziś — odparł ze szczerym uśmiechem.

Ruszyli żwawo w kierunku obozu. Przez cały czas trzymał ją mocno za rękę.

Nair rzadko opuszczał kryjówki z obawy przed królewskimi. Polowali od ponad stulecia i wymordowali setki takich jak on, jednak w kolejnych pokoleniach rodzili się

następcy. Miejscowa ludność ochraniała ich jak mogła. Byli jedyną nadzieją na odzyskanie wolności — zdolni pokonać zakonnych magów, inni, naznaczeni. Morowowie powoli dochodzili do coraz większej wprawy w ukrywaniu całych rodzin. Powstały zorganizowane siatki, trasy przerzutowe i porządnie chronione kryjówki. To działało, gdyż liczba naznaczonych powoli rosła mimo zaciekłości, z jaką na nich polowano.

W każdym patrolu królewskim było zazwyczaj dwóch albo trzech zakonników eseńskiego Kościoła Boga Stworzenia. To oni wyczuwali dar i szli za nim jak gończe psy tak długo, aż dopadli obdarzonego nim człowieka. Nie było żadnych aresztowań, sądów ni wyroków. Naznaczonego zabijano szybko i bez ostrzeżenia, gdyż zaalarmowany stawał się zabójczo groźny. Bywało, że to on wytropił ich pierwszy i czekał w ukryciu, aż się zbliżą. Wtedy szanse królewskich równały się zeru — błyskawiczny atak sprawiał, że w parę sekund kilkunastu konnych czy pieszych przestawało istnieć, dosłownie znikało. Nikt nie potrafił wyjaśnić, na czym polegała ta moc. Nie było ognia, dymu ani niczego, co dałoby się dostrzec gołym okiem. Żadnych fajerwerków i wybuchów. Nikt też nie uczył posługiwania się darem, on przychodził sam wraz z pierwszym oddechem.

Nair na zawsze zapamiętał swoje pierwsze spotkanie z królewskimi. Był wówczas małym chłopcem. Ośmiu strażników i trzech zakonnych nieśpiesznie pokonywało sawannę. Mocne konie szły stępą, niespokojnie wietrząc i strzygąc uszami, gdyż okolica roiła się od dzikich zwierząt. Podobnie zachowywali się zakonni bracia, obserwując czujnie okolicę i węsząc niczym drapieżniki. Nie wypatrywali jednak zwierząt, tylko ludzi obdarzonych magią, którzy dla nich byli jednacy z dziką zwierzyną, a może nawet gorsi.

Przerażony Nair wcisnął się do nory guźca, wstrzymując oddech. Patrol przejechał kilka metrów obok bez jakiegokolwiek zainteresowania. Chłopak odczekał i już zamierzał wyjść, kiedy nagle poczuł drgania ziemi coraz bliższe jego kryjówki. Instynktownie wiedział, że go wyczuli, choć w tak młodym wieku dar nie był jeszcze rozwinięty i niemal nieobecny. Zbliżali się ostrożnie krok za krokiem, a on to słyszał tak wyraźnie i głośno, jakby ktoś walił chochlą w garnek tuż przy jego uchu. Chłopiec zaczął odczuwać przenikliwy ból głowy, drżał ze strachu jak osika — nie jeden raz widział podziurawione zwłoki mężczyzn, zielono-szare z upływu krwi. To były ciała naznaczonych, a on też nim był. Oznajmił mu to ojciec w dniu, w którym zebrała się starszyzna, by stwierdzić obecność daru i uroczyście nadać chłopcu znak rodowy. Karunom od wieków patronowała żmija. Dodawano też drugi znak zgodny z cechami charakteru. To był przywilej matki, która zazwyczaj знаła swoje dzieci najlepiej. Nairowi podarowała małą, złotą figurkę sowy. Znaki tatuowano na obu rękach i nie zrezygnowano z tego obyczaju nawet w czasach imperium, mimo że ułatwiały rozpoznanie mężczyzn ściganych imperialnym prawem. Starszyzna Morovii twierdziła, że symbole na rękach otwierały drogę magii, wypuszczając ją na wolność, i za nic nie pozwalała odstąpić od rytuału. Wkrótce po inicjacji u większości chłopców następowała zmiana zachowania — stawali się butni, nabierali pewności siebie graniczącej z brawurą. Mogło to wynikać z samego faktu wyróżnienia, ale seniorzy rodów uważali, że tak objawiało się uwolnienie zgromadzonej siły. Tę wiedzę przekazywano z pokolenia na pokolenie i nikt, nigdy jej nie podważał. W momencie naznaczenia przydzielano więc dzieciom opiekunów, starszych

naznaczonych, których zadaniem było okiełznanie głupiej brawury, nauczenie zasad, a także szkolenie w posługiwaniu się zwykłą bronią. Nikt nie uczył, jak używać magii, to stawało się samo, instynktownie.

Tamtego dnia Nair nie miał pojęcia, w jaki sposób przywołać swoją siłę. Siedział w norze, zaciskając pięści mokre od potu i dygocząc ze strachu. Tupot końskich kopyt był już niebezpiecznie blisko kryjówki, więc chłopiec zamknął oczy i oczekując na śmierć, marzył tylko o tym, aby ci ludzie zniknęli, rozplynęli się jak mgła. Wtedy poczuł w swojej głowie wir przyspieszający z każdą chwilą. Widział coś takiego na pustyni w Alerii podczas burzy. Tyle że ta burza rozgrywała się w jego czaszce, powodując mdłości i rozsadzający ból. Usłyszał świst, wycie, jakieś odległe echo grzmotu — przyciskał do skroni zaciśnięte piąstki, czując, że dłużej tego nie wytrzyma, zwariuje albo umrze. Wtedy nastąpił wybuch, jakby głowa rozpadła się na kawałeczki. Później stracił świadomość. Nie pamiętał, jak wydostał się z kryjówki ani jak dotarł do obozu. Po wielu godzinach snu wreszcie się ocknął, choć nie wyszedł z szoku, dopóki ojciec nie wyjaśnił mu, co się zdarzyło. Następnego dnia wszystkie rodziny naznaczonych opuściły kryjówkę i pod opieką przewodników dotarły do kolejnego miejsca schronienia. Tydzień później królewscy trafili do starego obozu, otoczyli go i dokonali rzezi na zwykłych mieszkańcach. Pozostawili przy życiu tylko młode kobiety i popędzili je do miasta w pętach jak zbrodniarki. O tej masakrze dowiedział się wiele tygodni później.

— Nairze, jesteś taki zamyślony. — Niespodziewanie odezwała się Caril. — Czy coś się stało?

— Nic takiego, siostrzyczko, to tylko wspomnienia — odparł i wbrew swoim myślom uśmiechnął się szczerze. Caril była najprawdziwszym powodem do radości: młoda, śliczna i żywiołowa jak ich matka.

Usiedli przy palenisku z kamieni, by wraz z innymi powspominać stare dzieje przy skromnej kolacji. Gospodynią była Mirie, ciotka Mirie, jak nazywali ją wszyscy, nieoceniona kucharka, uzdrowicielka i bajarka. Prawdziwa skarbnica wiedzy. Uratowała i wychowała niejedno pokolenie naznaczonych. Posługując się jakimś sobie tylko znanym zmysłem, zawsze wyczuwała niebezpieczeństwo i wyprowadzała podopiecznych, ratując ich od niechybnej śmierci. Traktowała to jak coś zwykłego i nie zносиła podziękowań. Takim jak ona życie zawdzięczała większość ludzi zgromadzonych w obozie.

Po posiłku wszyscy z lubością rozkoszowali się gorącym napojem sporządzonym z palonych ziaren kawy zmielonych w żarnach wymyślonych przez Mirie. Palenie kawy też było jej pomysłem, a zaparzony z niej napój przywracał energię i rześkość.

W końcu Mirie z glinianym pucharkiem parującego napoju w dłoniach zasiadła pośród nich. Caril mrugnęła do Naira, ciesząc się tą chwilą. Opowieści ciotki były wciągające, przyprawiające o dreszcze albo wywołujące salwy śmiechu.

— Na samym początku — zaczęła kobieta — było pięciu bogów jak pięć palców jednej dłoni. Każdy z nich zbudował jakąś część świata. Ar stworzył góry, niziny, plaże, pustynie, sawannę i lasy. Brał poprzecinał ziemię rzekami i morzami. Miał artystyczną duszę, toteż dodał strumyki, wodospady i katarakty, żeby było jeszcze piękniej. Cron umieścił pod ziemią różne cudowności — metale, kamienie, kryształy, ale też gorące źródła i rozżarzone masy lawy. Hon stworzył zwierzęta, ptaki i wszystkie żyjątka morskie

i lądowe. Uman nie miał z początku żadnego pomysłu, ponieważ już wszystko zostało zrobione. W końcu zauważył, że brakowało kogoś, kto mógłby podziwiać i rozkoszować się takim dobrem. Wymyślił więc stworzenie, któremu dał boskie cechy, nazywając je człowiekiem. Pięciu obserwowało z zainteresowaniem, jak sobie radzą ich podopieczni. Po pewnym czasie spostrzegli, że człowiek poczyna sobie nazbyt śmiało. Zdobywa góry, wrywa ziemi jej skarby, powstrzymuje rzeki albo zmienia ich bieg, wycina i pali lasy. Z czasem ludzie posuwali się coraz dalej — doszło do tego, że z zazdrości o ziemię, bogactwa, kobiety czy władzę, jedni atakowali drugich. Zabójstwom i nienawiści nie było końca. Bogom nie podobało się takie działanie. Nakazali Umanowi, żeby powstrzymał swego podopiecznego albo go zniszczył. Uman ani myślał. Był dumny ze swojego tworu, podziwiał jego spryt i pomysłowość. Kiedy bogowie próbowali na własną rękę pokazać człowiekowi, gdzie jego miejsce, Uman wszczął bunt, stając przeciw braciom. Rozpętała się wojna bogów niszcząca dla świata i wszystkich jego stworzeń. Ar, najbardziej miłociwy z całej piątki, próbując uratować świat, rozrzucił bogów po całym wszechświecie. Palce jednej dłoni zostały rozerwane. Świat podupadał niszczonej pazernością ludzi. Wykorzystując dary Umana, rozum i przemyślność, tworzyli coraz lepszą, skuteczniejszą broń, by móc zabijać i grabić. — Mirie westchnęła i umilkła.

— Co było dalej? Dlaczego bogowie tego nie przerwali? — Niecierpliwie dopytywała Caril.

— Tylko Ar myślał nad tym. — Kobieta podjęła opowieść. — Próbował zwołać braci i pogodzić ich, ale nie usłuchali. Byli zbyt dumni, jak to bogowie. Wtedy wymyślił inny sposób. Istnieje przepowiednia wypowiedziana ponoć przez samego Ara:

„Kiedy palce jednej ręki odnajdą się i zacisną w pięść, na ziemi znów zapanuje porządek rzeczy. Szukajcie ich wśród boskich okruchów, które rozsypałem po świecie”.

Rozdział II — Palce jednej dłoni

Karawana wędrowców przemierzała pustynię, poganiając jednogarbne wielbłądy do galopu. Alierzycy nie bali się zapuszczać w jej niezmierzone obszary. Robili to od stuleci, choć pochłonęła niejedno życie. Nie budowali domów, nie zakładali wiosek ani miasteczek, jak to było w zwyczaju innych nacji. Tak po prawdzie, to Aleria mogła poszczycić się tylko jednym wielkim miastem. Hara, stolica państwa, w której niegdyś mieściły się siedziby wezyrów, szejków i wielki pałac szachinszacha, podupadała jednak coraz bardziej. Kraj został podbity i złupiony ponad dwa stulecia temu. Eseńscy królowie imperium w swojej łaskawości pozwalali, by poszczególnymi prowincjami nadal zarządzali szejkowie. Ba, pozwalali nawet na pozostawanie szacha w głównym pałacu, jednak wszelkie poczynania i choćby najmniejsze próby buntu były pilnie śledzone i tłumione z największym okrucieństwem. Tak działo się we wszystkich podbitych krajach i prowincjach. Dlatego większość szejków wolała życie na pustyni z dala od wścibskich oczu i uszu królewskich szpiegów. Opuszczone pałace niszczały, a ludność biedowała.

— Panie! — krzyknął ktoś jadący z tyłu. — Zatrzymajmy się, mój dromader skaleczył nogę.

Sahan jednak nie słuchał, nie było czasu na postój. Nie teraz. Poprawił chustę na twarzy i popędził wierzchowca. Pozostali szybko dorównali mu kroku. Maruder musiał poradzić sobie sam. Czwarty dzień z rzędu pędzili na złamanie karku, żeby tereny pustynne opuścić jak najszybciej. W stolicy oczekiwano na nich, a w szczególności na dwóch podopiecznych, których Sahan od osiemnastu lat miał pod swoją kuratelą.

Chłopcy byli bliźniętami, dziećmi szachiszacha Marada Harima i Laisy, siostry Sahana. Po śmierci męża kobieta uciekła z dziećmi na pustynię. Przemierzyła pół Alerii, by dotrzeć do brata. Towarzyszyło jej czterech mężczyzn. Dzieci podróżowały w chustach na plecach jeźdźców. Maleństwa przyszły na świat ledwie kilka dni wcześniej, a Laisa, mimo wyczerpania porodem, karmiła je w drodze piersią. Mieli niewiele wody i żywności, toteż mężczyźni zadbali, żeby to ona korzystała najwięcej z tych zapasów. Buntowała się, ale byli nieugięci, gdyż musiała zachować siły, by wykarmić malców i utrzymać ich przy życiu. Kiedy w końcu dotarli do szejkanatu Beria, Laisa była na skraju wyczerpania. Wszystkie siły zebrała, swoje życie postawiła na szali, byle tylko dowieźć chłopców zdrowych i całych. Zaniesiono ją do namiotu, otoczono najlepszą opieką, a uzdrowiciele zrobili, co tylko zdołali, ale Laisa osłabiona drogą i upływem krwi zmarła w nocy. Przed śmiercią opowiedziała bratu, co zdarzyło się w pałacu. W dniu, w którym bliźnięta przyszły na świat, ich ojca Marada Harima zabrali królewscy, rzekomo na spotkanie z samą królową. Kilka dni później głowa władcy została zatknięta na drewnianym drągu przed bramą pałacu. Był silnym magiem, mimo to kilkunastu zakonnych nie dało mu szans. Wierni słudzy wyprowadzili Laisę i dzieci natychmiast po zniknięciu Marada, a później pomogli dotrzeć do Sahana. Po śmierci siostry znalazł dla Ahima i Kali mamkę, a także kilka opiekunek. Nie wziął sobie żony ani nie spłodził własnych dzieci, starając się zapewnić siostrzeńcom wszystko, co tylko było możliwe na

pustyni. Postanowił zastąpić im ojca i matkę. Nauczył arytmetyki, geografii, a przede wszystkim historii własnego narodu, a nałożnice udzielały im lekcji śpiewu i tańca. On szkolił w sztuce walki, zaś kobiety w sztuce uwodzenia. Minęły lata, chłopcy dorosli i pewnego dnia ujawniły się w nich zdolności magiczne odziedziczone po ojcu. Należało ich zawieźć jak najprędzej do Hary, żeby na czas dokonano inicjacji, inaczej pojawiająca się siła mogła być groźna dla nich samych jak i otoczenia. Sahan zauważył to pewnego ranka, kiedy zamierzał pokazać chłopcom ziemię, z której się wywodzili, a ich z kolei przedstawić szejkom. W końcu jeden z nich miał wkrótce zostać władcą. Według starszeństwa powinien to być Ahim, ale Sahan nie podjął jeszcze decyzji, nadal uważnie chłopców obserwując. Zastępował im ojca, zatem to on musiał zdecydować. Tymczasem rządził w ich imieniu, choć niełatwe było to zadanie z dala od stolicy, z niewielką liczbą ludzi. I choć królewscy raczej nie zapuszczali się w rejony pustynne, to on także miał trudności ze zwołaniem szejków w razie potrzeby. Od czegoś trzeba było zacząć. Plan był taki, aby najpierw odwiedzić najbliższe szejkanaty, zabierając po kilku ludzi z każdego z nich. Królewskim dzieciom nikt nie odmówiłby ochrony ani pomocy. Po zebraniu większego oddziału zamierzał ruszyć wzdłuż Prony, jedynej rzeki przecinającej Alierię, do odleglejszych prowincji. Sprawdzić, jakie są nastroje, czy szejkowie dbają o przygotowanie i wyszkolenie młodych wojowników, czy myślą o swoim kraju, czy raczej wyłącznie o handlu i pomnażaniu swoich dóbr. Przygotowywał się do tego od kilku tygodni. Stado jednogarbnych wielbłądów czekało nieopodal wraz z trzydziestoosobowym oddziałem ludzi pustyni.

— Wuju, czy będę mógł dosiąść wielkiego dromadera? — zapytał Ahim.

— To nie ty będziesz na nim jechał — oświadczył Kala, energicznie potrząsając głową.

— Jak to nie? Wuju, ja jestem starszy, większy i silniejszy. Kala mógłby spaść. Sam mówiłeś, że pojedę na nim, kiedy dorosnę. Kala jest głupcem i niedołągą. — Ahim po raz pierwszy w życiu okazał złość i pogardę wobec brata.

Obaj przypominali Sahanowi Laisę z tymi wielkimi, brązowymi oczami i niesfornymi lokami, których nijak nie dało się przyglądzić. Obaj drobni, o szczupłych twarzach i wystających kościach policzkowych. Różnica polegała tylko na tym, że Kala także charakter miał po matce. Zwykle łagodny, z uśmiechem i rozmarzeniem na twarzy, zupełnie odwrotnie niż energiczny i zadziorny Ahim, który swój temperament odziedziczył po ojcu, co było widać w ruchach, mowie, a także złości okazywanej z byle powodu, za co wielokrotnie musiał odbywać kary nakładane przez Sahana. A to doglądać stada kóz, a to czyścić zagrody dla wielbłądów, ale najgorsze było usługiwanie bratu. Kala wcale tego nie chciał, wiedząc, jak upokarzające dla Ahima było bieganie z naręczem ubrań albo dzbankiem wody, czy miską owoców. Sahan był jednak nieugięty, mając nadzieję, że w ten sposób okiełzna naturę chłopca. Przy okazji Kala też się czegoś uczył, mianowicie władania. Musiał pokonać nieśmiałość, wydawać rozkazy, stawiać coraz to wymyślniejsze żądania. Jeśli próbował brata oszczędzać, kara Ahima zaczynała się od nowa. Im bardziej Ahim się buntował, tym dłużej trwała nauka pokory. To przynosiło efekty, gdyż sprytny chłopak po kilku dniach łagodniał i wszystko wracało do normy, przynajmniej na jakiś czas. To właśnie przysparzało opiekunowi trudności

z wyborem: Kala był mądry, ale nie dość władczy, Ahima cechowała inteligencja i pomysłowość, jednak nie lubił się uczyć, za to władzy pragnął zbyt mocno. Sahan miał nadzieję, że kiedy zobaczą prawdziwe życie, biedę i ciężką pracę ludzi, a także zrozumieją, czym jest niewola, obaj dorosną i spoważnieją. Patrzył więc na ich kłótnię o wierzchowca ze spokojem. Nie pierwsza awantura, nie ostatnia.

Ahim, przekonany do swojego prawa wynikającego z racji starszeństwa o całe dwa kwadranse, podszedł do wielbłąda i sprawnie usadowił się w siodle, ale Kala nie ustąpił i usiłował go ściągnąć. Przy całej łagodności chłopcu nie brakowało jednak uporów. Wtedy Ahim przechylił się, jedną ręką przyciągnął głowę, a drugą ścisnął palcami podbródek brata i wbił wzrok w jego oczy. Kala zbladł, zwiotczał i upadł na ziemię, tracąc świadomość. Sahan skoczył, w jednej chwili zgarnął Ahima z siodła i natychmiast ukarał, wymierzając mu siarczasty policzek.

— Nigdy więcej tego nie rób. To twój brat, krew z krwi, i nie waż się go krzywdzić w żaden sposób.

Ahim był przerażony tym, co zrobił. Błady i drżący poklepywał Kalę po twarzy i spryskiwał wodą.

— Przepraszam, braciszku. Panie, ja nie chciałem zrobić mu nic złego, to samo tak jakoś wyszło. Wstąpiła we mnie wściekłość i poczułem, że muszę ją z siebie wyrzucić, inaczej mnie rozsadzi. Patrzyłem Kali w oczy i myślałem „zgiń, zniknij”. Wtedy usłyszałem głos matki. Krzyczała w mojej głowie: „Nieeee! Nieeee!”. Oprzytomniałem, dostrzegłem twarz brata i złość natychmiast odeszła, ale było już za późno.

— Nigdy więcej, Ahimie, rozumiesz? Patrz mi w oczy! — rozkazał Sahan. — Nigdy więcej nie rób czegoś, po czym musiałbyś powiedzieć — za późno! Czy mnie dobrze rozumiałeś? — Opiekun miał przy tym taką dzikość i obcość w oczach, że chłopak porządnie się wystraszył, aż zadygotał. Nie mógł wymówić słowa, kiwnął więc tylko głową, co miało znaczyć, że wszystko doskonale rozumiał.

— Pakujmy się, musimy ruszać! — rozkazał dość szorstko szejk, zmieniając plany. Już wiedział, że nadszedł czas na spotkanie chłopców z kapłanami. Musieli wyruszyć do Hary jak najszybciej, żeby mądrzejsi mogli im wyjaśnić, jak potężną dysponują siłą.

Wybrał kilkunastu mężczyzn, najsprawniejszych wojowników, jako eskortę. Karawana wyruszyła, jak tylko napełnili juki suszonym mięsem i pszennymi plackami, a bukłaki wodą. Prowadził Sahan, a tuż za nim pędzili obaj chłopcy. Pozostali trzymali się nieco z tyłu, by w razie potrzeby podjąć walkę w obronie dzieci szachinszacha. Wyruszyli w piętnastu, ale jeden zmuszony był zawrócić. Po sześciu dniach niemal nieustannej jazdy, którą tylko wielbłądy zniosły w niezłej formie, wydostali się z pustyni. Dotarli do pierwszej oazy na szlaku, gdzie mogli skorzystać ze skromnej kąpieli i nacieszyć smakiem zimnej, czystej wody, cenniejszej w tych okolicach od złota. Z radością obmyli ciała z potu i kurzu, po czym zasiedli w cieniu nielicznych karłowatych palm do skromnego posiłku. Wreszcie mogli odpocząć i odetchnąć z ulgą, gdyż najgorsze mieli już za sobą. Jeszcze tylko jeden dzień i dotrą do Hary. Wielbłądy zamienili na konie kupców. Zamieszkujące w pobliżu oazy plemiona doglądały pozostawionego przez wędrowców dobytku: koni, wielbłądów, czasem też towarów. Dzień i noc strzegli studni, by nikt nie zanieczyścił lub nie zatrzał wody. Wiedzieli, które zwierzęta wypoczęły na tyle,

żeby wyruszyć w ciężką drogę przez pustynię. Karawany kupców całkowicie zdawały się na ich osąd, czasem korzystając z pomocy miejscowych przewodników. Zapłatą była żywność, odzież, leki, błyskotki, ale też broń ukryta w zwojach tkanin czy beczkach z solonymi rybami. Sahan uznał, że w kupieckich strojach, z dodatkowymi końmi objuczonymi towarem, będą bezpieczni. Handlarze poruszali się bez przeszkód i mogli wjechać do miasta, nie wzbudzając podejrzeń.

Karawana dotarła wreszcie do Hary, zatrzymując się na wzgórzu w niedalekiej odległości od murów. Chłopcy patrzyli jak zahipnotyzowani. Miasto lśniące bielą piaskowca, złotem wieżyczek i zielenią licznych ogrodów, wprawiało w zachwyt wszystkich podróżnych. Dopiero z bliska uwidaczniał się postępujący nieład i zniszczenie. Królewscy strażnicy przepuścili ich dość szybko, pobieżnie przeglądając juki z towarami. Sahan, stateczny, dobrze ubrany, zadbany mężczyzna, wzbudzał zaufanie. Chłopców przedstawił jako swoich synów przyuczających się do kupiectwa. Pozostali towarzysze stanowili grupę drobnych kupców oraz najemnych strażników zatrudnionych do ochrony ludzi i towarów. Nie musieli specjalnie odgrywać swoich ról, gdyż niemal każdy Alierczyk na co dzień trudnił się handlem, takie były czasy, a sprawne posługiwanie się bronią też nie było im obce. Przemierzali ulice miasta, z obrzydzeniem patrząc na sterty śmieci, tabuny szczurów, zapchane rynsztoki i kruszejące mury domów. Zsiedli z koni na rozległym dziedzińcu domu wezyra. Zanim Sahan dotknął kołatki, drzwi otworzyły się na oścież, a stojący w nich mężczyzna gestem zaprosił do środka. Był wysoki i chudy. Słabe włosy zgarnął do tyłu, odsłaniając wysokie czoło i mądre, współczujące, szarozielone oczy.

— Witam was, szlachetni. Oczekiwałem waszego przybycia — powitał ich dość oficjalnie, pochylając się w ukłonie przed Sahanem i chłopcami.

— Otworzyłeś nam drzwi, zanim zapukałem — zdziwił się szejk, skinieniem głowy odpowiadając na powitanie. — Nie zapowiadaliśmy swojej wizyty.

— To dłuższa historia. Wiem, panie, kim jesteście. To wielki zaszczyt poznać szwagra i dzieci szachinszacha Marada. — Ponownie złożył niski, pełen szacunku pokłon. — Pokróćce powiem, że o waszym przyjeździe uprzedziła mnie wizja, ale o tym później. Teraz czekają na nas ważniejsze sprawy, rzekłbym, naglące.

Natychmiast zabrał bliźniaków i odszedł z nimi, pozostawiając zdumionych mężczyzn w wielkiej sali pełnej złota i przepychu. Jednak i tu widać było ślady postępującego zubożenia. Jedwab na poduszkach i otomanach był stary, wyblakły i poprzecierany. Filiżanki, w których podano im herbatę, miały na sobie wyszczerbienia i rysy. W czasach świetności takie rzeczy uchodziłyby za obraźliwe dla gości. Ród wezyra został wymordowany wiele lat temu za „jątrzenie i podżeganie do buntu”. Taki wyrok odczytano, wieszając publicznie wezyra Karima, jego żonę Asanę i czwórkę ich dzieci, z których najmłodsza Tija miała zaledwie trzy latka. Krewni przekazali pałac nielicznej grupce kapłanów, którzy ocalili po powstaniu wywołanym przez Karima. Ich świątynia została obrócona w perzynę, a większość duchownych wyrokiem królewskim stracono za pomocnictwo wezyrowi. Pozostali wrócili po pewnym czasie i w przebraniu służby zamieszkali w pałacu.

Chłopców poprowadzono korytarzami, a później schodami w dół. Po niedługim czasie znaleźli się w dużej, wysokiej na kilka metrów rotundzie z małymi oknami. W pomieszczeniu panował półmrok i chłód, ale bracia zdołali dostrzec kilku kapłanów w długich, białych galabijach. Nikt nie odzywał się ani jednym słowem. Położyli ich na podłodze, pośrodku pięcioramiennej, złotej gwiazdy, głowami do siebie. Jeden z kapłanów pochylił się nad nimi i kładąc lewą dłoń na czole Ahima, a prawą Kali, zaczął wymawiać głośno i wyraźnie słowa w jakimś nieznanym, dziwnym języku. Po chwili w pomieszczeniu zapanował nieprzenikniony mrok. Słowa płynęły nieprzerwanie, wypowiedane zgodnym chórem przez wszystkich obecnych. Gwiazda pod plecami chłopców rozżarzała się powoli słabym, stale narastającym światłem, aż w końcu promienie wystrzeliły czerwienią, przenikając przez ich ciała. Obaj mieli świadomość wszystkiego, co się działo, jednak byli jak sparaliżowani, niezdolni do żadnego ruchu. W promieniach ukazała się olbrzymia, bezpalca dłoń, do której zbliżały się płynące w powietrzu postacie ludzi. Nie potrafili rozpoznać żadnej z nich, jednak dwie były niemal identyczne, zaś trzy pozostałe różniły się właściwie wszystkim. Między nimi przebiegały myśli i obrazy tak szybko, że nie sposób było ich dostrzec ani zapamiętać. Postacie, dobijając do otwartej dłoni jak do przystani, zmieniły się w idealnie pasujące palce. Wtedy potężna dłoń zacisnęła się w pięść, zamigotała i zniknęła, światło bijące od podłogi zgasło, a w pomieszczeniu znów zapanował półmrok.

— Wstańcie! — Usłyszeli kategoryczne polecenie. — Wszystko, co ujrzeście, dotyczy waszej przyszłości i zostanie spełnione. Co oznacza ta przepowiednia, musicie zrozumieć sami — kontynuował kapłan. — Otrzymaliście moc, która już się ujawniła, ale korzystajcie z niej ostrożnie i tylko wtedy, kiedy będzie to konieczne. Zdobycie pełnej kontroli przyjdzie z czasem. Podczas inicjacji zapewniłszy wam ten czas, blokując możliwość użycia pełnej siły. Blokada powoli będzie zanikać, dając wam szansę na poznanie odziedziczonych umiejętności. Nie odpowiem na pytania o istotę mocy, gdyż jej nie znam. Mężczyźni z waszego rodu potrafili kontrolować umysły, poddawać je swojej woli, napełniać smutkiem i radością. Byli też tacy, którzy dysponowali żywiołami. Jedni byli silni, inni słabi. Nie wszyscy wykorzystywali moc w słusznej sprawie i stawali się tyranami. Kapłani żywią nadzieję, że wasza matka nie na darmo zapłaciła najwyższą cenę, a wy ten dług spłaciecie.

Inicjacja była zakończona, zatem pozostało wrócić na górę do komnaty, w której czekał Sahan i reszta oddziału. Opiekun niecierpliwie ruszył w ich kierunku.

— Pokażcie się po tej przemianie. Macie takie poważne miny, jakby kapłani cały świat położyli na waszych barkach — roześmiał się, poklepując przybranych synów.

Faktycznie wyglądali na wystraszonych i dumnych jednocześnie. Kapłan podszedł do Sahana, wziął go pod ramię i odprowadził na bok.

— Muszę ci opowiedzieć co nieco o młodzieńcach. W czasie inicjacji ujawniła się wizja, choć nie do końca ją rozumiemy. Taka sama nawiedziła mnie jakiś czas temu: zaciśnięta pięść, a jej częścią prawdopodobnie będą oni. Strzeż ich jak oka w głowie, gdyż mogą okazać się ważni w swoim czasie, bardzo ważni. Mam złe przeczucia, może nie

wracajcie na pustynię.

— Dokąd mamy się udać?

— Tego nie wiem i nie chcę wiedzieć, dobrze się nad tym zastanów i zdecyduj.

Tego samego dnia wyjechali z miasta zachodnią bramą, kierując konie w stronę gór Sylii. Sahan uważał, że tam będzie najbezpieczniej. Znał Sylów, to byli twardzi i mądrzy ludzie, choć ich również zagarnęło imperium. Jednak w wysokie partie gór królewscy raczej się nie zapuszczali.

Szejk przekazał ludziom, żeby zachowywali się spokojnie i nie wzbudzali podejrzeń, toteż puścili konie lekkim kłusem wzdłuż muru. Rozglądali się dyskretnie, otaczając chłopców ze wszystkich stron. Ledwie dotarli do wschodniej bramy, kiedy świsnęły strzały. Jedna z nich utkwiała w szyi Ahima. To był mistrzowski strzał oddany z murów miasta. Chłopiec zakołysał się w siodle, puścił wodze i zsunął z siodła. Sahan natychmiast zeskoczył z konia, zdołał chwycić spadającego chłopca i z pomocą innych posadził go z powrotem. Sam wciągnął się za plecami chłopca, objął go wpół jedną ręką, w drugą zbierając wodze. Na swojej dłoni poczuł ciepło, coraz więcej lepkiej krwi spływało po piersi chłopca. Łucznicy z murów nie próżnowali, jednak kolejne strzały odbijały się od jakiejś niewidzialnej osłony. Sahan spojrzał na Kalę. Twarz chłopca była blada i spocona, oczy wybałuszone, a na szyi rysowały się grube, nabrzmiałe z wysiłku żyły. To on musiał stworzyć osłonę i utrzymywać ją, wkładając w to wszystkie siły.

— Synu, uciekaj! — wrzasnął Sahan, kopniakami zmuszając jego konia do biegu. Wyrwany z letargu chłopak zadrżał z przerażenia, jednak mocno uchwycił lejce i ruszył galopem. Pozostali popędzili za nim. Gardła ścisnął przejmujący żal, głowy pękały od natłoku myśli, ale nie było czasu na rozpamiętywanie. Nikt nie zadawał pytań, bo i nikt nie umiałby udzielić odpowiedzi. Tylko w oczach i twarzach jeźdźców pojawiła się nienawiść. Zacięte usta przyrzekały wyrównanie krzywd. Rachunki trzeba płacić. Ci, którzy wzięli zamach na młodziutkie życie następcy tronu, zapłacą setkami, tysiącami żyć.

Rozdział III — Spotkanie

Konie gnały na złamanie karku niemal dwie godziny. Z traktu zjechali tuż za miastem. Kopyta zwierząt grzęzły w piachu do połowy pęcín, co utrudniało ucieczkę, ale też skutecznie maskowało ślady. W oddali widać było szerokie na pięćset sążni pasy gajów oliwnych. Przecinała je rzeka, nad brzegiem której stały równe rzędy skromnych chat z bambusowego drewna. Dachy pokryte trzcina, pociemniałe ze starości, gdzieniegdzie świeciły dziurami. Widać, że wioska została opuszczona dawno temu. Poza pasem drzew wił się trakt prowadzący w głąb Alierii. Karawany kupców wędrowały nim aż do początków pustyni. To nie kupcy jednak przepędzili ludzi z wiosek, a żołnierze stacjonujący w Harze. Oddziały zwiadowców wpadały nocami, grabiąc i plądrując. Brali wszystko, co wpadło im w ręce. Wyciągali z domów dziewczęta, a nawet zamężne kobiety, wyprowadzali za chałupy i gwałcili, a potem odjeżdżali, nie bacząc na to, ile tragedii pozostawiali za sobą. Ludzie zabierali swój skromny dobytek i uciekali w głąb kraju, wioski opustoszały, nikt nie oczyszczał kanałów doprowadzających wodę do upraw. Pola zarosły chwastami, drzewa oliwne i figowe zdziczały z czasem, rodząc marne owoce, bananowce poschły. Tylko rzeka toczyła swój nurt niestrudzenie jak zawsze, od wieków. Prona zaczynała swój bieg na dalekiej północy, poza granicami Alierii. Nikt nie zapuszczał się w tamte rejony. Tereny były dzikie i niedostępne, a kilka karawan kupieckich, które podjęły ryzyko, mimo przyzwoitej ochrony najemników zaginęło bez wieści. Rzeka przepływała przez całą Alierię, przecinając ją niemal na pół, by wschodnim krańcem Esenii dotrzeć do oceanu. Jedyne żyzne ziemie ciągnęły się po obu jej brzegach. Dalej przechodziły w połacie pokryte trawami i drzewkami palmowymi o karłowatej budowie. Pozostałe tereny Alierii pokrywała pustynia.

Jeźdźcy długi czas poganiali konie do galopu, jednak z obawy, by nie padły, musieli w końcu zwolnić.

Sahan trzymał się blisko rzeki, żeby móc od czasu do czasu napoić konie i napełnić bukłaki. Rozległe, płaskie przestrzenie dawały niewielkie poczucie bezpieczeństwa, nikt nie mógł się zbliżyć niezauważony. Podróżowali więc dość wolno, dając wytchnienie zwierzętom. Panowała kompletna cisza, choć twarde dusze krwawiły. Sahan od pierwszej chwili zdawał sobie sprawę, że Ahim nie żyje, mimo to niestrudzenie trzymał go przed sobą. Dopiero dwie godziny później, czując, że ciało wymyka się z odrętwiałej ręki, zarządził postój. Konie były na skraju wytrzymałości, oni zresztą też. Wykorzystali skupisko niewielkich, zwietrzałych skałek dających odrobinę cienia oraz możliwość ukrycia ludzi i zwierząt. Sahan opuścił ciało Ahima na ziemię. Nie mogli już nic dla niego zrobić, niczego ofiarować, poza żałobą i pochówkiem. Jednak skalisty grunt nie nadawał się do wykopania grobu, a padlinożercy dopadliby je natychmiast. Owinęli zwłoki płótnem znalezionym w kupieckich jukach z nadzieją, że odpowiednie miejsce wkrótce się znajdzie. Później przygotowali skromny posiłek, trochę odpoczęli, umocowali ciało

Ahima na grzbiecie wierzchowca i w milczeniu wyruszyli w dalszą drogę. Właściwie od samej Hary wśród członków grupy nieprzerwanie panowała cisza. Zahartowani trudnym życiem i ciągłą walką mężczyźni nie potrafili wyjść z szoku. Mieli przecież chłopców strzec i choć wiedzieli, że nie sposób było zapobiec tej zbrodni, to w głębi duszy czaiło się poczucie winy. To nie mógł być przypadek. Nawet królewscy nie atakowali karawan kupieckich bez powodu. Ktoś musiał donieść o obecności dzieci szacha w mieście albo zostali rozpoznani. Nikt nie zatrzymywał ich przed wyjazdem, strażę pozwoliły spokojnie opuścić mury tylko po to, żeby zaatakować tuż za nimi? Może Esenowie bali się rozruchów w mieście, gdyby wyszło na jaw, że zamordowano synów władcy, ostatnich potomków rodu Harimów. We wszystkich głowach leży się pytania, na które brakowało odpowiedzi.

Przemierzyli w tym ponurym nastroju kawał drogi. W oddali majaczyły już strzeliste szczyty Pallarów, najwyższych gór, o jakich słyszał Sahan. Nie znał dróg, nie miał pojęcia o wspinaczce, a przy tym obawiał się o swoich ludzi przyzwyczajonych do żaru słońca i pustyni, ale zupełnie nienawykłych do niskich temperatur, śniegu i lodu. Niektórzy nigdy wcześniej nie widzieli zimy. Zdarzały się zimne noce na pustyni, nawet bardzo zimne, ale doświadczały tego wyłącznie plemiona wędrowne mieszkujące na jej obrzeżach. W wysokich górach Sylii zima panowała niepodzielnie przez siedem miesięcy. Alierscy wojownicy nie byli na nią przygotowani. Sahan spojrzał na nogi jadącego obok Kali i widok gołych stóp w sandałach przybił go jeszcze bardziej. Chłopak kiwał się w siodle ze spuszczoną głową jak zbity pies. Ahim był z nim od zawsze w każdym momencie życia. Sahan wiedział, że śmierć brata na długo pograży go w bólu i tęsknocie, choć jako Alierczyk, syn szachinszacha i następcy tronu zaciśnie zęby i nie będzie okazywał rozpacz. Jako przybrany ojciec uczył chłopców tego, co przystoi władcy, jednak trzymając w objęciach ciało Ahima, nie umiał odsunąć bólu, wściekłości i żądy zemsty. Laisa, powierzając mu chłopców, wierzyła, że nigdy nie dopuści, by ktokolwiek skrzywdził jej dzieci. Zawiódł ją, zawiódł Ahima i Kalę, ale najbardziej samego siebie.

— Wujku, dlaczego? — Kala zadał to pytanie głosem tak zbolałym, że w oczach Sahana pojawiły się łzy. — Przecież kapłani mówili, że przepowiednia musi zostać spełniona. Ona dotyczyła nas obu. Czy oni kłamali? Dlaczego to Ahim zginął, a nie ja? Co dalej? Wuju, co dalej mam robić? — Sypały się pytania uwolnione po wielu godzinach milczenia.

— Synu... — zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle. Przełknął łzy i z trudem opanowując drżenie głosu, kontynuował: — Nie umiem odpowiedzieć na twoje pytania. Śmierć zaskakuje nas za każdym razem bezlitośnie. Jest okrutna, pozbawiona sensu, odziera z nadziei, pozostawiając jedynie żal albo złość. Bliscy odchodzili i zawsze tak będzie, niezmiennie, do końca świata. A przepowiednia? Otóż z nimi od zawsze było tak, że nikt nie potrafił do końca wytłumaczyć ich znaczenia. Musi się spełnić, twierdził kapłan, ale nie dodał w jaki sposób, gdzie ani kiedy. Masz przed sobą zadanie i na nim musisz się teraz skupić. Otrzymałeś dar magii, jednak nie poznałeś go jeszcze i nie umiesz nad nim panować. Wykorzystaj każdą chwilę, aby to zbadać i nauczyć się pełnej kontroli. Żaden z nas nie poprowadzi cię za rękę, gdyż jesteśmy zwykłymi ludźmi i nawet nie

potrafimy wyobrazić sobie, czym jest magia. Być może wśród Sylów znajdziemy dla ciebie nauczyciela. Soją przed tobą wyzwania, być może trudniejsze, niż ci się wydaje. Pamiętaj, że zawsze będę przy tobie. Razem zrobimy wszystko, żeby pomścić śmierć naszych bliskich. — Chwycił dłoń chłopca i uścisnął, okazując mu swoje oddanie i wielką miłość.

— Dziękuję, wujku. Mam tylko ciebie, od teraz mam już tylko ciebie. — Kala otarł płynące po policzkach łzy, ponieważ dostrzegł cel, a z nim nadzieję.

Jeden z mężczyzn jadący z tyłu otarł oczy chustą, mamrocząc coś o „cholernym piachu”. Znow zapadła cisza. Wkrótce oddział dotarł do pierwszych wzgórz. Sahan uniósł dłoń, zarządzając postój. Musieli przygotować się, przejrzeć juki w poszukiwaniu odzieży nadającej się na chłody Sylii. Kupieckie konie były solidnie objuczone towarami, toteż Sahan miał nadzieję, że znajdą coś odpowiedniego. Podniósł rękę, zatrzymując karawanę. Zeskoczył z konia, obrzucił okolicę spojrzeniem i spokojnie zabrał się do przeglądnięcia juków, gdy nagle usłyszał krótki stukot spadających kamieni. Szybko machnął dłonią, wskazując na najbliższe wzgórze. Wiedzieli, o co chodzi. Trzech ludzi natychmiast zabrało konie, biegnąc w stronę pagórków. Czwórka łuczników wdrapała się na skałki, reszta zaległa na ziemi, ściskając w dłoniach jatagany i noże. Kala, trzymając się blisko Sahana, dobył krótkiego miecza, jednocześnie gorączkowo usiłując sobie przypomnieć sploty osłony, którą stworzył pod murami Hary. Wkrótce dojrzeli grupę jeźdźców w odległości niespełna pięciuset kroków. Oddział składał się z około trzydziestu zbrojnych i pięciu zakonników. Sahan rozpoznał królewskich i nie miał złudzeń co do ich intencji. Podniósł dłoń, wyczekując najbardziej dogodnego momentu. Myśli kotłowały się w głowie, niepokój mieszał z żądzą zemsty, ale musiał wytrzymać. Na pomyłkę nie było miejsca. Nie ochronił Ahima, teraz zamierzał zrobić wszystko, by ochronić pozostałych.

„Jeden, dwa, trzy...” — odliczał szeptem, starając się odsunąć lęk i nienawiść. — „Cztery, pięć...” — Opuścił rękę, wykrzykując przy tym rozkaz:

— Teraz!

Zanim pierwsza strzała opuściła cięciwę, królewski oddział zniknął. Dosłownie rozpląnął się jak miraż. Oszołomiony Sahan z otwartymi ustami spojrział na Kalę, ale ten rozłożył bezradnie ręce, kręcąc głową. Nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wtedy pojawił się na wzgórzu wysoki, ciemnoskóry mężczyzna machający uspokajającym gestem. Był w odległości dwustu kroków. Sahan wstał, dając nieznanemu znak, że zrozumiał. Za plecami tamtego pojawili się ludzie prowadzący konie i muły. Kilkunastu mężczyzn i cztery kobiety. Jedną z nich była starsza pani wyglądająca nieco dziwnie z burzą siwych, rozwianych włosów, pozostałe to kilkunastoletnie dziewczyny. Ostrożnie zbliżali się do ludzi Sahana. Niektórzy machali przyjaźnie. Sahan od razu rozpoznał Morovów. Za czasów królowej Sylwii bywał czasem w Sylii, ale zdarzało mu się też przemykanie do Morovii.

Wysoki wojownik zatrzymał się kilkanaście metrów przed nimi, rozpostarł ręce w geście pokoju, po czym podszedł do Sahana.

— Jestem Saendran Nair Karun. — Przedstawił się, wyciągając dłoń na powitanie. Mówił dość płynnie w języku alierskim.

— Sahan Mahadi Szach z szejkanatu Berii — odparł szejk. — Doskonale mówisz w moim języku. Zaraz, Saendran, powiadasz? Królewski syn, następca tronu Morovii?

— Owszem, ten sam, wszystko się zgadza — potwierdził Nair, po czym przyciągnął do siebie młodziutką, śliczną dziewczynę. — A to moja siostra, Caril Karun. Słyszałem o tobie Sahanie. Poznałem szachinszacha Marada Harima, będąc w Harze z bratem i ojcem. Dawne czasy. To zaszczyt spotkać ciebie i twoich ludzi. — Skłonił z szacunkiem głowę. — My zmierzamy do Sylii, w naszym domu zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Szczególnie dla takich jak ja i oni. — Wskazał pozostałych mężczyzn. — Królewscy polują coraz bardziej zajadle. A co porabiają ludzie pustyni w tych stronach? Wasza Aleria jest oazą spokoju w porównaniu z Morovią.

— Myślę, że to samo, co wy. Byłem w Harze z... ważnych powodów. Wyjeżdżając z niej, straciłem swego wychowanka Ahima. Ustrzelił go łucznik z murów. Nawet nie wiem, dlaczego do nas strzelali. Ahim był synem Maruda Harim Szacha i mojej siostry Laisy, ale nikt nie wiedział o naszym przybyciu do Hary, nikt też nie znał chłopców, od niemowlęcia przebywali w szejkanacie. — Wskazując na stojącego obok chłopca, dodał: — To jego bliźniaczy brat Kala. Gdyby nie on, wybiliby nas wszystkich. — Sahan spojrzał na siostrzeńca z dumą i troską.

— Nie jesteście najlepiej przygotowani na podróż w góry — rzeczowo stwierdziła starsza kobieta, wskazując na gołe nogi i ramiona ludzi Sahana. — O tamtych wydarzeniach opowiesz nam, kiedy znajdziemy się w wiosce. Trzeba się śpieszyć, dzień przemyka, a po nocy nie damy rady tam dotrzeć. Poza tym królewscy też nie śpią.

— Nasza wieszczka i bajarka Mirie — objaśnił Nair. — Zajmie się waszym przyodziewkiem, jestem pewien.

— A co, mam dopuścić, by podmrażali nogi i co tam jeszcze? — roześmiała się głośno. — Lepiej się przygotować niż później płakać, czyż nie?

Faktycznie, Morovowie byli przygotowani. Sahan z zazdrością patrzył na peleryny podbite futrem, skórzane spodnie i wysokie buty. Jego ludzie już szczękali zębami, choć do prawdziwych gór i lodowców był jeszcze spory kawałek drogi. Mirie zapędziła dziewczęta i razem wypakowywały z juków odzież i ciepłe, długie buty. Spoglądały przy tym na mężczyzn, jakby oceniając ich posturę. Przyniosły tego całe naręcza i rozdawały im, uśmiechając się przy tym nieśmiało.

— Czy ci ludzie, tam...? — Sahan nie bardzo wiedział, jak zapytać o to, co stało się z królewskimi.

— Taaak, to nasze dzieło. Wszyscy jesteśmy naznaczonymi, oprócz kobiet. Słyszałeś może? — odparł Nair. — Obserwowaliśmy ich z za wzgórza dłuższy czas i czekaliśmy na nich. Tak już tu jest, że albo upolują ciebie, albo ty zapolujesz na nich pierwszy. Później dotarliście wy i było wiadomo, że staniecie się ich ofiarami. Nie mogliśmy na to pozwolić. Już dość zła wyrządzili, dotknęło to także twój naród i twoich bliskich. Powiadamy naznaczonych — kto tylko zdoła, ucieka do Sylii. W tamtejszych górach niełatwo na nich zapolować. Kiedy większość tam dotrze, musimy przygotować się na odparcie tych ataków, a może na przepędzenie ich z naszych ziem.

— Jjjak to zzzrobiliście? — Nieśmiało zapytał Kala, płacząc się i jękając.

— O, widzę, że chciałbyś od razu poznać wszystkie tajemnice. — Nair roześmiał

się, tarmosząc niesforne loki chłopaka. — Słyszałem, że twój ojciec też był magiem. Ty prawdopodobnie również nim będziesz. Przebierzcie się i ruszamy, przed nami jakieś półtorej godziny marszu. Dla kogoś, kto nie zna gór, to nie będzie łatwa przeprawa.

Rozdział IV- Droga na szczyt

Niespełna kwadrans zajęło Alierczykom dobranie sobie odzieży i butów, co sprawiło wszystkim sporo uciechy. Nie mieli jej ostatnio zbyt wiele, dlatego jedna taka chwila była warta więcej niż sakiewka złota. Potem postanowili wyprawić Ahimowi pogrzeb. Zgromadzili się wszyscy i w milczeniu pożegnali chłopca. Mężczyźni wyciągnęli broń i złożyli żołnierski hołd, uderzając miarowo szablą o szablę, kobiety zaś pochlipywały cichutko, mimo że żadna z nich nie знаła Ahima za życia. Był młody jak ich bracia, na których polowano. Wystarczyło popatrzeć na Kalę, który siedział na kamieniu obok zawiniętego w płótno ciała niczym bezradny, mały chłopiec. Położył dłoń na twarzy brata, potem na piersi, jakby pragnął tchnąć życie w jego serce. Niespodziewanie podeszła Caril, przykucnęła, ścisnęła jego rękę i pociągnęła, żeby wstał. Nie puściła aż do momentu, gdy mężczyźni złożyli ciało Ahima w niewielkiej jaskini i zabarykadowali wejście kamieniami.

Po przeładowaniu towarów na muły ruszyli w drogę. Alierczykom nie było łatwo — rozrzedzone, górskie powietrze utrudniało oddychanie, a chłód przenikał każdą cząstkę ciała. Wspinaczka wąskim szlakiem dawała się we znaki, gdyż dodatkowo trzeba było prowadzić objuczone muły i konie. Sahan z troską spoglądał na Kalę, ale chłopak radził sobie całkiem dobrze. Wielką rolę odgrywała w tym ambicja, bo tuż za nim maszerowały dziewczęta, co miało poważny wpływ na postawę Kali. Sahan rozbawiony tym spostrzeżeniem roześmiał się na głos, powodując małe zamieszanie. Kala obejrzał się na wuja zdziwiony, zatrzymując całą grupę, bo wystraszony koń szarpnął łbem i zepchnął go ze ścieżki. Na szczęście chłopak kurczowo trzymał uprząż, więc szybko wgramolił się z powrotem. Było ciężko, ale pięli się w górę i w półtorej godziny dotarli na miejsce. Powitało ich głośnie ujadanie psów. Nie ma nic lepszego podczas wspinaczki, jak dostrzec kres wędrowni. Wioska leżała w kotlinie osłoniętej z trzech stron górami. Alierzczycy rozglądali się zadziwieni widokiem. Bezchmurne niebo, biel śniegu połyskującego w blasku księżyca i światła w maleńkich oknach domów — to wszystko było jak z dobrego snu. Dachy drewnianych chat pokrywała gruba warstwa puchu. Spokój i szczęście. Wystarczyło jednak unieść głowę, by dostrzec zupełnie inny obraz, bowiem tuż za wsią majaczyły poszarpane, czarne szczyty sięgające nieba. Błady poblask potęgował wrażenie mocy i grozy, podświetlając skalne szpice. Niektórym przypominały zakapturzonych, zakonnych oprawców. Taka myśl szybko przywracała rzeczywistość. Nair najpewniej dobrze znał te widoki, gdyż pewnym krokiem zmierzał w stronę najbliższej z chat. W drzwiach pojawił się grubo ubrany człowiek.

— Kto tam? Stać, zatrzymać się! — wrzasnął w ich stronę. W jednej ręce trzymał pochodnię, a w drugiej długą włócznię. Z sąsiednich domów wybiegło jeszcze kilku mężczyzn uzbrojonych w topory albo miecze. Otoczyli przybyszów, czekając na wyjaśnienia. Wyglądali groźnie i dziko w futrzanych czapach, spod których ledwie było widać skryte pod gęstym zarostem twarze i oczy wlepione w nich bez cienia strachu.

„Nic dziwnego, że królewscy boją się zapuszczać w te strony” — pomyślał Sahan z szacunkiem, ale i niejaką obawą.

Mirie przepychając się do przodu, zdecydowanie podeszła do mężczyzny z pochodnią i jednym ruchem odsunęła na bok włócznię. Patrząc mu prosto w oczy, wypaliła:

— Tak witasz gości, Wilku? Proś wszystkich do chaty, szykuj gorącą kąpiel i strawę, bo znużeni drogą i zmarznięci — rozkazała, dźgając go palcem w pierś. — Ruszaj, a żywo — dodała krótko i stanowczo.

Groźny z pozoru człowiek pokłonił się potulnie, po czym delikatnie uniósł i ucałował dłoń kobiety. Szybko wydał kilka poleceń ludziom i poprowadził przybyszów do obszernej chaty.

Przed wejściem otrzepali buty i ubrania ze śniegu. W środku powitało ich ciepło kamiennego kominka i światło oliwnych lamp. Izba była obszerna, choć belki drewnianej powały wisiały tak nisko, że mężczyźni wzrostu Naira musieli opuszczać nieco głowę, by nie rąbnąć czołem. Pośrodku stał duży stół z bali. Był wyszorowany do białości, podobnie jak podłoga. Wokół szerokie ławy z oparciem, przyrzucone kozimi skórąmi dla wygody. Kilka kobiet odebrało od gości peleryny i tobołki. Gospodarz, zwany Wilkiem, zaprosił ich do stołu. W mig pojawiły się miedziane kubki i gliniane talerze malowane w górskie kwiatki. Wilk przytасzczył wielki dzban grzanego wina z korzeniami.

— Na rozgrzewkę — uśmiechnął się, puszcżając oko do kobiet.

Dziewczyny chichotały, a Mirie pogroziła mu palcem.

— No co? Nic temu nie dorówna. Sama nie raz rozgrzewałaś się tym napojem bogów, czyż nie?

Nie minęło wiele czasu, gdy kobiety zaczęły znosić miski z parującymi, baraniami kiełbaskami, różnorakie sery pokrojone w grube plastry, osełki koziego masła i wielkie bochny chleba. Do tego parę miseczek konfitur i prawdziwa uczta była gotowa. Po kolacji przygotowano skromną kąpiel, z której skwapliwie skorzystały kobiety. Mirie wyciągnęła spory woreczek kawy.

— O, proszę. To jest napój bogów. Zaparzycie nam? — zapytała jedną z kobiet.

Mirie miała swój własny kodeks, który polegał na tym, że kobiety wypada poprosić, a mężczyznom się rozkazuje.

Sylijki przygotowywały kawę, dodając do niej mieloną wanilię. Aromat napoju rozchodził się wokół, kusząc i zachęcając do skosztowania. Sahan też dorzucił coś od siebie. Był to najlepszy na świecie tytoń, aromatyczny i mocny. Odciągnęli stół na bok, co nie było łatwe z powodu jego ciężaru. Później porozsuwali ławki, rozsiadając się wygodnie z kubkami wina w dłoniach. Kobiety biegały, co i rusz donosząc smakołyki: a to orzeszki, a to ciasteczka sezamowe, a to owoce. Zerkały przy tym na mężczyzn, uśmiechając się i zagadując nieco zalotnie. Obcy rzadko zapuszczali się do ich wioski, a miejscowi jak to miejscowi, twardzi ludzie, nie w głowie im komplementy. Alierscy mężczyźni z przyjemnością patrzyli na wesołe, krzepkie Sylijki, które na dodatek całkiem dobrze posługiwały się ich językiem. Sylowie radzili sobie nieźle ze wszystkimi językami imperium. Raz w tygodniu odbywał się targ w oddalonym o kilkanaście mil miasteczku. Dostarczali tam swoje towary, handlując z kupcami z różnych stron. Wielu jeździło też na handel do Morovii, a nawet Esenii.

— Powinniśmy chyba się przedstawić — zagaił Nair. — Ja jestem Saendran Nair

Karun. To Caril, moja siostra.

Pozostali też wymienili swoje imiona, dodając, z jakich rodów pochodzą. Przyszedł czas na Alierczyków i tym razem Sahan najpierw przedstawił siostrzeńca pełnym tytułem.

— Szachinszach Alierii, Kala Harim Szach — wyrzekł te słowa uroczyście, dodając: — Jest obdarzony magią. Z całego rodu został tylko on, matka zmarła, a ojca zamordowano osiemnaście lat temu, dzisiejszego ranka zamordowano brata, Ahima. Jestem wujem i dotychczasowym opiekunem królewskich synów. Nazywam się Sahan Mahadi Szach.

— Dotychczasowym? — zapytał Kala z wyraźnym drżeniem głosu.

— Tak, ponieważ po śmierci Ahima zostałeś szachem Alierii, wasza wysokość. — Sahan przykląkł i pokłonił się głęboko przed swoim władcą. Ludzie Sahana uczynili to samo.

— Jestem władcą, mówisz. Więc jako władca nakazuję ci wstać. Nie będziesz klękał przede mną i nie mów do mnie „wasza wysokość”. Dla ciebie zawsze będę Kalą i synem.

— Będzie jak rozkażesz, wa... Kala. Przyrzekłem dziś, że zawsze będę przy tobie i słowa dotrzymam, póki życia.

— A ja jestem wójtem tej wioski — odezwał się brodaty Syl. — Moje imię brzmi Ersał, ale wszyscy nazywają mnie Wilkiem. Wiem, co sprowadziło do nas Morovów. Polowanie trwa i naznaczeni muszą uciekać, ale co robi u nas szach Alierii?

— Przyjechaliśmy do Hary, gdyż moi przybrani synowie musieli przejść inicjację. Po wszystkim wyjechaliśmy, kierując się do was. Tuż za murami miasta łucznicy zastrzelili starszego z chłopców. Uciekliśmy, a później z pomocą Naira znaleźliśmy się w tych górach i waszej chacie. — Przerwał na moment, jakby zastanawiając się nad czymś. — Kala, może ty sam opowiedz o wizji.

Kala chrząknął, a widząc wpatrzone w siebie oczy wielu ludzi, zaczerwienił się po czubki uszu.

— Podczas naszej ceremonii ukazała się wizja — zaczął nieśmiało. — To była dłoń bez palców.

— Co takiego? Widzieliście dłoń? — wykrzyknęła Caril.

— Caril, bądź cicho, dziecko — przerwała jej Mirie. — Mów, chłopcze! Słuchamy cię uważnie, mów zatem.

Westchnął głośno i zaczął opowiadać dalej:

— Później pojawili się ludzie, którzy te palce zastąpili. Wtedy dłoń zacisnęła się w pięść. Kapłani powiedzieli, że stanowimy z bratem część tej przepowiedni, ale sami musimy zrozumieć jej znaczenie. Nie wiem, co mam o tym myśleć, bo przecież Ahim zginął.

Wszyscy ucichli, z uwagą słuchając słów chłopca, gdy z zewnątrz dobiegło ujadanie psów. Poderwali się z miejsc, chwycili broń i ruszyli do wyjścia.

— Stać! — wrzasnął Wilk. — To my jesteśmy od tego, by bronić naszych gości. Nie ruszajcie się stąd, dopóki nie wrócimy. Oni tylko na to czekają, by na was zapolować. — Podniósł stojącą przy drzwiach włócznię i wyszedł. Tuż za nim ruszyło jeszcze kilku miejscowych uzbrojonych w topory i miecze. Niektórzy mieli krótkie szable

albo grube, drewniane pałki.

Nair nie mógł usiedzieć w miejscu, pozostali też. Tłoczyli się przy malutkim oknie, próbując dojrzeć cokolwiek. Przed domem zbierało się coraz więcej Sylów z pochodniami w dłoniach. Po paru chwilach wyruszyli, ale jazgot psów nie ustawał.

Czas mijał, a oczekiwanie stawało się coraz bardziej nieznośne. Mężczyźni przemierzali izbę w tę i nazad. W końcu Sahan nie wytrzymał i poprosił kobiety o swój płaszcz, zapinając pas z bronią. Z jednej strony wisiała krótka szabla, z drugiej kindżał. To było jak hasło, bo pozostali natychmiast zaczęli się szykować. Dwie kobiety Sylów, młode i krzepkie, narzuciły spodnie i krótkie kożuszki, gotowe poprowadzić mężczyzn. Droga w dół była znacznie trudniejsza, o czym ludzie z nizin nie mieli pojęcia. Gospodyni wręczyła wszystkim pochodnie. Wyskakiwali z chaty pojedynczo, by ograniczyć zagrożenie do minimum. Przewodniczki już ruszyły oblodzonym szlakiem. Poprzedzały je cztery psy, przyuczone do poszukiwania ludzi.

Schodzili w ciszy, rozglądając się i nasłuchując. Nawet nie zdawali sobie sprawy, jak trudne będzie to zejście oblodzoną ścieżką. Po jednej stronie skalna ściana, a po drugiej przepaść. Jeden nieuważny krok mógł kosztować życie. Kwadrans później usłyszeli hałasy. W tym miejscu szlak się rozszerzał, a litą, skalną ścianę zastąpił las. To z niego dobiegał szczęk broni i wrzaski ludzi. Psy rzuciły się naprzód, ale kobiety powstrzymały je, głaszcząc i poklepując, by nie narobiły hałasu. Nie na wiele się to zdało, kiedy zewsząd zaczęło dolatywać wycie wilków wyczuwających krew i śmierć, psy podchwyciły zew, wyjąc im do wtóru. Ludzie stanęli, ten przerażający koncert przyprawiał o drżenie serca, paraliżował ruchy. Nair otrząsnął się po chwili. Gestem nakazał kobietom zostać w miejscu. Mężczyźni natychmiast rozbiegli się wzdłuż ścieżki i ruszyli w głąb lasu, utrzymując odstępy zapewniające kontakt wzrokowy. Naznaczeni nie mogli w tych warunkach użyć magii. Było ciemno, padał śnieg i trudno z pewnej odległości odróżnić swoich od obcych. Szli więc ostrożnie, wyciągając broń i gotując się do walki. Szczęk żelastwa, wrzaski, przekleństwa i jęki rannych były coraz głośniejsze. Widząc ciemne sylwetki walczących, zerwali się do biegu, krzykiem dodając sobie odwagi. Sahan, z szabłą w jednej, a kindżałem w drugiej ręce, zaatakował pierwszego z brzegu żołdaka, siekąc jataganem po żebrach. Dla pewności pociągnął nożem po szyi. Buchnęła krew. Żołnierz zakołysał się w miejscu i padł. Nie oglądając się, szejk ruszył na kolejnego. Ciął szabłą przez ramię, by w ułamku sekundy wbić mu kindżał w brzuch. Nie myślał, ilu trzeba będzie pozbawić życia — moment zawahania i można leżeć obok tych, którzy już nie wstaną. Wojna nie zna litości, zabijesz albo padniesz. Wokół było wielu rannych i wiele trupów, a krwiste plamy na śniegu pokrywały prawie całą polanę. Kala z początku też wpadł w wir walki, jednak po chwili odskoczył, ciągnąc za sobą jednego z łuczników. Wyglądało to w pierwszej chwili na ucieczkę, ale on zatrzymał się kawałek dalej za gęstą kępą krzaków.

— Osłaniaj mnie! — rozkazał.

Wojownik stanął pół kroku przed władcą, wyciągnął strzałę, nałożył na cięciwę, a potem przystawił do twarzy, naciągnął i strzelił. Tych kilka ruchów sprawiło, że żołnierz obrany za cel zgiał się wpół i upadł na twarz. Alierczyk już nakładał kolejną strzałę. Kala z podziwem oceniał w myślach precyzję tych ruchów. To pozwalało mu się skupić.

Parę metrów dalej odbywała się prawdziwa rzeź. Niespodziewana odsiecz dodała sił góralom, którzy jeszcze mocniej naporli na wrogów. Jeden dźgał włócznią, podczas gdy drugi walił toporem na odlew. Niektórzy gołymi rękami brali się za bary z oprawcami, łamiąc im ręce, nogi albo kark. Kiedy trzech żołnierzy zaatakowało Naira, niewysoki, barczysty Kul rozpedził się i całym ciałem walnął w plecy jednego z nich z taką siłą, że padając, żołnierz nadział się na rękojeść własnego miecza. Wyrwał go, spojrzał na wielką dziurę w brzuchu i skonał ze zdumieniem w oczach. Nair nawet nie zerknął, nadal atakowany przez pozostałą dwójkę. Krótki miecz wypadł mu z ręki. W końcu jednemu odciął ramię razem z ręką, a drugiego chwycił i trzymając jego łeb pod pachą, szarpnął z całej siły. Kości wydały nieprzyjemny, krótki chrzęst, ciało zwiotczało.

Nair rozluźnił chwyt, ruszając naprzód z wściekłością w oczach. Chyba jeszcze nigdy nie było w nim tyle złości i żądzy zabijania. Ramię w ramię miał Kula. Chłop kłął, kręcąc się w kółko.

— Gdzie, kurwa, gdzie on jest? — Rozglądał się, gorączkowo szukając swojego młota.

Po chwili Nair znów dostrzegł górala, który wywijał znalezionym gdzieś, grubym jak pięść, drągiem, co i rusz łamiąc komuś żebra albo roztrzaskując twarz. Wrzaski walczących mieszały się z wyciem wilków i ujadaniem psów. Nair szalał pośród wrogów, tnąc długim mieczem gdzie popadnie. Był wysoki i silny, toteż z łatwością odcinał ręce, a nawet głowy. Pomagał sobie nożem, krótki miecz gdzieś przepadł.

Kala stał na uboczu cichy i skoncentrowany. Łucznik napinał cięciwę raz za razem, nie dopuszczając do ataku na władcę. Chłopiec skupił wzrok właśnie na nim, odcinając się od wszelkich innych doznań. Wreszcie w jego głowie zapanował spokój, a właśnie takiego stanu oczekiwał. Odgłosy bitwy oddalały się, aż całkowicie ucichły. W tej ciszy usłyszał myśli ludzi, ich przerażenie czy wściekłość. Powolutku zaczął rozpoznawać i przykuwać umysły wrogów. Wdzierał się w nie, osłabiając nienawiść i podsycając strach. Spowalniał ruchy i wzmacniał ból w poranionych ciałach. Pracował nad każdym tyle, ile było trzeba. W końcu coraz słabsi i przerażeni zaczęli uciekać, porzucając broń. Wielu nie zdołało się przebić, bo dopadli ich Sylowie, ludzie Sahana albo któryś z naznaczonych. Ci ostatni przestali walczyć, skupiając się na uciekających i likwidując ich, wymazując z rzeczywistości. Dzieła dokończyły wilki atakujące rannych. Bitwa dobiegła końca.

— Wilku! — krzyknął Nair, ale odpowiedzi nie było. — Czy ktoś widział Wilka? — wrzasnął.

— Walczył, długo walczył i zatłukł paru, może z dziesięciu, a potem gdzieś zniknął — odpowiedział jeden z górali, zdaje się Ledmur.

Miał rude, kędzierzawe włosy spadające na twarz i taki sam zarost. Ciężko oddychał, a po palcach opuszczonej dłoni spływała krew.

— Jesteś ranny. — Nair chciał obejrzeć jego rękę, ale ten tylko splunął za siebie, uznając to za głupstwo.

— Podzielmy się na grupy i przeszukajmy teren — zaproponował Sahan.

— Tak, to dobra myśl. Że też sam na to nie wpadłem. — Zdziwiony Nair pokiwał głową.

Wszyscy byli zmęczeni, ale szybko zorganizowali się w grupy i wyruszyli na poszukiwania, zabierając ze sobą psy. Na miejscu zostało kilku mężczyzn opatrujących co ciężiej rannych. Pomagały im kobiety z wioski. Alierski łucznik przyniósł Kalę, który chwilę po zakończeniu bitwy zemdlał. Klepali go po twarzy i pocierali śniegiem. W końcu oprzytomniał, choć nadal był bardzo słaby. Po pewnym czasie pojawili się pierwsi ludzie z grupy Sahana, dźwigający na plecach rannych. Kładli ich na rozpostartych płaszcach, które zdjęto ze zmarłych. Im nie były już potrzebne. W pół godziny zeszli się już wszyscy. Rannych było wielu, zabitych jeszcze więcej, ale wśród nich nie znaleziono Wilka.

Z obserwacji wynikało, że kolejna grupa naznaczonych zmierzająca w góry została nagle zaatakowana w lesie. Oddział żołnierzy czekał tam na nich. Wymordowali prawie

wszystkich, atakując z zaskoczenia. Zginęło osiemnastu, a rannych naliczyli czternastu. Wśród ofiar było kilku górali, dwóch ludzi Sahana i jeden Naira. Jak dotąd, nie odnaleźli jeszcze sześciu Sylów. Po prostu zniknęli. Sahan wybrał dwóch swoich ludzi, najszybszych i najwytrzymalszych. Do nich dołączyło jeszcze dwóch górali. Zabrali psy i wyruszyli w dół stoku, mając nadzieję na odnalezienie zaginionych. Pozostali zebrali rannych i powoli ruszyli do wioski. Na miejscu zostało pięciu naznaczonych, by sprawić pogrzeb zabitym. Nie można było zostawić zwłok na pastwę wilków, więc naznaczeni po prostu unicestwili ciała. Potem dogonili resztę, pomagając wnieść rannych na górę. Trwało to bardzo długo, bo wspinaczka po lodzie, z rannymi na plecach i śniegiem sypiącym w oczy, była mozolna i wyczerpująca. Krok za krokiem posuwali się do przodu, kaszląc i rękawami ocierając zasmarkane nosy. W końcu usłyszeli upragnione ujadanie psów. Z najbliższej chaty ktoś wyjrzał.

— Swój, swój. Pomóżcie nam! — krzyknął Nair, ledwie wydobywając z siebie głos.

Ludzie wyskakiwali z domów w tym, w czym byli. Nie było czasu na szukanie ciepłej odzieży. Dobiegali do idących, podtrzymując ich albo odbierając od nich rannych i wnosząc do chaty Wilka, w której było najwięcej miejsca. Kobiety znosiły lniane prześcieradła, maści i zioła, natychmiast zabierając się za opatrywanie ran. Pozostali mężczyźni, mokrzy od śniegu i potu, popadali na ławy, a nawet na podłogę. Niektórzy natychmiast zasnęli ze zmęczenia. Nie starczyło sił nawet na odłożenie broni czy zdjęcie mokrego płaszcza. Dziewczęta zdejmowały ze śpiących mokre odzienie i przykrywały ich baraniami skórami. Tym, którzy nie mogli zasnąć, podawały kubki z gorącym winem i pajdy chleba posmarowane smalcem.

„Nie ma to jak dom” — pomyślał niejeden z nich.

Rozdział VI — Królewska opieka

Psy gnały naprzód, ciągnąc za sobą ludzi. Musieli je powstrzymywać, bo zbieganie ze stoku było zbyt niebezpieczne. Prawie nie rozmawiali. Śnieżycą zasypywała ścieżkę i oczy. Wiatr przeszywał do szpiku kości, mimo ciepłych okryć. Minęliby to miejsce, gdyby nie psy, które zatrzymały się tak nagle, że jeden z Alierczyków, Hakim, pośliznął się i upadł, jadąc parę metrów w dół. Zaparł się nogami i wyhamował na grudzie lodu. Psy zaczęły węszyć, ale do lasu nie weszły, drepcząc nerwowo w miejscu. W końcu jeden przeraźliwie zawył, a za nim pozostałe. Odpowiedź wilków przyszła natychmiast. Ten koncert mroził krew w żyłach.

— Coś tu jest — krzyknął Murda, drugi z ludzi Sahana, zagłębiając się między drzewa.

Ostrożnie skręcili w las, przyświecając sobie pochodniami. Kilka kroków dalej stanęli zmrozeni widokiem. Ciała wisielców kiwały się poruszane wiatrem. Ośmiu mężczyzn powieszono niedawno, bo zwłoki jeszcze nie nabrały ziemistej barwy. Mróz zapobiegał rozkładowi, toteż trudno było określić dokładny czas tej zbrodni. Zdejmowali ciała we trójkę, a Hakim obserwował okolicę na tyle, na ile mógł w tych warunkach.

— Znacie tych ludzi? — zapytał górali.

— To nie nasi — odkrzyknął Truk, przez miejscowych zwany Bykiem. — Mają ciemną skórę. To na pewno naznaczeni. W lesie nawiewa mniej śniegu i jest trochę śladów. Żołnierskie buciory, psiamac. To robota królewskich, by ich pokreć, bydlaków jednych. Tu musiało dojść do jakiejś bitwy. Wokół jest dużo krwi, a ciała też poharatane.

— Musimy ich zostawić i iść dalej. Może uda się pomóc naszym ludziom, jeśli nie będzie za późno — zarządził Murda.

Zgodzili się z nim i czym prędzej ściągnęli resztę zwłok, układając je obok siebie. Nic więcej nie mogli dla nich zrobić poza zemstą. Ruszyli jeszcze szybciej niż dotąd, nie bacząc na niebezpieczeństwo upadku. Ta zbrodnia nimi wstrząsnęła, co było widać po wściekłości w oczach i zaciśniętych ustach. To jednak nie był koniec. Kawałek dalej dostrzegli dwa drobne ciała dziewcząt. Jedna z nich była naga i po krwawych śladach na nogach domyślili się, że została zgwałcona. Drugiej oprawcy nie zdążyli tknąć, bo najpewniej wypłoszyli ich górale. Obie dziewczynki miały poderżnięte gardła.

— Co to za bestie? Kto ich nosił w łonach? — pytał Byku ze łzami w oczach.

— Nie wiń ich matek — odpowiedział drżącym głosem Hakim. — To nie one wydały na świat zbrodniarzy, tylko król i te wściekłe, zakonne psy. Reszty dopełniły zyski, na które mogą liczyć za zasługi. Tępią wszystkie narody od stuleci i chyba nadszedł czas zapłaty.

Nawet psy ucichły i stały ze spuszczoneymi łbami, popiskując tylko co jakiś czas.

— Dlaczego naznaczeni nie użyli tej swojej magii? — zastanawiał się drugi z górali, Makuch.

— Ich magia wymazuje ludzi z rzeczywistości. Te bydlaki miały dziewczęta. Gdyby naznaczeni chcieli coś zrobić, to musieliby zniszczyć je razem z tamtymi. Może im obiecali, że jeśli się poddadzą, to puszczą dziewczynki wolno. Tak musiało być. —

Murda wyjaśniał pozostałym, ale najbardziej sobie. Próbując to rozwikłać, odsuwał od siebie rozpacz. — Trzeba iść — dodał twardo.

Przesunęli ciała dziewcząt trochę bardziej w las i natychmiast ruszyli dalej. Kwadrans później usłyszeli w oddali głosy przytłumione śnieżycą. Zaczęli biec. Widząc grupę ludzi u podnóża góry, zwolnili i weszli w las. Posuwali się ostrożnie jego skrajem. W końcu dosłyszeli wyraźne odgłosy walki. Kilkudziesięciu królewskich otaczało paru górali i kilkunastu naznaczonych, których wysokie sylwetki wyróżniały się na tle innych. Walka trwała już jakiś czas, bo wokół leżało sporo ciał i rannych. Mężczyźni, nie zastanawiając się wiele, poszczuli psy i puścili je naprzód, sami pędząc za nimi. Stała się dziwna rzecz, gdyż te wielkie, ale z natury łagodne zwierzęta rzuciły się jak dzikie bestie do żołnierskich gardeł. Wytrąciło to wielu z równowagi, bo nie mieli pojęcia, czym są te drapieżne stwory. Niektórzy zaczęli uciekać, co pozwoliło naznaczonym na użycie magii. Czterech przybyłych natychmiast włączyło się do walki. Murda rzucił się jak szalony i tłukł szablą przez łby, wrzeszcząc:

— Chcesz mordować? Chodź, jestem, idę po ciebie. — Trzasnął kindżałem przez twarz żołdaka. — Jeszcze ty? — pytał następnego, dźgając go szablą w pierś.

Byku raz za razem walił toporem, mrużąc pod nosem: — Za wisielców, za dziewczynki, za Sylów, za Morovów, za tych z pustyni. Masz, bandyto. Za wisielców, za... — Tłukł i mamrotał tę swoją litanie.

Rozwścieczone psy też nie próżnowały, choć jeden już leżał z rozprutym bokiem, a pozostałe były poranione.

Walka trwała jeszcze ze dwa kwadranse. Wszyscy ślaniali się na nogach, a ich ciała parowały jak w łaźni. Na ziemi leżały zwłoki sponiewierane w brudnym od krwi śniegu, kilkunastu rannych wyjących z bólu oraz peleryny i kożuchy pościągane naprędcę, żeby nie krępować ruchów. Szanse wyrównały się nieco wraz z przybyciem czwórki ludzi i psów. Kierowani wściekłością i żalem, wykrzesywali z siebie nadludzka siłę. W końcu żołnierze zaczęli się cofać i uciekać. Naznaczeni nie dali im szans, niszcząc jednego po drugim. Parę minut i było po wszystkim. Ani jeden królewski nie uszedł z życiem. Naznaczeni unicestwili nawet ich ciała, by nie został najmniejszy ślad bitwy. Resztę załatwił padający gęsto śnieg.

Ocalało jedenastu naznaczonych i czterech górali. Wilk był ciężko ranny. Miał rozwaloną głowę, a z rozciętego do kości uda lała się krew. Hakim oderwał rękaw swojej koszuli i przewiązał nogę górala. Nie reagował, był półprzytomny. Ci, którzy przetrwali w jakiejś takiej formie, zajęli się rannymi. Opatrywali ich jak umieli, próbując przede wszystkim zatamować krew. Byku zwołał górali i zaczęli sporządzać prowizoryczne nosze, na których układali najciężej rannych, opatulając ich, czym się dało. Pozostałych musieli wprowadzić na górę, zejście do miasteczka nie wchodziło w grę. Tam stacjonował duży oddział żołnierzy.

— Dlaczego zesłicie aż tutaj? — zapytał Byku jednego ze swoich sąsiadów.

— Kiedy biliśmy się tam w lesie, to naznaczeni powiedzieli, że niedaleko za nimi szła kolejna grupka. Obawiali się, że zbrojni króla ich dopadną, a może już dopadli. Wtedy Wilk zwołał nas pięciu i postanowiliśmy, że wyjdziemy im naprzeciw. Po drodze znaleźliśmy dwie zamordowane dziewczyny. Nie mieliśmy pojęcia, jak się tam znalazły,

bo królewskich w pobliżu nie było. Zeszliśmy jeszcze trochę i usłyszeliśmy odgłosy bitwy. Pomyśleliśmy wtedy, że naznaczeni kazali dziewczynom uciekać, a sami stanęli do walki z tym wielkim oddziałem. Co było robić? Musieliśmy im pomóc.

— Te dziewczynki szły wcześniej, z inną grupą — wyjaśnił Hakim. — Ośmiu z tej ekipy powiesili królewscy w lesie. Później zeszli niżej i zaatakowali kolejnych.

— Bandziory. Do tej pory było spokojnie, ale ostatnio każdego dnia kogoś mordują — ze złością odparł długowłosej naznaczonej. — Słyszeliśmy, że zmarła królowa imperium. Koronowali jej syna i to on nakazał tę nagonkę. Może ją też kazał zamordować.

— Trzeba kogoś posłać, żeby przekazał ostrzeżenie dla następnych grup. Nie przedrą się do nas. Muszą się gdzieś zaczać i poczekać, aż królewscy trochę się uspokoją. Jutro jest targ. Pójdzie parę kobiet i przekaże wieści komu trzeba. Nikt z królewskich nie przeżył, to i nikt nie doniesie, że górale brali udział w zniknięciu ich oddziałów. Nie będą nas podejrzewać — powiedział Truk.

W końcu zapakowali najciężej rannych i znów ruszyli w górę, jedni ciągnąc nosze, a inni prowadząc pod pachy tych, którzy mogli iść. Czekala ich długa, mozolna wspinaczka w śnieżycy.

Rozdział VII — Czas na łyzy, czas na tańce

Świt powitał ludzi mrozem i słońcem. Taszczyli rannych na własnych grzbietach albo ciągnęli na noszach przez całą noc, choć sami byli wykończeni bitwą, głodem, brakiem snu, żalem i słabnącą nadzieją na lepsze. Idąc do góry, bez zastanawiania się nad wszechogarniającym znużeniem, myśleli tylko nad kolejnym krokiem, żeby był pewny i nie poprowadził w przepaść. Śnieg przestał padać, mimo to wspinaczka trwająca zwykle niespełna dwie godziny im zajęła sześć.

Ludzie w wiosce też nie zmrúżyli oka, nasłuchując jakichkolwiek dźwięków zwiastujących powrót bliskich. Kiedy psy zaczęły poszczekiwać, z domów wypadli niemal wszyscy i natychmiast ruszyli naprzeciw. Prowadził ich Nair, próbując wyczuć ewentualne zagrożenie. Tak jak esseńscy zakonnicy potrafili wytropić naznaczonych, tak on nauczył się rozpoznawać ich aurę. Zatrzymał się na moment i sondował umysły zbliżających się ludzi, ale wyczuł tylko swoich pobratymców.

— Wszystko w porządku — oznajmił na tyle głośno, by wszyscy usłyszeli.

Ruszyli zatem czym prędzej. Kiedy w końcu dostrzegli wchodzących, zamarli z przerażenia. Potwornie umęczone twarze, sople zwisające z włosów i brwi, przemrożone nosy i dłonie, okrwawione ubrania. Całości dopełniał widok rannych na noszach albo na plecach towarzyszy. Dobiegli do nich i bez zbędnych słów odbierali z ich ramion ten ciężar. Dwóch ludzi zasłabło w tym momencie, jakby świadomość ocalenia odebrała im resztki sił. Wielu z nich trzeba było podtrzymać i dowlec do chaty, bo nie byli w stanie przejść już ani kroku więcej. Powinność trzymała ich w pionie tak długo, jak było trzeba, ale nawet najtwardszych pokonało zmęczenie, kiedy obowiązek przejęli inni.

Pół godziny później wszyscy uzdrowiciele, zielarze, a także ci, którzy mieli jakieś takie pojęcie o opatrywaniu ran, ciężko pracowali, by uratować życie ludzi z takim trudem wtarganych na górę. Kobiety rozbierały rannych, rozcinając ubrania i odrywając, najdelikatniej jak można, poprzyklejane skrawki tkanin zastępujące opatrunki. Niektórzy byli nieprzytomni, ale wielu jęczało i krzyczało. Zielarze podawali im mikstury własnej roboty, uśmierzające ból i sprowadzające sen. Parę godzin trwała ta walka o życie, ale w końcu większość rannych zasnęła. Niektórzy rzucali się przez sen, pojękiwali albo drżeli z powodu gorączki. Czuwali przy nich na zmianę, podając zioła, zmieniając przemoczone krwią opatrunki i uspokajając. Dopiero po kilku dniach można było odetchnąć spokojnie, gdyż wszyscy powoli wracali do zdrowia. Naznaczonych oczekujących w pobliżu miasteczka ostrzeżono i póki co nie pojawiali się na szlaku. W wiosce panował nastrój żałoby. Tak wielu ludzi straciło życie tylko dlatego, że pochodziło z Morovii czy Alierii, że miało inny kolor skóry, innych bogów albo zwyczajnie pragnęło wolności.

Nair nie mógł znieść takiego ogromu nieszczęścia. Zaczepił jednego z górali, pytając:

— Macie we wsi muzykantów?

— Mamy, bo co? — odparł zdziwiony Jall.

— Chciałbym urządzać wieczór z tańcami. Uznałem, że ludziom trzeba dać trochę

radości i nadziei. Zwołajcie tych, którzy potrafią grać i zaprosicie wszystkich mieszkańców na zabawę.

Uradowany Jall popędził co tchu powiadomić żonę, córki i sąsiadów. Nair wybrał dom Nuta, choć wielu z chęcią przyjęłoby gości u siebie, uważając to za zaszczyt. Największa była chata Wilka, ale tam umieszczono większość rannych. Nut nie ucierpiał w bitwie, mimo że walczył najpierw w lesie, później u podnóża góry, a na koniec przytaszczył na swoich szerokich barkach wysokiego jak brzoza naznaczonego. Zapędził żonę i dzieciaki, których miał trójkę, do sprzątania chaty. Sam zajął się wynoszeniem i przestawianiem domowych sprzętów, by gościom było wygodnie, a miejsca do tańca dosyć.

Wieczorem każdy, kto tylko był w stanie chodzić o własnych siłach, przyszedł na zabawę. Kobiety wystrojone w najpiękniejsze suknie, ze wstążkami we włosach i pokrytymi różem policzkami, a mężczyźni w odświętnych koszulach i kubrakach. Największe wrażenie zrobiły dziewczęta z Morovii w przebraniach nimf i boginek zrobionych własnoręcznie. Wyglądały pięknie z wiankami splecionymi z cisowych gałązek na ciemnych, długich włosach.

Muzykanci już czekali, strojąc instrumenty. Stół przesunięty pod ścianę zastawiono różnymi smakołykami, a pod nim ustawiono gąsiory z winem i beczułkę piwa z miodem. Nikogo nie trzeba było namawiać do zabawy. Nawet wielu rannych przyszło albo zostało przyniesionych. Sahan pierwszy wystąpił na środek i kłaniając się z gracją, poprosił do tańca Mirie. Ona też się wystroiła na tę okazję. Miała swoje lata, ale kiedyś niewątpliwie była piękną. Goście różnili się między sobą właściwie wszystkim. Wysokie morovskie kobiety i mężczyźni o miedzianej skórze i długich ciemnych włosach, a obok niscy Sylowie z rudymi lub niemal białymi włosami. Kobiety sylijskie były na swój sposób piękne, tylko nie tak smukłe jak morowianki, o szerokich biodrach i bujnych piersiach. Niebieskie oczy uśmiechające się serdecznie do wszystkich, blade, piegowate buzie z dołeczkami w policzkach.

Kala rozglądał się wśród kobiet, nie mogąc się zdecydować, z którą zatańczyć. W końcu ruszył do Caril Karun, którą odrobinę zdążył poznać.

— Caril, czy uczynisz mi ten zaszczyt? — Ukłonił się z szacunkiem, wyciągając do niej dłoń.

Dziewczyna speszyła się lekko, ale zaimponowało jej, że władca Alierii, a przy tym bardzo przystojny chłopak, wybrał właśnie ją.

— Oczywiście, Kala, z przyjemnością — odparła i zgrabnie dygnęła.

Chwilę później uczyli się skoczno tańca Sylów. Tańczyli go wszyscy, tupiąc i pokrzykując. Kobiety piszczwały przy tym, a niektóre Sylijki nawet pogwizdywały. Pomiędzy parami tancerzy kręciły się uszczęśliwione dzieciaki i kilka psów, którym co raz trafiał się jakiś kąsek rzucony przez któregoś z gości.

Nair z początku nie tańczył. Patrzył z uśmiechem na rozbawionych ludzi, a w szczególności na wystrojone kobiety. Najczęściej zerkał w stronę Sulli Mar, dwudziestoparoletniej boginki. Znał jej rodzinę, jej piękną matkę bywającą w pałacu królewskim, zanim wszystkich wymordowano. Rodzice Sulli, a także jej siostry i brat również zginęli. Została sama. Uratowali ją kapłani, wywożąc potajemnie z Morovii. Nair

był dojrzałym mężczyzną, ale dla niejednej dziewczyny stanowił obiekt westchnień. Podszedł do niej z pucharkiem piwa zaprawionego miodem i orzechowymi ciasteczkami.

— Skosztuj tego piwa, jest idealne. — Wręczył jej pucharek z serdecznym uśmiechem na twarzy. — Jak zabawa? Podoba ci się? — zapytał kurtuazyjnie.

— Och, jest cudownie — odparła z radością. — To wspaniale, że przyszło ci do głowy coś takiego. Te wszystkie wydarzenia były takie przygnębiające, a teraz spójrz, jacy ludzie są szczęśliwi. — Zbliżyła się i cmoknęła go w policzek. — Dziękuję, Nair.

— Zatańczysz ze mną, Sullo? — zapytał.

— Nie mogłam się doczekać, aż mnie poprosisz — odpowiedziała z rozbijającą szczerością.

Nair podszedł do muzykantów i wyszeptał coś do nich, a po chwili popłynęła rzewna melodia zakochanych, stara jak Morovia. Nair wziął Sullę w ramiona i poprowadził do tańca z takim mistrzostwem, że goście usunęli się, robiąc im miejsce. Kiedy melodia dobiegła końca, niektóre kobiety uśmiechały się przez łzy, a wszyscy bili gromkie brawa.

Bawili się całą noc, tym huczniej, im więcej ubywało wina z gąsiorów. Dzieci w końcu pozasypiały, gdzie popadło, więc poukładano je w sąsiedniej izbie. Część rannych też poczuła zmęczenie. Pozostali tańczyli, śpiewali, pili wino, a niektórzy wybrali się na spacer, obejmując kobiety i całując je potajemnie w ciemnościach. Byli szczęśliwi, bo po wielu dniach łez nadszedł czas radości.

Dopiero o świcie wychodzili z chaty Nuta, niektórzy wprost do stajni czy obór, by nakarmić zwierzynę, wydoić kozy czy zebrać jajka. Nadszedł kolejny mroźny poranek, ale wreszcie zaświeciło słońce. W ich duszach także.

Rozdział VIII — Opowieści

Wieczorem spotkali się w chacie Nuta. Gospodarz, nie bacząc na niewygody, oddał swój dom w posiadanie gościom. Było do przewidzenia, że każdego dnia będą się schodzić wieczorami, żeby pogadać, wypić grzańca, czasem potańczyć i pośpiewać, ale przede wszystkim zacząć robić jakieś plany na przyszłość. Życie mieszkańców podbitych krajów z roku na rok stawało się coraz trudniejsze, a gnębienie, ściganie i prześladowanie było codziennością. Imperialne wojska, w coraz większej liczbie, stacjonowały w miastach i miasteczkach, polując i mordując wszystkich podejrzanych o spiskowanie i uprawianie magii.

— Prosimy, drodzy goście. Wchodźcie, wchodźcie! — Nut z otwartym sercem i uśmiechem na okrągłej twarzy okolonej gęstym, rudym zarostem witał przybyłych.

— Odechce się wam gości, oj, odechce — zaśmiała się Mirie.

W ciągu godziny zeszli się wszyscy przybysze i niemal cała wioska. Tylko ciężko ranni pozostali w domu Wilka. On sam już trochę doszedł do siebie i przydreptał, podpierając się drewnianym kosturem.

Porozsiadali się wokół przestronnej izby, gdzie kto mógł. Gospodyni częstowała świeżą pieczęnią, a sąsiadki poznosiły, co miały najlepszego. Nie zabrakło kawy i ciasteczek.

— Kala, dokończ opowieść o tym proroctwie — poprosiła Mirie, nie używając należnego mu tytułu. Z racji wieku wszystkich traktowała jednakowo.

— Mówiłem o tym, że w czasie obrzędu ukazała się wizja — przypomniał chłopak. — To była wielka, okaleczona, pozbawiona palców, dłoni. Później pojawiły się sylwetki ludzi. Nie widziałem twarzy ani żadnych symboli, po których mógłbym rozpoznać ich przynależność do jakiejś nacji czy profesji. Różnili się jednak. Jedna z postaci była drobna, inna gruba, dwie sylwetki wyglądały na bliźniaczo do siebie podobne, dlatego uznaliśmy z Ahimem, że to my. Kapłani też tak myśleli. Ostatnia z postaci najbardziej przypominała kobietę z długimi, falującymi włosami — umilkł na chwilę.

— Co dalej, no mówże! — ponaglała staruszka.

— Później te postacie zbliżyły się jeszcze bardziej i przyłgnęły do dłoni, zmieniając w idealnie pasujące palce. Po chwili zaczęły zaciskać się w pięść, a później wszystko zniknęło. Kapłani nie wyjaśnili nam znaczenia tej przepowiedni, stwierdzili jedynie, że musi się spełnić.

— My chyba znamy jej wyjaśnienie — powiedział Nair. — Mirie opowiedziała nam legendę, dokładnie taką, o jakiej mówisz. Bogowie zapowiedzieli w niej, że właściwy porządek rzeczy zapanuje wtedy, kiedy palce jednej ręki zacisną się w pięść. Bóg Ar dodał jeszcze: „Szukajcie ich wśród boskich okruchów rozsypanych po świecie”. Dobrze to zapamiętałem, Mirie?

Kobieta przytaknęła, patrząc na ogień w kominku, i zaczęła mówić, a właściwie bardziej myśleć na głos:

— Te boskie okruchy, to ludzie rozrzucony po całym świecie, a przynajmniej ja tak

sądę. Trzeba tylko zastanowić się, co zrobić, by zbliżyć ich do siebie. Wiemy, że tych dwóch podobnych, to nie Kala i jego brat, bo Ahima już nie ma. Skoro jednak wizja pokazała się właśnie im, to oznacza, że szach Alierii może być jednym z piątki.

— Powinni chyba posługiwać się magią, a nie ma kobiet obdarzonych nią ani wśród Morovów, ani Sylów, ani u nas. Kala powiedział, że jedna z tych postaci wyglądała kobieco. — Sahan też rozmyślał na głos, marszcząc brwi. — Kim mogłaby być? Mirie, czy ty słyszałaś o kobietach magach?

— Nie, ale to nie znaczy, że ich nie ma. Jeszcze jedno mnie zastanawia. Ta drobna sylwetka przypominała dorosłego czy raczej dziecko? — Zwróciła się z tym pytaniem do Kali.

— Nie wiem, Mirie. A grubas? Nie widziałem ani jednego naznaczonego, który byłby gruby. Wśród Sylów magii nie ma w ogóle — Kala zerknął w stronę Wilka z niemym pytaniem w oczach.

— Teraz nie ma — odezwał się Wilk powoli i z widocznym trudem. — Kiedyś takie zdolności mieli potomkowie królewscy, ale od stu pięćdziesięciu lat Sylowie nie mają króla. Wszystkich kazał wymordować ówczesny władca imperium, Edmur II. Bał się ich, bo mieli wielką moc. Królewski zamek na skale świeci pustkami od pokoleń. Nikt tam nie zaglądał od dawna. Nawet Eseńczycy zajęli różne pałace w mieście, ale do zamku się nie pchali. Jeszcze wyżej, tuż pod szczytem, jest klasztor naszych kapłanów, jednak tam też nie poleźli, bo trudno się do niego dostać, nie znając drogi. Caril wie najlepiej, jak ciężko było tam wejść. Niejedną dziewczynkę trzeba było prawie wnosić, bo nie dawały rady. Pallary potrafią strzec swoich tajemnic, to groźne i niedostępne góry.

— Byłam tam kilka lat — odparła Caril — ale nadal nie trafiłabym do klasztoru bez przewodnika.

— Musimy coś postanowić w sprawie naznaczonych. Zagrożenie dla nich jest największe. Chodzi też o bezpieczeństwo górali. Wiecie, co zrobiliby z wami królewscy, gdyby wyszło na jaw, że ukrywaliście Morovów, Alierczyków, a jeszcze do tego magów. — Nair pokręcił głową. — Nie możemy być dla was ciężarem.

— Łatwo nas nie wezmą, przecież wiesz — odpowiedział butnie Wilk.

— O nie, nie wezmą. A niech ich szlag. Damy im łupnia. Do nas nie można przyjść niezauważonym — przekrzykiwali się pozostali górale.

— Każdy z nas już wie, że jesteście ludźmi dzielnymi i nie ulęknięcie się byle kogo — wtrącił Sahan — ale my nie możemy czekać bezczynnie. Chciałbym się stąd wydostać i wrócić do Alierii. Muszę objechać wszystkie szejkanaty, wszystkie prowincje, zwołać jeźdźców i wojowników. Wtedy będę gotów do was wrócić i walczyć u waszego boku.

— Prawda, Sahan ma rację — dorzucił Kala. — Jako władca też muszę z nim być.

— O nie! — wykrzyknęła Mirie. — Mamy niemal pewność, że należysz do piątki i dlatego szczególnie trzeba cię chronić.

— Wyprowadzimy was stąd — spokojnie oznajmił Wilk. — Tylko musicie nauczyć się wspinaczki. Znajdzie się paru takich, co to po górach łążą jak kozice. Zaprowadzimy was do zamku. Tam nie będą nikogo szukać. Wszystkich naznaczonych, Kalę i dziewczyny. Powiadomimy kapłanów, oni wami się zajmą, dadzą strawę i pomogą

się urządzić. Kiedy nadejdzie czas, pójdziemy po was.

— To dobry plan. — Nair aż klasnął w dłonie.

— Myślę, że Nair jest drugim z piątki — powiedział Kala, patrząc w oczy Mirie. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, na odległość poczułem więź jak z bratem. To było krótkie i ulotne, ale zapamiętałem tę chwilę.

— Wyobraź sobie, że pomyślałam tak samo, kiedy zobaczyłam was razem. — Mirie zawiesiła głos, popatrzyła uważnie na obu mężczyzn i dodała: — Tak właśnie pomyślałam.

Długo w noc trwały obrady i ustalenia. Dzieci pozasypiały w ramionach matek, z głowami na ich kolanach albo przytulone do psów na podłodze.

W końcu zebrali się i zaczęli wychodzić. Kala, Sulla i Caril jako pierwsi opuścili chatę. Nair wyszedł tuż za nimi. Widząc, jak przewracają się w śnieg i obrzucają nim nawzajem, przyśpieszył i dołączył do zabawy. Za plecami usłyszeli głośny śmiech Sahana. W końcu większość wychodzących wzięła udział w bitwie na śnieżki. Wyglądali jak małe dzieci, trochę wyrośnięte, ale tak samo szczęśliwe.

Nair podniósł Sullę, wziął ją pod ramię i odprowadził do chaty, w której mieszkała razem z innymi dziewczętami. Można by rzec, że wykorzystał zamieszanie, by ją porwać i pogadać po drodze. Co i rusz zerkał na mokre od śniegu włosy i zaczerwienione policzki dziewczyny, nie mogąc oderwać oczu. Nałożył jej kaptur na głowę i przytrzymał obiema dłońmi przy twarzy, a ona uśmiechnęła się trochę nieśmiało. Leciutko musnął jej zaczerwieniony nos, przytrzymał palcami brodę i pocałował miękko i delikatnie. Zachwiała się leciutko, więc przytrzymał ją, chroniąc przed upadkiem.

— Zawsze będę cię chronił — powiedział to tak poważnie, jakby składał obietnicę na całe życie.

Widząc jej zmieszanie, chwycił wpół, pocałował jeszcze raz i odprowadził do chaty. Wracając do siebie, poczuł lekkość i ulgę, że w końcu odważył się na to, na co miał ochotę od dawna. Później myśli wróciły do słów Kali.

— „Czy mogę być jednym z nich?” — zastanawiał się w duchu, wiedząc, że braterską więź z Kalą poczuł, zanim się do niego zbliżył. To było tak silne, jakby nagle na jego drodze stanął Olande. Zignorował wtedy to dziwne uczucie, ale kiedy Kala o tym wspomniał, powróciło jeszcze silniejsze. Doszedł do wniosku, że nie można kierować się przeczuciami w tak ważnych sprawach. Bogowie w swojej mądrości na pewno wymyślą sposób, aby dać im pewność, że to właśnie ich wybrali do swojego planu.

Rozdział IX — Siła i słabość

Od rana w wiosce panował niezwykły ruch. Górale szykowali sprzęt, a reszta kręciła się pod nogami podekscytowana i niecierpliwa. Wstali skoro świt, nałożyli na siebie najlepszą, wedle własnego mniemania, odzież do wspinaczki, zjedli szybkie śniadanie i wylegli na środek wioski. Nikt nie zwracał na nich uwagi, a to jeszcze bardziej rozdrażniło co niektórych.

— Może w czymś ci pomóc? — Nair przykucnął obok Jalla gotów robić cokolwiek, byle tylko nie czekać.

— E tam. Idźcie sobie na spacer albo co. Damy radę sami. Wróćcie za jakieś trzy kwadranse, będzie akurat — odburknął góral.

— Za trzy kwadranse? Dopiero? — Zniecierpliwiony Kala przestępował z nogi na nogę. Od świtu był gotowy na popisy przed dziewczynami, a tu mu mówią „za trzy kwadranse”.

Nawet Sahan, bądź co bądź stateczny człowiek, tak samo jak inni kręcił się bez celu lekko spięty.

— Dajcie już pokój, psiakrew! Jeszcze wam się odechce tej wspinaczki. Sahan, ty idziesz ze mną jako pierwszy. Przyjdź za godzinę. — Jalla zirytowały te ciągłe pytania. — Jak będziecie przeszkadzać, to za dwie godziny albo i trzy. Mieszczuchy, psiamać — warknął pod nosem.

Splunął w dłonie, potarł jedną o drugą i wyciągnął z worka kolejną uprząż do przeglądu. Pozostali tak samo jak on sprawdzali mocowania i klamry. Najważniejszy na ścianie jest sprzęt, nie może zawieść. Reszta, to już sprawa siły, wytrzymałości i pomysłu.

— Chodźcie tu, wszyscy — zwołał ich Byku. — Tak, jak powiedział Jall, on idzie pierwszy z Sahanem, ja biorę Caril, Urr pójdzie z Sullą, później Nut z tym wielkim, jak mu tam, Grannem. Po obiedzie czasu będzie mało, bo szybko robi się ciemno. Następna grupa jutro. Możecie iść z nami pod ścianę i patrzeć. Najważniejsze, to nauczyć się porządnego zakładania upręży, zapinania sprzączek i mocowania liny. Wspinaczka to nie są żarty. Do gzymsu mamy prawie dwieście metrów trudnej ściany. Później będzie trochę łatwiej, ale wam już zbraknie sił, a trzeba jeszcze dojść do ścieżki, jakąś godzinę. Teraz rozejść się i nie przeszkadzać! — wydał kategoryczne polecenie i natychmiast zajął się swoją robotą.

Wrócili punktualnie, jak im przykazano. U każdego z nich perspektywa wspinaczki wywoływała dreszczyk emocji. Jedni nie mogli się doczekać, innych ogarniał lęk, bo od samego patrzenia dostawali zawrotów głowy. Wszyscy zaczęli od podstaw. Wcześniej nie mieli do czynienia z tak potężnymi górami, a niektórzy zobaczyli je po raz pierwszy w życiu dopiero w Sylii.

Przez kilka dni ćwiczyli do upadłego. Mieli podrapane dłonie, pozdierane kolana i ból we wszystkich mięśniach. Powoli jednak zaczęli rozumieć, jak ważne jest zapięcie upręży, wyszukanie oparcia dla stóp, mądrość i właściwa ocena sił. Gdyby tak można było zejść do miasta i ścieżką wdrapać się na górę, ale dla nich tamta droga nie istniała,

musieli więc skorzystać z innej, znacznie trudniejszej.

Tydzień nauki dał im jakie takie pojęcie. Przynajmniej zrozumieli, że nie będzie łatwo.

— Caril, jak myślisz, damy radę? — zapytała Sulla.

— Nie mamy innego wyjścia, przecież wiesz. Ale nie zamartwiaj się, Nair da radę nawet z tobą na plecach — zażartowała trochę uszczypliwie.

Od paru dni obserwowała, w jaki sposób jej ukochany braciszek patrzył na Sullę i siostrzana zazdrość wzięła górę, choć Caril nie chciała tego. Nie widzieli się kilka lat i pragnęła, by Nair jej poświęcał najwięcej uwagi. W głębi duszy wiedziała jednak, że czas najwyższy, by Nair znalazł szczęście i dom.

Rankiem wszyscy byli gotowi. Ubrania i buty wybrali dla nich górale. Kobiety uszyły im rękawice z cienkiej, dobrze wyprawionej skóry. Były ciepłe i przylegające do dłoni, zapewniając pewny chwyt. Tobołki i broń przymocowali do pleców, by nie utrudniały ruchów. Pożegnali się już wieczorem, dziękując Sylom za pomoc, opiekę, dom i przyjaźń. Mówiono, że na tych ludzi można liczyć w każdych okolicznościach. Przekonali się o tym na własnej, ale też na ich skórze i żadne podziękowanie nie było wystarczające.

— Chodźmy! Nie ma co opóźniać, bo dzień krótki, a szmat drogi przed nami — ponaglał Jall. — Nie chciałbym iść nocą, bo łatwo można skręcić kark, a światła nie możemy używać. Te skały widać z miasteczka.

Ruszył pierwszy, a tuż za nim Sahan, który najlepiej ze wszystkich radził sobie ze wspinaczką. Był uważny i bystry, a przy tym bardzo wytrzymały mimo zimna, do którego nie przywykł. Następna szła Caril, za nią Kala. Ustawili ich tak, by za słabszym podążał ktoś silniejszy. To dawało nadzieję na jak najszybsze wejście. Byle wspiąć się na ścianę, dalej będzie już znacznie łatwiej.

Wchodzili przez cały dzień, od czasu do czasu odpoczywając i posilając się co nieco. Wszystko na ścianie, bo nie było miejsc, na których dałoby się zatrzymać i odetchnąć. Pierwszy uskok, niewielka jaskinia pojawiła się po czterech godzinach mozolnej wspinaczki, jednak nie było to dobre miejsce do odpoczynku. Wszyscy używali jej raczej do załatwienia pilnych potrzeb, a i tak mieli szczęście, że takie miejsce się znalazło.

Koniec ściany przyjęli z wielką ulgą, ale zapadł już zmierzch i nie było bezpiecznie ruszać w dalszą drogę. Postanowili znaleźć jakąś skalną niszę, w której dałoby się przenocować. Byku znał takie miejsce, ale zimą nie było pewności, że je odnajdzie. Wtedy wtrącił się Kala.

— Czy umiałbyś dokładnie opisać wygląd jaskini? — zapytał.

— Chyba tak, choć byłem tam latem. Czemu pytasz? — Byka zdziwiła ta dociekliwość chłopaka. — Chyba nie masz zamiaru sam jej szukać?

— Mógłbym spróbować odnaleźć to miejsce myślami. Często słyszę otoczenie, momentami aż za głośno — odparł Kala.

— Ale w jaskini nikt nie mieszka, to jak?

— W każdym miejscu istnieją jakieś żywe organizmy. One widzą i słyszą. Może uda się znaleźć mieszkańców. — Kala nie był przekonany, ale chciał spróbować.

— Jaskinia jest jakieś dziesięć minut stąd na zachód. Od krawędzi ściany, po której weszliśmy, może ze trzydzieści metrów. Właściwie to dziura, ale po zejściu na dół mamy piękną komnatę. — Zaśmiał się Byku. — Taka nieregularna sala długa na piętnaście kroków i szeroka na dziesięć. Bardzo wysoka. W środku pełno jeziorzek z czystą wodą i skalnych rzeźb. Pod sufitem wisiało pełno nietoperzy.

— Nietoperze?! — Bardziej stwierdził niż zapytał chłopak. — Gdybym... Tak, to mogłoby...

— Gadasz do siebie, czy do mnie? — Zdezorientowany Byku patrzył na Kalę jak na wariata.

Chłopak jednak nie słuchał. Odszedł kilka kroków i wpatrywał się w ciemność.

— Kala, dokąd się wybierasz? — zawołał za nim Sahan, ale ten tylko machnął ręką, jakby opędzał się od uprzykrzonej muchy i odszedł jeszcze dalej.

Odepchnął wszelkie odgłosy, odcinając się od otoczenia. Czekał dłuższą chwilę, po czym wysłał myśli w kierunku wskazanym przez górala i szukał. Usłyszał pojedyncze dźwięki, ale nie takich się spodziewał. Pokręcił ze złością głową i przeszedł parę metrów do przodu. Spróbował jeszcze raz i jeszcze, aż w końcu w umysł wdarła się fala szelestów i pisków tak wysokich i nieznośnych, że złapał się za głowę i opadł na kolana. Ból był porażający. Z całej siły odpychał go od siebie, aż odrobinę ustąpił. Wtedy Kala zaatakował. Wysyłał fale strachu raz za razem, nie ustając ani na ułamek sekundy. Świdrujące piski i zgrzyty wdzierały się w uszy, powodując mdłości, ale chłopak zignorował je i atakował kolejnymi strzałami zagrożenia i lęku. Klęczał na lodowatej skale, ściskając głowę rękami i posyłając myśli w ten kłęb pisków. Trwało to całą wieczność i poczuł, że słabnie. Ostatkiem sił i woli wypchnął mocną, długotrwałą falę strachu i upadł. Otoczenie wokół wirowało, a w gardle poczuł kwaśną, gryzącą ciecz. Potem już nie panował nad niczym. Wymiotował i słabł coraz bardziej. Sahan i Nair dopadli do niego przerażeni. Sahan okrył go grubym futrem i wlewał do ust wodę. Małymi łyżkami, żeby nie wywołać kolejnych wymiotów. W tym momencie usłyszeli świst i głośnie piski setek nietoperzy. Uciekały z jaskini i krążyły wokół, nie wiedząc dokąd lecieć. Jakby zatraciły instynkt. Byku popędził co sił, próbując dojrzeć w ciemnościach dziurę, przez którą uciekały stworzenia. Mężczyźni wzięli Kalę na ręce i ruszyli w tę samą stronę, aby jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym miejscu z dala od przeszywającego wiatru. Chłopak był w ciężkim stanie, spocony i słaby. Zrobił to, co było trzeba, jednak płacił za to dużą cenę, zbyt dużą. Dotarli do wejścia i przypięli liny do jego uprzęży. Na dole było już trzech mężczyzn, którzy odebrali chłopca. Powoli wszyscy znaleźli się w środku,

— Okryjmy go porządnie — zarządził Sahan.

Byku pośpiesznie rozpałał ogień. Jeszcze latem wtargali na górę sporo drewna, by w razie potrzeby skryć się w jaskini i przeczekać jakiś czas.

— Połóżcie go jak najbliżej ogniska, ciepło jest dobre. Już przestało kopcić, a dym ucieka przez komin. — Byku sam miał dzieci i dobrze wiedział, jak należy postępować w takich przypadkach. Żał mu było chłopaka, ale czuł też dla niego podziw, bo widział podczas bitwy, jak ciężko odchorował tamten wyczyn.

Dziewczyny przetrząsały swoje bagaże, wyciągając z nich zioła przygotowane

przez Sylijki. Caril uczyła się ze dwa dni, które zioła pomogą na brzuch, a które na gorączkę. Miały też specyfiki na wzmocnienie, bóle głowy, zakażenie, a nawet na krwawienie miesięczne. Góralki pomyślały o wszystkim.

Przez całą noc na zmianę czuwali przy chorym. Kala był rozpalony i miał drgawki, a przy tym pocił się tak, że po całym ciele spływały strużki wody. Poili go ziołami i robili okłady ze śniegu. Sahan nie odstępował chłopca ani na chwilę. Przynależ, że nigdy go nie opuści i zamierzał dotrzymać słowa. Namawiali go wszyscy, by w końcu sam też odpoczął, ale widząc, że nic nie wskórają, dali spokój.

Nad ranem przysłała kolejna fala gorączki i drgawek, jednak pół godziny później jego stan zaczął się poprawiać. Tak czy inaczej wiedzieli, że nie wyruszą w dalszą drogę ani tego, ani następnego dnia. Nair siedział obok śpiącej Sulli i zastanawiał się, dlaczego magia tak wykańczała chłopca. On sam nigdy nie doświadczył czegoś takiego. Może kapłani będą umieli mu pomóc. W końcu to mądrzy i doświadczeni ludzie. Trzeba tylko do nich dotrzeć.

Rozdział X — Połączenie

Przymusowy pobyt w jaskini trwał dłużej niż planowali. Czwartego dnia Kala nadal był słaby i nie nadawał się do wędrówki w mrozie i śnieżycy. Góry bywały bezlitosne o każdej porze roku, ale zimą słabeuszom nie dawały najmniejszych szans. Jall zabrał część ludzi i poprowadził ich do zamku. Pozostali musieli jeszcze poczekać. Został z nimi Byku. Sahan zajmował się Kalą na zmianę z Caril. Dziewczyna spędzała z nim dużo czasu. Oboje wiele stracili — rodziny, domy i poczucie bezpieczeństwa, co jednoczyło ich i przyciągało do siebie — a może nie tylko to? Sahan przyglądał się temu z lekkim niepokojem, wiedząc, że związek szacha z kobietą innej nacji nie byłby dobrze widziany przez podwładnych. Caril to jeszcze dziecko, jednak trudno przewidzieć, ile czasu przyjdzie im spędzić poza domem i dokąd ta ich wzajemna sympatia zawędruje. Nie mógł, co prawda, niczego zabronić władcy, jednak obawiał się zostawić go samego, widząc, jak bardzo nadskakuje dziewczynie. Miał tylko nadzieję, że poczucie obowiązku wpajane od dzieciństwa zakorzeniło się na tyle mocno, aby Kala pohamował swoje uczucia. Caril nie mogła zostać nałożnicą. Jej brat, Nair, unicestwiłby każdego, kto próbowałby skrzywdzić albo zhańbić dziewczynę. Była potomkiem królów i w razie śmierci Naira objęłaby tron Morovii. Nie liczyło się, że kraj został podbity i włączony do imperium. Dla Morovów królem był Saendran Nair Karun. Po nim już tylko Caril mogła odziedziczyć koronę, bo póki co, nie wziął sobie żony i nie spłodził potomka. Sahan chciałby już wyruszyć do domu, do Alierii. Miał przecież misję do spełnienia — zebrać oddziały i przyprowadzić je do Sylii najpóźniej latem. Jednak konieczność opieki nad przybranym synem i władcą trzymała go na miejscu. Dopiero co stracił Ahima, a teraz musiałby zostawić Kalę.

— Sahanie, Nair mówi, że możemy ruszać. On sam dopilnuje szachinszacha i doprowadzi go do zamku. — Hakim przekazał informację i skłonił głowę.

W dzieciństwie byli przyjaciółmi, ale od kiedy Sahan został głową szejkanatu i opiekunem Kali, zaczął traktować go jak władcę. Mimo wielu próśb ani Hakim, ani Murda nie potrafili traktować go jak dawniej. Sprawiało mu to przykrość, bo oprócz chłopca nie miał nikogo tak bliskiego, jak ci dwaj.

— To silny i mądry człowiek, ale nie jestem przekonany. Kala jest słaby, nie da rady się bronić. Jall odszedł z naznaczonymi, a Nair z kilkoma góralami musiałby ochronić jego i dziewczęta. Zostaniemy i odprowadzimy ich do zamku. Później, któryś z górali doprowadzi nas do przełęczy i ruszymy do Alierii. Parę dni niczego już nie zmieni.

— Będzie, jak każesz. — Hakim skłonił głowę i odszedł.

Sahan spojrział w kierunku chłopca zadowolony z podjętej decyzji. Kala siedział przy ogniu zamyślony i nieobecny. Był jeszcze dzieckiem w gruncie rzeczy. Na szczupłej twarzy okolonej burzą czarnych loków malowało się jednak poczucie obowiązku.

— Nairze? — zawołał.

Morov odwrócił się i pomachał. Z dwoma góralami wziął się za rąbanie drewna i układanie go w zgrabny stos. Praca pomagała mu zabić nudę. Zgrzał się przy tym tak,

że musiał zrzucić koszulę. Wytatuowane żmije poruszały się w rytm uderzeń topora jak żywe.

— Nair, czy możesz podejść na chwilę? — Kala zawołał głośniejszym głosem, przekrzykując łomot.

Nair dosłyszał tym razem i odłożył topór.

— Koniec? — zapytał Byku.

— Nie, tylko pogadam z młodym i wracam — odparł. — Nie obawiaj się i tak cię pokonam.

— Ha, jak już pogadasz z chłopakiem, a później jeszcze popatrzysz w turkus oczu Sulli, to może i wrócisz. — Góral zaśmiał się swoim grubym głosem, aż echo poszło po jaskiniach.

— Poczekaj no, Byku! Niech tylko wrócę — odgrażał się Nair.

— Moje szlachetne imię brzmi Truk, panie Karun. Byku dla przyjaciół — prychnął z wydętymi ustami. Oczy wyrażały jednak coś zupełnie przeciwnego, uśmiechając się zadziornie. — Miałem na myśli ciebie.

Nair klepnął górala z całej siły, aż zatrzęsała się gęsta broda i czupryna szarych włosów, tak skudłaconych, że nawet grabiami nie dałoby się ich rozczesać. Byku odwzajemnił klepięcie otwartą dłonią. Takie tam czułości twardych mężczyzn.

Nair podszedł do Kali i usiał na skalnej podłodze tuż obok legowiska chłopaka.

— No, co tam, chłopie? Jak z tobą? — zapytał.

— Nie gadajmy o pierdołach. Mam pewien pomysł — rzeczowo odparł Kala. — Jesteś bardzo silny i nie osłabia cię użycie magii. Żaden z naznaczonych nawet się nie spocił, niszcząc kilkunastu ludzi. Pomyślałem, że mógłbym spróbować wzmocnić się trochę. Mam wrażenie, że nieustannie wyczuwam twoją obecność. Z każdym stworzeniem, które czuję i słyszę, potrafię nawiązać połączenie. Co o tym myślisz?

— Nie wiem, Kala. — Pomysł tak zaskoczył Morova, że nie miał pojęcia, co o nim sądzić. — Jak chciałbyś to zrobić? Wiesz, że ja potrafię tylko niszczyć, a zniszczenie jest ostateczne. Obawiam się, że zamiast pomóc, mógłbym cię bardzo skrzywdzić.

— Nie ty używałbyś swojej siły. To ja wziąłbym trochę od ciebie. Musiałbyś tylko pozwolić mi na wkroczenie w twój umysł. Jeśli poczuję, że dzieje się coś złego, to przysięgam, natychmiast odstąpię.

Nair opuścił głowę i zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Potem wstał zdecydowanie i wrzasnął:

— Wszyscy mają usunąć się do bocznej jaskini! Nie wolno wam zbliżać się do nas pod żadnym pozorem. Cokolwiek się stanie, czekacie aż minie.

Sahn poderwał się z miejsca i wyszarpnął kindżał z pochwy. Hakim i Murda stanęli u jego boków z bronią w ręku. Wszyscy trzej zaczęli ostrożnie podchodzić do Naira.

— Stać! — rozkazał Kala, wiedząc, że tylko w ten sposób powstrzyma Sahana. — Rozkazuję wam zrobić to, co powiedział Nair, natychmiast!

Mężczyźni cofnęli się kilka kroków i stanęli w pozycjach gotowych do ataku.

— Rozkazałem, Sahanie! — rzekł szach Alierii, okazując władczość najlepiej jak potrafił.

Skłonili się nisko i tym razem wycofali do bocznej jaskini, gdzie uciekli pozostali

ludzie, nie wiedząc, co się dzieje. Na końcu wychodził Byku, oburącz trzymając topór i patrząc spode łba na obu mężczyzn. Cofał się czujnie jak wilk, w każdej chwili gotów do skoku.

Mężczyźni zostali sami, choć tamci zerkali zza skalnej ściany. Nawet dziewczyny wychylały nosy, wystraszone, ale mimo to ciekawe.

Nair usiadł na podłodze naprzeciw chłopaka. Był spokojny, choć napięte mięśnie mimowolnie drgały, powodując pozorne ruchy żmij na obu rękach.

Kala patrzył wprost w jego oczy, z początku przytomnie. Później jego wzrok stał się nieobecny, przenikając ciało Naira i odpływając ku odległym, niedostępnym dla innych, miejscom. Wślizgiwał się ostrożnie umysłem w umysł, napotykając opór. Zatrzymał się i czekał. Widać ekspansja nie sprawiała tamtemu bólu, gdyż bariery ustąpiły. Natychmiast wykorzystał przyzwolenie i ostrożnie, choć z większym zdecydowaniem brnął dalej, poszukując czegoś, co można by nazwać duszą. Widywał już magię w innych organizmach, choćby zwierząt, więc wiedział, czego szukać. W pewnym momencie dostrzegł coś nieuchwytnego, a jednocześnie tętniącego życiem niczym serce. Zbliżył się i musnął ten byt. Nie stało się nic złego, więc dotknął i stworzył połączenie.

— „Śmiało” — usłyszał w myślach.

— „Czujesz to, widzisz?” — wysłał pytanie.

— „Tak, to jest jak, jak...”

— „Jak żar słońca, jak burza piaskowa.”

— „Bardziej niczym ryk oceanu, sztorm.”

— „Postaram się uszczknąć odrobinę” — poinformował i zaczął przyciągać magię Naira. Miał wrażenie, jakby wypruwał nitkę ze swetra, srebrzystą i drżącą. Otulał swoją moc tą nicią jak kokonem i czuł, że z każdym zwojem przybywa mu sił. To było bardzo kuszące, by wyrwać tę nić w całości i przejąć. Zapanował nad tym odruchem i przerwał połączenie. Po chwili jego wzrok wrócił do rzeczywistości. Spojrzał Nairowi w oczy niepewny, czy ingerencja nie wyrządziła mu krzywdy, ale ten klepnął go w ramię uspokajająco. Rozejrzeli się wokół i to, co zobaczyli, nappełniło ich przerażeniem. Wszystko zasypane było kamieniami i pyłem. Z ogniska odpływały resztki dymu. Poderwali się z miejsc i ruszyli w stronę bocznej jaskini, szukając przyjaciół wśród tego gruzowiska. Najpierw znaleźli Hakima w jednym kawałku, choć lekko poobijanego. Po chwili usłyszeli tubalny głos Byka pomstującego na czym świat stoi.

— A niech was piorun. Myślałem, że już po mnie. Wszystko się trzęsło, popierdalone głupki. — Charczał, pluł i kłął.

Wygrzebywał się spod kamieni, a jego czuprynę pokrywała gruba warstwa pyłu. Twarzy w ogóle nie było widać, tylko zaczerwienione oczy błyskały spod tej maski. Nadal mamrotał jakieś obelgi, ale razem z nimi zabrał się do przeszukiwania terenu. Kwadrans później wszyscy byli już na powierzchni, brudni, podrapani, z guzami na głowie i drobnymi ranami na całym ciele. Nikomu jednak nie stała się jakaś poważna krzywda. Nair z największą uwagą obejrzał obie bliskie sercu dziewczyny i przeproszał je za tę przykrą niespodziankę. Caril tylko machnęła ręką, a Sulla rzuciła mu się na szyję.

— Tak się bałam. Co wyście narobili? Myślałam, że to wszystko zasypie nas i pogrzebie w tej górze na wieki. Nair, mogłeś zginąć! — Uderzała drobnymi piąstkami

w jego piersi i płakała. Wyglądała przy tym tak komicznie z tą brudną twarzą, po której spływały czarne strużki łez, że nie mógł się powstrzymać i ryknął śmiechem. Spojrzała przeraźliwie smutno, jednak po chwili i jej twarz wypogodziła się lekko, aż w końcu zaczęła rzeć razem z nim.

— Gdybyś mógł się zobaczyć. Widać ci tylko oczy i zęby. — Śmiała się przez łzy.

Potem wspięła się na palce i ścierała dłońmi kurz z jego twarzy. W końcu zarzuciła mu ręce na szyję i z żarem pocałowała usta pełne kurzu i piachu.

Sahan był już przy Kali, ale widząc go w doskonałej formie, pogroził tylko zaciśniętą pięścią i westchnął z ulgą.

Rozdział XI — Czas wyruszać

Nair przysiadł na kamieniu i zerkał na Kalę ze zdumieniem i obawą. Chłopak zachowywał się dziwnie. Biegał, podskakiwał i klaskał w dłonie, co chwila wybuchając nieopanowanym śmiechem.

— Kala, co się dzieje? — zapytał.

— Nie wiesz, nie widzisz? — odpowiedział pytaniem na pytanie. — Połączyliśmy moc. Dałeś mi siłę, ale nie to jest najważniejsze. — Rozgorączkowany chłopak chichotał jak szaleniec. — Razem moglibyśmy rozwalić te góry, roznieść na strzępy. Podnieść cały piach pustyni i zasypać nim Eсениę razem z tym jej chorym z nienawiści królem. Moglibyśmy spiętrzyć ocean i zalać ich od krańca do krańca. Nie rozumiesz, Nairze? Razem jesteśmy potężni, niezwyciężeni. — Kala wznosił obie ręce w geście zwycięstwa i chwały.

W tym momencie poczuł uścisk i czubek noża wpijający się w skórę tuż pod uchem.

— Ty głupcze! — Pogardliwy ton Sahana ranił mocniej niż ostrze. — Jeden ruch i poderznąłbym ci gardło. Jesteś niezwyciężony? Każdy dobry łucznik z łatwością trafi w twoje serce, a z tego, co wiem, nie jesteś nieśmiertelny. Naznaczeni też giną. Królewscy powiesili ich na pierwszej lepszej gałęzi. Nie zapominaj, jak zginął twój brat, choć też był obdarzony magią. Nigdy o tym nie zapominaj!

Sahan oderwał nóż i odepchnął chłopaka ze złością. Oszołomiony Kala zatoczył się na skalną ścianę. Uśmiech znikł z jego twarzy.

— Masz rację, wuju. Dzierżąc taką siłę, zapomniałem o wszystkim. Poczulem się jak bóg, a przecież nim nie jestem. — Opuścił głowę i skulił ramiona.

Caril podeszła do niego i pogłaskała po włosach jak dziecko. Potem spojrzała mu w oczy i leciutko musnęła palcem swoje, a później jego usta.

— Nie martw się. Sahan prędzej nadstawiłby własną głowę, niż pozwolił tknąć twoją. Mój brat też. Jesteś ważną osobistością i prawdopodobnie częścią przepowiedni. Wszyscy muszą dbać o twoje bezpieczeństwo.

Nair myślał jednak o słowach Kali, uświadamiając sobie, że chłopak mówił prawdę. Podczas połączenia poczuł się przez moment niezwyciężony, nietykalny. Miał też nieodpartą pokusę, by wyrwać tę drugą, obcą moc i zatrzymać ją dla siebie. Jakiś głos zachęcał, wręcz nakazywał, by użyć jej w sposób dowolny, nieobliczalny. Smagać nią wokół niczym batem i patrzeć, jak wszystko się rozpada. Opanował te podszepty całą siłą swojej woli. Zerknął na Kalę z podziwem, wiedząc, jak wielka była pokusa i jakiej siły charakteru wymagało odepchnięcie jej od siebie. Jemu przyszło to z wielkim trudem, a Kala był przecież taki młody. Nie zmieniało to jednak nabytej pewności, że razem mogą stanowić ogromną, niszczącą moc. Użyli tylko jej skrawka, by wzmocnić nadwątlone zdrowie chłopca, ale co mogłoby się stać, gdyby zaczerpnęli jej trochę więcej albo w całości? Nair zadrżał na tę kuszącą, ale straszną myśl. Jeszcze raz spojrzał w stronę Kali. Napotkał jego wzrok, nieco chłodniejszy niż przedtem, odzwierciedlający jednak podobne myśli. Nieme porozumienie zostało zawarte, co obaj przyjęli z westchnieniem

ulgi.

Byku wstał o świcie i od kilku minut obserwował pogodę. Przez ostatnie dwa dni nie dało się wyściubić nosa z jaskini. Śnieżyca szalała, zasypując ludzkie ślady w ułamkach sekund i ograniczając widzenie do kilku kroków. Zadarł głowę i przepatrywał niebo. Nadal zasnute było ciężkimi chmurami, ale śnieg i wiatr już zelżał. Drobne, wirujące gwiazdki powoli opadały na skudłacone włosy i odzienie mężczyzny, wieszcząc rychłą zmianę na lepsze. Nie było na co czekać, bo w górach tak olbrzymich jak Pallary pogoda mogła się zmienić w okamgnieniu. Zszedł do jaskini, gdzie spakowani i gotowi do wymarszu ludzie pośpiesznie przygotowywali śniadanie.

— Możemy wyruszać. Parę godzin marszu i będziemy na miejscu — oświadczył Byku. — Trochę prószy, ale w najbliższym czasie powinno być lepiej. Zbierajcie się, bo im wcześniej wyjdziemy tym lepiej — dodał.

Spięte twarze rozluźniły się w uśmiechu. Wszyscy mieli dość siedzenia w zasypanej kamieniami dziurze. Tkwili w niej od tygodnia, więc z ulgą przyjęli dobre wieści.

Godzinę później grupa ostrożnie przemieszczała się granią, zachowując nakazane przez górali odstępy. Zasypany, śliski szlak zmuszał do szczególnej uwagi, toteż ludzie, pochylając głowy przysłonięte kapturami, posuwali się dość wolno.

Zaczynało już szarzeć, kiedy poczuli pod stopami płaskie kamienie, o dziwo, bez śladu śniegu. Trakt był szeroki na jakieś osiem kroków i stale się rozszerzał, dochodząc do pionowej skały. Mijając ją, znaleźli się na tarasie odgrodzonym od przepaści skalnym murem, niezbyt wysokim, sięgającym mężczyznom do piersi. Drugą stronę tarasu zamykała równie strzelista ściana jak ta, którą minęli wcześniej. Tkwiły tak z obu stron placu, rozcapierzone niczym skrzydła olbrzymiego orła chroniącego gniazdo. Pomiędzy nimi mieścił się zamek, choć w pierwszej chwili trudno było go dojrzeć. W skalnych, wyrzeźbionych przez naturę ścianach dostrzegli bramę z kutej blachy grubej na pół łokcia. W jej lewym skrzydle znajdowała się furta, którą z powodzeniem dałoby się przeprowadzić konie, a nawet wielbłądy. Byku uderzył obuchem topora dwukrotnie, po czym zrobił krótką przerwę. Potem jedno uderzenie, przerwa i ponownie dwa. To był umówiony znak, gdyż furta uchyliła się z lekka, ukazując łysą głowę kapłana okrytą czarnym kapturem płaszcza.

— Witajcie, dobrzy ludzie — rzekł miłym, niskim głosem, otwierając drzwi znacznie szerzej.

Pochwycił w obie dłonie rękę Byka i przyłożył do niej czoło, co ten odwzajemnił. Pozostali mężczyźni przywitali się podobnie, szanując obyczaj. Kapłan czym prędzej wpuścił wszystkich do środka i zamknął furtę na gruby, stalowy skobel. Ruszył przed siebie, dając znak przybyszom, by szli za nim. Było już zbyt ciemno, aby móc przyjrzeć się murom zamku. Kapłan wyjął pochodnię z wiszącego na ścianie słomianego kosza i zapalił ją, rozpraszając nieco panujący mrok. Wprowadził gości w korytarz wykuty w skale i powiódł jego odnogami odchodzącymi we wszystkie strony. Gdyby nie przewodnik, to odnalezienie drogi w tym labiryncie byłoby niemożliwe dla przybyszów. Korytarze miały nierównomierne kształty wynikające z naturalnego układu skalnych przejść. W końcu kapłan doprowadził gości do wielkiej sali będącej w gruncie rzeczy

jaskinią ze skalnymi filarami jarzącymi się ciepłym światłem. Ze ścian wystawały lampy o tak niespotykanych kształtach, że wszyscy gapili się na nie z ogromnym zaciekawieniem. Jedne przypominały głowy ptaków z kłozami w kształcie dziobów, inne gałęzie drzew obsypanych świecącymi liśćmi. Jeszcze inne wyglądały jak falujące chorągwie albo płatki kwiatów. Wszystko w tej sali wynikało z naturalnej budowy skał i stalaktytów pokrywających ściany i sufit. Komnatę doświetlały też promienie słońca wpadające przez komin skalny wychodzący aż na powierzchnię. Pod nim znajdowało się turkusowe, krystalicznie czyste jezioro, w którym swoje odbicie znajdowały przepływające chmury.

— Jak to możliwe, że nie wpada tędy śnieg? — zapytała ni stąd ni zowąd Caril gapiąca się w prześwit komina z zadartą głową.

— Sprawił to ostatni król Sylii, Roan Brodaty, panienko — odpowiedział kapłan z nieskrywaną dumą. — Te wszystkie światła to też jego dzieło. Zapalił je ponad sto lat temu i nigdy żadne z nich nie zgasło.

— Och, jesteście wreszcie! Łeb mi pękał od tego myślenia — wykrzykiwał Jall z wielką ulgą i niepohamowaną radością w głosie. — Już miałem organizować wyprawę ratunkową. Zdobywałeś Rastow, Byku, czy co? — Zaśmiał się i rażno poklepał przyjaciela po plecach.

— Rastow? A co to takiego? — zapytał Sahan.

— Widziałeś tę szpicę po prawej? To właśnie Rastow-Zabójca. Wielu próbowało zdobyć szczyt, ale nikomu to się nie udało jak dotąd — objaśnił Nair. — Podchodzili do niego górale, ale i nasi wspinacze. To jedyny niezdobyty szczyt Pallarów, zabójca — stąd jego nazwa.

Sala w mig zaludniła się niemal po brzegi, gdyż wieści obieły zamek niczym wiosenne pyłki. Grupy Byka oczekiwano od kilku dni, a że pogoda dawała mocno w kość, to wszyscy byli zaniepokojeni, obawiając się najgorszego. Tym bardziej zapanowała ogólna radość, że dotarli cali i zdrowi. Naira zdziwiła tak liczna grupa naznaczonych, toteż odciągnął na bok kapłana, by zapytać, w jaki sposób dotarli do zamku.

— Różnie, panie. A to w przebraniu kapłańskim, a to w workach z kartoflami. — Uśmiechnął się i kontynuował: — Niektórych upchnęło się nawet w wypatroszone woły czy duże wieprzki. Ważne, że dotarli.

Rozdział XII — Bohater czy zdrajca?

Zaprowadzono ich do komnat, jak się okazało niewielkich jaskiń, wyposażonych tak, by gościom żyło się wygodnie. Szerokie łóżka z siennikami wypełnionymi miękką, suchą trawą, piękne szafy rodem z Alerii, na skalnej podłodze baranie skóry i ciepłe oświetlenie, czyli rozjarzone stalaktyty przygasające w nocnych godzinach. Nikt nie wiedział, jak to działało, w jaki sposób rozpoznawało pory dnia i nocy, gdyż w pomieszczeniach siłą rzeczy nie było okien. Król Roan zaplanował to szczegółowo, wykonał i funkcjonowało przez ponad sto lat. Był magiem, bardzo silnym i utalentowanym. Wymyślił nawet system kanalizacyjny dla zamku, wykorzystując naturalne ciek i źródła. Wchodząc do swoich komnat, większość gości daremnie poszukiwała dzbanów czy misek, a także nocników. Służba z dumą pokazywała, gdzie znajdują się łaźnie. Objasniała, jak podgrzać wodę albo skorzystać z gorącej pary, polewając palenisko. Dym, zarówno z łaźni, jak i pomieszczeń kuchennych, wydobywał się licznymi kominami skalnymi. Zamiast nocników w wielu miejscach rozlokowane były wychodki z przepływającą wodą. Wszyscy zachwycali się rozwiązaniami tego zamku, a kobiety aż piszczały z radości, mogąc urządzić sobie kąpiel. Cały zamek znajdował się we wnętrzu góry, a poszczególne pomieszczenia łączył system korytarzy i schodów. Wykorzystano kompleks jaskiń, przystosowując go do potrzeb ludzi. Dobrze zaopatrzony w żywność i wodę, której nie brakowało w naturalnych źródłach, był praktycznie nie do zdobycia. Nair zachodził w głowę, jak mogło dojść do wymordowania rodziny królewskiej w takim miejscu.

Godzinę później wszystkich poproszono na kolację. Sala jadalna, podobnie jak tronowa, także wykorzystywała naturalną przestrzeń jaskini, choć wielki stół i ławy wykonały zręczne ręce górali z dębowego drewna sprowadzanego z Morovii. Zamek w świetnej kondycji utrzymali kapłani, choć nie brakowało też służby. Przez te wszystkie lata kolejne pokolenia trwały w gotowości, jakby król miał wrócić lada moment.

Gości usadzono przy wielkim stole bez ustalonego porządku. Nair zasiadł pomiędzy dwiema najbliższymi sobie kobietami, usługując im na zmianę, by zapobiec zazdrości. W pewnym momencie wychylił się mocniej, sięgając po dzban grzanego wina i wtedy dostrzegł eseńskiego zakonnika.

— Co on tu robi? — wykrzyknął w kierunku kapłana, który wprowadził ich do zamku. — Kto tu wpuścił tego eseńskiego zbrodniarza? — Poderwał się z miejsca, nie czekając na odpowiedź. Ruszył w stronę zakonnika z mieczem w ręku i wściekłością w oczach.

Za nim skoczył też Sahan mający własne porachunki. Każdy z nich stracił najbliższych, zawdzięczając to Zakonowi Boga Stworzenia. Tak na dobrą sprawę, to niemal wszyscy siedzący przy stole mieli powody, by wstać i zabić. Kilku kapłanów zerwało się od stołu, biegnąc w stronę nieszczęśnika i zasłaniając go niczym tarczą.

— Stójcie! — kategorycznie wystąpił kapłan. — Nie pozwolę go tknąć. Nic o nim nie wiecie, a grozicie bronią? Brat Anchel jest naszym gościem. Musiał uciekać z własnego kraju, kiedy sprzeciwił się przeorowi i odmówił udziału w polowaniach.

Nairze, ten człowiek jest bez winy, więc odstęp! Wszyscy odstąpcie! — Miły kapłan okazał się twardym przeciwnikiem, bez lęku patrzącym w oczy wojowników.

Zakonnik siedział skulony, zakrywając twarz dłońmi. Po jego czole spływał obficie pot, tym bardziej, że mężczyzna był dość pokaźnej tuszy. Nair zatrzymał się dwa kroki przed nim, nie bardzo wiedząc, co o tym myśleć. Nagle spostrzegł Kalę przepychającego się obok i zmierzającego wprost do zakonnika. Chłopak wyciągnął obie dłonie, pokazując, że nie ma broni, po czym odsunął zagrażającego drogę kapłana. Przepuścili go, a on usiadł obok grubasa, popatrzył mu w oczy bez słowa i obejrzał się na Naira. Jego wzrok mówił wszystko. Nair pokiwał głową i wycofał się, pociągając za sobą Sahana.

— Co? Co się stało? — spytał Alierczyk.

— Prześwietlił go i chyba potwierdził jego niewinność — odparł Nair, wiedząc, że to tylko część prawdy.

Uspokoił się nieco i wrócili do stołu. Kolacja upłynęła w niezręcznej ciszy, a później wszyscy dość szybko opuścili jadalnię. Kapłani zatrzymali Naira, Sahana, Kalę, kilku naznaczonych i Anchela. Poprosili ich do niewielkiej komnaty, częstując winem albo doskonałym sylskim miodem.

— Brat Anchel był świadkiem rozmowy królowej imperium, Sylwii, z przeorem zakonu — zaczął bez zwłoki kapłan. — Dotyczyła jej syna. Królowa była zaniepokojona jego zachowaniem. Naciskał na nią, by zrobiła porządek z „tym szatańskim pomiotem”, jak się wyraził. Tym mianem określał wszystkich obdarzonych magią z krajów podbitych. Jego nienawiść wzrosła po przegranej wyprawie morskiej na jakieś wyspy. Kilkadziesiąt okrętów eseńskich zostało zajętych przez wyspiarzy, a ludzie wycięci niemal do zera. Wrócił tylko jeden żaglowiec. Jego załoga opowiadała o demonach z wyspy, które żywcem grzebały żołnierzy w dziurach w ziemi. Te istoty potrafiły przemieniać się w drzewa i skały, a potem nagle atakowały zniecka i znikwały jak duchy. Podobno jedna z nich zamknęła pierścieniem ognia całą flotę i trzymała ją ponad trzy dni. Nawet zakonnicy eseńscy nic nie mogli zrobić, bo wobec takiej potęgi byli bezsilni.

— Mój brat, Olande, zginął prawdopodobnie w czasie tej wyprawy. Od kupców słyszałem, że wypłynął z zakonnikami. Od tamtej pory nikt go już nie widział — przerwał Nair.

— Niewielu wróciło, ale jeśli twój brat tam był, to może któryś z nich coś by o tym wiedział — odparł kapłan. — Wróćmy jednak do ostatnich wydarzeń. — Brat Anchel usłyszał też coś, co napełniło go przerażeniem i odrazą — kontynuował. — Edmur Anvil III, bo tak nazywa się obecny władca eseński, zażądał od matki, by nakazała wyłapanie wszystkich dysponujących magią Morovów, Alierczyków czy Sylów i spalenie ich na stosach — dla przykładu. Wszystkich, oznaczało także kobiety i dzieci. Królowa zdecydowanie odmówiła, z czego następca tronu nie był zadowolony, przeor zakonu też. Anchel uznał, że królowej może grozić niebezpieczeństwo, próbował więc ostrzec ją, a nawet chronić. Z samego rana udał się do zamku i poprosił o audiencję. Wtedy dowiedział się, że królowa zmarła nagle na apopleksję. Następca tronu szykował uroczysty pogrzeb monarchini. Anchel poprosił służbę o zaprowadzenie do sali, gdzie przygotowywano ciało do pochówku. Zdążył w samą porę, gdyż zakonnicy już rozpoczęli proces balsamowania, wyjąwszy uprzednio wnętrzności. Leżały na kamiennej podstawie

gotowe do oczyszczenia i poddania suszeniu, by wrócić z powrotem do balsamowanego ciała. Wyznawcy Kościoła Boga Stworzenia wierzyli, że zmarły w całości odchodzi do Boga, by móc żyć po drugiej stronie. Anchel, oglądając wnętrze stwierdził otrucie, co tylko potwierdziło jego podejrzenia. Wiedział już, co szykuje nowy król do spółki z zakonem. Postanowił przeciwdziałać. Natychmiast udał się do rady zakonnej, by przedstawić swoje spostrzeżenia i obawy. Usłyszał wtedy, że jako członek zakonu ma obowiązek wypełnić złożone śluby i pokornie wykonywać polecenia przeora. Kiedy odmówił, zakonni bracia najpierw obezwładnili jego umysł, by potem wtrącić go do zamkniętej celi. Przez wiele tygodni usiłowali wymusić posłuszeństwo torturami zarówno psychicznymi, jak i fizycznymi. Mimo zniewolenia, brat Anchel zachował niewielką kontrolę umysłu. W końcu postanowił użyć blefu. Zaczął udawać, że stracił władzę nad sobą i przysiągł wypełniać wolę przełożonych. Wypuszczono go i pokazywano innym opornym, że oto nastąpiło u niego nawrócenie. Przez kilka kolejnych dni utrzymywał wszystkich w tym mniemaniu, choć jako człowiek prawdomówny brzydził się takich metod. Któregoś dnia wyruszył z pierwszą grupą pacyfikacyjną udającą się do Morovii. Kiedy oddział zatrzymał się na nocleg w pobliżu Pallarów, wykorzystał swoją moc, wprowadzając ludzi w trans, i uciekł. Bez przeszkód dostał się do miasteczka, nikt bowiem nie śmiał zatrzymywać eseńskiego zakonnika. Tam znalazł kapłana-przewodnika, który przyprowadził go do zamku, wysłuchawszy uprzednio całej historii.

— Chcesz nam pomóc? — Sahan z powątpiewaniem zwrócił się do Anchela.

— Tak, zrobię, co tylko w mojej mocy — odparł, czerwieniąc się przy tym jak dziewczynka. — Nie można pozwolić, by ten tyran, człowiek owładnięty nienawiścią i chęcią zbrodni, wcielił swój chory zamysł w życie. Znam jego plany, a także możliwości. Jeśli pozwolicie, to pomogę, bo mój naród już dość unurzał swoje ręce we krwi. Czas z tym skończyć! — zakończył bardziej stanowczo, niż można by przypuszczać.

Rozdział XIII — Niespodzianki są dobre?

Kala przez cały czas sprawiał wrażenie nieobecnego. Niby słuchał, ale jego wzrok temu zaprzeczał. — Kala? — Nair przysiadł obok, patrząc z niepokojem. Chłopak drgnął i przestraszonym spojrzeniem omiół komnatę.

— On mnie przyzywa — odparł bardziej do siebie niż do przyjaciela.

— Kto? — Nair zadał to pytanie, sądząc jednak, że zna odpowiedź.

— Anchel, jego magia, przecież wiesz — odburknął Kala, potwierdzając przypuszczenia. Spojrzał Nairowi w oczy z wyraźnym lękiem. Ten poklepał go po ramieniu uspokajająco, po czym dodał:

— Mnie też, więc nie musisz się tego bać. Obaj wiemy, on chyba też. — Wskazał zakonnika ruchem głowy. — Cokolwiek to znaczy, stanowimy jakąś wspólnotę. Od kiedy połączyłeś nasze umysły, wyczuwam, niemal słyszę, każdy twój ruch. Sądzę, że z tobą jest podobnie. Nie podoba mi się to ani trochę, bo nikt nie lubi ciągłej obecności drugiej osoby. Nie potrafię jednak nic z tym zrobić, choć próbowałem. Musimy z nim porozmawiać, dowiedzieć się wszystkiego o planach króla. Chodźmy spać, jutro z nim pogadamy.

Wczesnym rankiem wyszli pożegnać Sahana i jego ludzi. Wyruszyli w góry, by przedostać się do Alierii. Zżyli się przez te dni i nawet Sulla wstała o świcie, by odprowadzić przyjaciół, bo po tym, co razem przeżyli, można było mówić o przyjaźni. Stała na tarasie opatulona futrem z oczami zaczerwienionymi od płaczu.

Sahan podszedł i uściskał ją serdecznie, choć nie było to w zwyczaju Alierczyków.

— Nie płacz, wkrótce znów się spotkamy — pocieszał dziewczynę, ocierając spływające po jej policzkach łzy. — Lepiej uśmiechnij się i życz nam powodzenia.

— Nie płaczę, to tylko wiatr — odparła łamiącym się głosem. — Idźcie już, bo dzień krótki. Będę o was myśleć i prosić Ara o opiekę nad wami.

Nair też już się pożegnał. Po męsku uścisnęli sobie dłonie bez zbędnych wzruszeń i słów. Podobnie próbował zachować się Kala, jednak jego młodość sprawiała, że nie potrafił jeszcze maskować uczuć. Nair odszedł nieco, by nie krępować chłopca. Sahan był mu opiekunem i ojcem, a po śmierci Ahima jedyną rodziną.

Nair przygarnął ramieniem Sullę i zawrócił z nią do zamku. Odprowadził pod same drzwi komnaty i chciał odejść, ale wtedy rozsłochała się na dobre. Była taka drobna i krucha. Chciałby ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze, ale wiedział, że dając złudną nadzieję, narazi ją tylko na większy ból w przyszłości. Delikatnie pocałował dziewczynę w czoło i lekko odepchnął. Ona jednak nie pozwoliła na to, przytrzymując go wpół mocniej, niż mógłby przypuszczać.

— Nie odchodź. Wszyscy już ode mnie odeszli, rodzice, rodzeństwo, ale ty nie odchodź. — Spojrzała mu w oczy, przekazując miłość mocniej niż słowami. Pociągnęła go za sobą do komnaty i ledwo drzwi zatrzasnęły się za nimi, zaczęła całować jego oczy i usta. Nie bronił się, nie mógł, nie miał na to sił. Od kilku lat obserwował tę dziewczynę, a od kilkunastu dni wiedział, że to właśnie z nią pragnie żyć.

— Nie powinniśmy, Sullo — mruknął między pocałunkami.

— Nie powinniśmy? — warknęła zezłoszczona. — Nie powinniśmy? — rzuciła mu prosto w twarz. — A powinniśmy ginąć? Nasi bliscy powinni ginąć? Czy ty może wiesz, Nairze Karun, ile dni nam dano? Myślisz sobie, że mamy czas? Ja tak nie myślę. Polują na takich jak ty niczym na dzikie zwierzęta. Mogą upolować cię każdego dnia. Idź precz! — Odepchnęła go od siebie z całej siły. Podbiegła i pchnęła jeszcze raz i jeszcze.

Chwycił jej dłonie odrobinę za mocno. Przyciągnął do siebie i znów odrobinę za mocno otulił ramionami. Chciała coś powiedzieć, zaprotestować, ale nie pozwolił, zamykając jej usta swoimi. Potem odsunął ją leciutko, odpiął klamrę kaptura i zsunął futro na podłogę. Patrzył prosto w zaczerwienione łzami oczy i rozpinął guziki sukni. Delikatnie odsłaniał szyję i ramiona dziewczyny, muskając pocałunkami. Suknia podzieliła los futra, ścieląc się u jej stóp. Chciała zasłonić się rękami, ale na to też nie pozwolił. Patrzył na jej drobne ciało z zachwytem i pożądaniem. Okręzał kocim krokiem drapieżnika, muskając ustami a to szyję, a to niewielkie piersi. Zrzucił kubrak i koszulę, odsłaniając muskularne ciało, a potem przyciągnął ją do siebie ramionami, na których pyszniły się żmije. Położył dziewczynę na rozrzuconym futrze, ostrożnie niczym kruchą, alierską porcelaną. Później czułość zastąpiło pożądanie, dzikie i pierwotne. Kochał i pochłaniał jej ciało, pragnąc więcej i więcej. Odwzajemniała to pragnienie każdą swoją cząsteczką. Jeszcze tylko przez jeden moment okazał delikatność. Później została już tylko żądza. Nair zrozumiał tego poranka, że pragnie tej kobiety jak powietrza, że nie umiałby bez niej istnieć ani jednego dnia dłużej, ani jednej chwili.

Nie pojawili się podczas śniadania ani obiadu. Zaniepokojona Caril zaczęła ich szukać. W końcu zapukała do Sulli, ale nie słysząc odpowiedzi, zajrzała ostrożnie. Stała jak wryta, widząc swojego brata śpiącego na ramieniu przyjaciółki. Wycofała się cichutko i uciekła do siebie. Wpadła do komnaty, fukając jak zjeżona kotka. Tupała nogami ze złości i warczała. Kiedy emocje trochę opadły, usiadła na wielkim łóżku i rozplakała się jak mała dziewczynka. Wreszcie uspokoiła się jakoś, a potem zaczęła myśleć.

Na kolacji zjawili się oboje, choć Sulla była mocno stremowana i niespokojna. Caril wstała od stołu, podeszła do niej i mocno przytuliła prawdziwie siostrzanym uściskiem. Sulla odetchnęła tak głęboko, że Caril buchnęła śmiechem. Później już obie śmiały się i gadały jak przedtem, jak zawsze. Nair po prostu promieniał szczęściem, bezczelnym i wielkim, okazując to każdym słowem, ruchem i spojrzeniem. Patrzył na Sullę niemal bez przerwy, wprawiając ją w jeszcze większą konsternację. W końcu nie wytrzymała i kopnęła go pod stołem w kostkę, mocno i boleśnie. Ledwo powstrzymał się od krzyku, ale jęknął na tyle głośno, by wywołać śmiech Caril.

Rozdział XIV — Królewskie zaręczyny

Choć minęły już cztery dni, Nair nadal odczuwał ból w kostce. Sulla mocno przyłożyła się do tego kopniaka. Na dodatek unikała go od tamtego dnia. Nie rozumiał, o co się pogniewała, skoro to ona okaleczyła jego, a nie odwrotnie.

— Caril, może ty wiesz, o co jej chodzi? — zagadnął siostrę przy śniadaniu.

— Ech, Nairze, taki z ciebie dorosły mężczyzna, wojownik, a zupełnie nie rozumiesz kobiet — odparła z lekka ironicznie.

— To znaczy? — faktycznie nie rozumiał.

— Sulla to nie jakaś dziewczka służebna — wyjaśniła już poważnie. — Myślę, że chciałyby wiedzieć, ile dla ciebie znaczy i co zamierzasz. Nie wystarczy, braciszku, powiedzieć, że ją kochasz. Trzeba to udowodnić.

— Nie traktuję jej jak dziewczki, nigdy tak nie było — warknął ze złością. — Powiedz jej to, jeśli możesz, bo mnie unika jak ognia. Sam chętnie bym to zrobił, ale jakoś nie mogę jej spotkać. Wiele razy pukałem do drzwi. Zamknęła się niczym w twierdzy. Caril, jesteś moją najbliższą rodziną, jedyną, jaką mam. Pytam ciebie, bo Sulla nie ma nikogo bliskiego. Czy poprosisz moje małżeństwo z Sullą Mar?

— Braciszku, twoje szczęście jest dla mnie najważniejsze. Mam nadzieję, że nie zapomnisz o swojej małej siostrze — zaśmiała się i uściskała go serdecznie. Potem, poważnie już, dodała:

— Saendranie Nairze Karun — ja, twoja siostra i kolejna w sukcesji do tronu Morovii, Caril Karun, udzielam ci zgody na zawarcie związku z Sullą Mar. Udzielam ci także poparcia w uczynieniu jej w przyszłości królową Morovii. Powtórzę te słowa publicznie w obecności przebywających w tym zamku Morowów i kapłanów. — Dotknęła dłonią jego czoła, ust i piersi tak, jak uczyniłby to ojciec i matka.

Nair stał przed nią poważny i milczący. Po chwili uśmiechnął się, chwycił jej dłonie, ucałował, a potem ruszył biegiem jak chłopiec. Zdyszany dotarł do komnaty Sulli i zaczął walić w drzwi. Nie otwierała, ale on nie przestawał. W końcu zdjął pierścień z palca, wsunął w szparę pod drzwiami i wrzasnął:

— Przyszedłem prosić cię o rękę. Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, trudno. Zostawiam swój pierścień i proszę, byś to przemyślała. Wiedz, że jesteś dla mnie najważniejsza, ale po raz drugi nie poproszę. — Odwrócił się na pięcie i odszedł. Urażona duma dała o sobie znać.

Był zły, wręcz wściekły, ale okazywanie takich uczuć nie przystało mężczyźnie w jego wieku, szczególnie potomkowi królewskiego rodu. Musiał czymś się zająć. Ruszył na dziedziniec, gdzie ludzie ćwiczyli walkę. Sporo młodych naznaczonych nieporadnie okładało się drewnianymi mieczami, znacząc ciała siniakami. Niektórzy z dumą prezentowali guzy na głowach albo krwiste plamy na twarzy czy ramionach. Nair wziął miecz do ćwiczeń i podszedł do tych najmłodszych. „Dzieci, to jeszcze dzieci” — pomyślał z goryczą — „a ja chcę ich wysłać na wojnę”.

Morowowie walczyli bez tarcz, używając dodatkowo krótkiego miecza. Co prawda drewniana broń do ćwiczeń, poza paroma siniakami, raczej nie powodowała większych

obrażeń. Kiedy jednak stanął naprzeciwko Jalla, musiał użyć tarczy. Uderzenie toporem, nawet kontrolowane, mogło dotkliwie zranić. Sporo wysiłku kosztowała go ta walka, gdyż niższy o głowę przeciwnik miał wyraźną przewagę. Nair próbował to z jednej, to z drugiej strony, nadrabiając brak doświadczenia szybkością, ale krępy góral robił uniki z godną podziwu wprawą. W odpowiedzi natychmiast wyprowadzał atak, zmuszając Naira do coraz bardziej rozpaczliwej obrony. Walka trwała już ponad kwadrans, dając się obu we znaki. Nair, z ciężkim oddechem i mokrymi włosami, z podziwem patrzył na wytrzymałość górala. Na koniec Jall pogratulował Morovowi, doceniając jego szybkość i siłę. Umówili się na następny dzień, co wszyscy przyjęli z entuzjazmem. Doświadczenia z bronią i kobietą nigdy dość, jak mawiał Byku. Decyzja o walce z imperatorem zapadła, naznaczeni przybywali niemal każdego dnia. Zamkowe kuźnie ruszyły, a ludzie w pocie czoła wykuwali broń. Kala i Anchel włączyli się w te prace. Wspólnie wymyślili magiczne sploty uszlachetniające wykuwane ostrza. Wyjątkowo dobrze dogadywali się ci dwaj zamknięci w sobie, nieśmiali ludzie. Można by powiedzieć, że połączyła ich nie tylko magia, ale też przyjaźń. Anchel postanowił przeszkodzić swojemu władcy w szerzeniu nienawiści i zagłady, toteż starał się jak mógł, by pomóc w przygotowaniach do wojny. Nie czuł się zbyt dobrze, wiedząc, że zostanie okrzyknięty zdrajcą, ale nie widział innego wyjścia. Okrucieństwo można pokonać tylko siłą, gdyż inne argumenty nie trafiały do szalonego króla.

Nair wszedł do wielkiej jadalni i zajął miejsce obok siostry. Kiedy podano do stołu, do sali weszła Sulla. Kroczyła dumnie w kremowej, gładkiej sukni pod szyję. Jediną ozdobę stanowił złoty łańcuch z zawieszonym pierścieniem rodowym Naira. Podeszła do stołu i zajęła miejsce obok niego. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła leciutko. Był szczęśliwy i dumny, podziwiając mistrzostwo, z jakim rozegrała tę partię. Wejście było prawdziwie królewskie. Wyglądała pięknie i wzbudziła prawdziwy zachwyt mężczyzn siedzących przy stole. Zaręczynowy pierścień na piersi nie mógł zostać niezauważony. Nawet Byku chrząknął znacząco i zawadiacko puścił oko do Naira. Po kolacji narzeczeni spotkali się z kapłanami Ara, by omówić przebieg uroczystości zaręczyn. Nie można było dokonać koronacji w obcym kraju, ale wszyscy Morovowie wiedzieli, że Nair będzie ich królem, a właściwie, to już nim był.

Przygotowania trwały trzy dni. Służba dwoiła się i troiła, by zdążyć na czas. Caril kierowała wszystkim i trzeba przyznać, że radziła sobie doskonale. Sulli nie pozwolono uczestniczyć w tych pracach. Spacerowała, próbując podejrzeć cokolwiek albo obserwowała ćwiczących na placu mężczyzn.

W końcu nadszedł dzień uroczystości. W zamkowej kaplicy oczekiwali kapłani Ara, uznawanego zarówno przez Morovów, jak i Sylów. Było też kilku kapłanów z Morovii przybyłych razem z naznaczonymi. Oni wyznawali wiarę zarówno w Ara, jak i pozostałych czterech bogów — Crona, Umana, Hona i Brala — uważając, że tylko cała piątka bogów połączona w jedno mogłaby przywrócić dawny porządek, powstrzymać imperium i zwrócić narodom wolność. Modlili się o to żarliwie i wierzyli, że nadejdzie kiedyś taki dzień. Ustawieni w półkole kapłani otaczali Naira. Kaplica nie miała żadnych ozdób poza światłem promieniującym ze ścian. Nie było w niej też żadnych przedmiotów kultu. Król Roan, tworząc to miejsce, uznał, że modlitwy winny trafiać do bogów. Każda

piękna rzecz umieszczona w kaplicy rozpraszałaby wyznawców.

Nair, ubrany w czarny, długi do kolan kaftan, czarne spodnie i buty z cholewami, wyglądał bardzo dostojnie. Srebrna opaska na czole symbolizowała królewskie pochodzenie. Nie miał żadnej broni, gdyż tak nakazywał obyczaj. Czekał na przyszłą królową spokojny, choć Kala czuł jego emocje i wiedział, że ten spokój ma swoją cenę.

— Kim jesteś, człowieku? — zapytał kapłan.

— Jestem Nair, następca tronu Morovii — odpowiedział lekko drżącym głosem.

— Na kogo czekasz w obliczu bogów?

— Czekam na moje serce, na moje odbicie, na tę, która zechce mi towarzyszyć do końca moich dni — odpowiadał zgodnie z obyczajem. — Czekam na miłość.

— Oto przybywa — zapowiedzieli chórem kapłani.

Sulla w towarzystwie dwóch młodych kobiet kroczyła dostojnie środkiem kaplicy. Wyglądała pięknie, choć suknia była wyjątkowo skromna. Długie włosy zdobiła tylko złota wstążka przepasująca czoło. Na szyi niezmiennie kołysał się pierścień Naira. Podeszła do wybranka i ujęła jego dłonie w swoje.

— Przybyłam do ciebie, Nairze, bo jesteś moim sercem, moją duszą i miłością. Przybyłam do ciebie i chciałabym zostać z tobą na zawsze.

— Czy stoi przed tobą ta, na którą czekałeś? — zadał kolejne pytanie kapłan.

— Tak, to jest moja wybranka — odparł głośno i pewnie, by nikt nie miał wątpliwości.

Kapłan zdjął z szyi Sulli łańcuch, zsunął z niego pierścień i włożył na palec kobiety.

— Niech ten pierścień będzie od tej chwili symbolem waszej miłości. — Kapłan przytrzymał dłoń Sulli, jakby chciał wtopić obrączkę w jej skórę.

Spojrzała zdumiona, kiedy krążek złota idealnie wpasował się w palec.

— Jesteś zdumiona? — zapytał kapłan. — To dobry znak, wróży szczęście przyszłym małżonkom.

— Ale... on był... — Próbowwała wyjaśnić, poprzestała jednak na uśmiechu.

Zgodnie ze zwyczajem, Nair złożył przyrzeczenie wobec bogów i wszystkich świadków uroczystości:

— Sullo Mar, przyrzekam cię kochać i poślubić. Zrobię to najszybciej, jak się da. Przed nami wojna, z której nie wszyscy wrócą. Gdybym zginął, będziesz wolna, ale jeśli wrócę, uczynię cię żoną i królową Morovii. — Musnął dłonią jej policzek. — Będziesz na mnie czekać?

— Tak, kochany. Przyrzekam czekać i modlić się każdego dnia o twój szczęśliwy powrót, gdyż bez ciebie nie ma dla mnie przyszłości, mój królu. — Uśmiechnęła się, wykonując zgrabny, dworski ukłon.

— Dopilnuję tego. — Ostrzegła Caril z chmurną miną. Po chwili jednak roześmiała się głośno i mocno uściskała zarówno brata, jak i przyszłą bratową.

Krótką uroczystość dobiegła końca. Narzeczeni ruszyli między szpaler gości rozstępujący się przed nimi. Nagle w drzwiach pojawił się służący w liberii. Szybko skłonił głowę, po czym ruszył w ich kierunku, jakby chciał przekazać ważną nowinę. Po kilku krokach stanął, błyskawicznym ruchem sięgnął do paska, a w jego dłoni błysnął

sztylet. Sulla skoczyła naprzód, próbując zasłonić Naira. Nóż utkwiał nad prawą pierś, nieco poniżej obojczyka. Na sukni pojawiła się krwista plama rosnąca z każdą sekundą. Szarpnęła się z bólu, jednak nie zdołała już nawet krzyknąć, kiedy ustami buchnęła spieniona krew. Oniemiały Nair chwycił ją wpół, mimo to osuwała się do jego nóg coraz bledsza i słabsza. Te kilka chwil przerażenia i szoku sprawiło, że napastnik zniknął. Kala wyskoczył za nim i próbował gonić, ale w gąszczu korytarzy nie było to łatwe. Zatrzymał się i zaczął szukać jego umysłu. W końcu odnalazł, czując silne wzburzenie tamtego. Wysłał rozkaz spowalniający jego ruchy, uniemożliwiający ucieczkę. Po chwili dotarł też Anchel i obaj ruszyli w kierunku mordercy. Znaleźli go dość szybko, spoconego i drżącego. Chwycili za ręce i powlekli do komnaty zakonnika. Rozumieli się bez słów, wiedząc, że jeśli dopadnie go Nair, zabije, unicestwi w ułamkach sekund. Nie mogli do tego dopuścić, gdyż chcąc się dowiedzieć, kto go nasłał, musieli najpierw ocalić mu życie. Anchel wciągnął napastnika do siebie i zatrzęsął drzwiami, a Kala pognał dalej, krzycząc:

— Za mną, ludzie! Za mną! Widziałem, jak uciekał w tamtym kierunku. —
W oddali usłyszał kroki pędzących mężczyzn.

Rozdział XV — Odkrycie

Kapłani odciągnęli Naira od Sulli, próbując jej pomóc. Krwawiła obficie i wydawało się, że to nie potrwa długo. Trzeba było wyrwać nóż i opatrzyć ranę, tyle że nikt nie miał odwagi tego zrobić. Żaden z naznaczonych nie potrafił uzdrawiać. Jeden z kapłanów uciskał ranę wokół noża, a drugi trzymał jej głowę odwróconą na bok, by nie utonęła we własnej krwi. Dwóch pobiegło po opatrunki i ziołowe maści. Chwilę później wpadł zdyszany Anchel — z jego tuszą niełatwo biegać. Przez moment łapał oddech, jednak widząc, w jakim stanie jest Sulla, mimo zmęczenia natychmiast ukląkł i dłońmi ucisnął jej skronie. Obejrzał się przez ramię na kapłanów usiłujących utrzymać Naira, który szalał jak ranny bawół. Ta szarpanina nie pozwalała się skupić.

— Zabierzcie go stąd! — wrzasnął.

Posłuchali, choć odciągnięcie silnego, oszalałego z rozpaczyny mężczyzny nie było łatwe. Po chwili wrócił też Kala. Podszedł do Naira, chwycił go za ramiona, mocno potrząsnął i coś wyszeptał. Jeszcze przez chwilę patrzył mu w oczy, co sprawiło, że Morov uspokoił się nieco. Wtedy pociągnął go za sobą i zmusił do zainteresowania się tym, co robił Anchel. Sam już uciszał swój umysł, próbując wyczuć myśli zakonnika. Tamten najwyraźniej potrzebował pomocy, bo nie utrudniał, a raczej starał się ułatwić połączenie. Kala błyskawicznie dostrzegł to coś, tę nitkę splątaną w kokon. Dołączył swoją i poddał woli Anchela. Połączony splot drgnął, rozbłysnął i rozdzielił się na wiele cieńszych, niemal niezauważalnych włosków, które powoli sondowały zranione ciało, wyszukując i oplątując krwawiące miejsca.

— „Widzisz to?” — Anchel przesłał pytanie.

— „Fontanna krwi, pewnie spod ostrza” — odpowiedział Kala. — „Spróbuj to powstrzymać, a ja będę wyciągał nóż”.

— „Bierzcie ode mnie ile chcecie. Jestem silny, wytrzymam” — dosłyszeli myśli Naira.

— „Odciągnij rękojęść w dół” — polecił Anchel.

Kala chwycił rękojęść i powoli odpychał ku dołowi, obserwując, jak zakonnik zakleja ranę zespolonymi splotami. To była najcenniejsza lekcja w życiu chłopaka. Zabijać umiał każdy, z magią czy bez. Ratować życie potrafiło niewielu. Gdyby znał takie sploty wcześniej, być może uratowałby Ahima.

— „Dobrze, teraz odchyl w bok” — padło kolejne, stanowcze polecenie. — „Kiedy to zamknę, tę dziurę po lewej, natychmiast wyciągnij ostrze, rozumiesz?”

— „Tak, jestem gotów.” — Odpowiedź Kali była równie stanowcza.

Chodziło o życie Sulli, ukochanej przyjaciela. Wiedział, jak wielka odpowiedzialność na nich spoczywa. Nair zaufał im, oferując pomoc. Ten kredyt zaufania był olbrzymi, gdyż na nim oparł całą nadzieję. Mimo lęku, że nie zdołają pomóc Sulli, Kala nie miał wątpliwości. Uważnie patrzył na zasklepiającą się ranę, na zanikającą stróżkę krwi, a potem szarpnął rękojęść pewnym, gładkim ruchem. Przez moment wydawało się, że Anchel nie zdoła zamknąć ziejącej dziury. Czas stanął w miejscu, a krew ciągle pompowała. Kala obawiał się o Naira, o jakiś głupi, niepotrzebny ruch

z jego strony, jednak on, mimo rozpaczy, nadal ufał i oddawał Anchelowi tyle mocy, ile tylko był w stanie. W końcu krwotok ustał, a w miejscu dziury pojawiła się gruba blizna.

Ułożyli Sullę na boku, żeby zalegająca w płucach krew mogła wypłynąć na zewnątrz. Anchel co chwila przystawiał policzek do jej ust, sprawdzając oddech. Był słabiutki, ale był, więc zakonnik odetchnął z niewielką ulgą.

— Nic więcej nie możemy zrobić — oświadczył, przerywając połączenie. Był tak zmęczony, że nie mógł samodzielnie wstać. — Zanieście ją do łóżka, okryjcie porządnie i czuwajcie! — polecił kapłanom. — Możecie zastosować te swoje zioła, niech śpi jak najdłużej. Mam nadzieję, że to wystarczy.

— Dziękuję — wykrztusił Nair. Chwycił potężnego zakonnika pod pachy i posadził na ławie. — Co mógłbym dla ciebie zrobić? — zapytał.

— Przynieś mocnego wina — poprosił Anchel ze śmiechem. — Napijmy się wszyscy. Od zawsze wiadomo, że dobre wino wzmacnia.

Antałek znalazł się prawie natychmiast. Służba nie próżnowała, podając im napelnione puchary.

— Muszę iść do Sulli. — Nair wychylił wino duszkiem i odstawił kielich. — Dziękuję, przyjaciele. Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiliście. Kala, czy ten... Czy on uciekł?

— Przykro mi — odparł chłopak bez chwili wahania. — Goniliśmy, ale wiesz, jak tu jest. Ten labirynt jest idealnym miejscem, by się ukryć.

— Tak, wiem. Muszę iść. Gdyby nie wy... — Pokręcił głową na myśl, co mogłoby się stać z Sullą. Wyszedł tak szybko, jakby ubytek sił w ogóle go nie dotyczył.

Przechodząc obok komnaty Anchela, wyczuł znajomy impuls. Pamiętał go od wczesnego dzieciństwa. Zatrzymał się i zaczął sondować przestrzeń wokół siebie, by zyskać pewność. Zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Anchel został ze wszystkimi, więc w środku musiał być ktoś inny. Nair zaczął podejrzewać, że w komnacie ukrył się nożownik albo ktoś udzielił mu schronienia — Anchel? Niewiele myśląc, kopnął w drzwi parę razy, ale nie ustąpiły. Uspokoił myśli i skierował sploty magii. Masywne odrzwia rozpadły się w pył, a korytarz zasypały sterty kamieni. Nair, kaszląc i przecierając zasypane kurzem oczy, wpadł do komnaty. Poruszał się po omacku w ciemnym pokoju zawalonym resztkami mebli. Przez chmury pyłu przebijało się niewiele bladego światła. Rozwścieczony jawną zdradą Anchela chaotycznie przeszukiwał komnatę. W końcu zatrzymał się, poszukując źródła magii. Wyczuł je blisko, jednak nie potrafił określić kierunku, z którego pochodziło, gdyż emanowało ze wszystkich stron. Odepchnął wszelkie zbędne myśli, nasłuchując jakiegokolwiek szmeru. Wokół zapanowała cisza, kurz powoli opadał, odsłaniając coraz więcej przestrzeni. Komnata była obszerna, a porozwalane sprzęty nie ułatwiały poszukiwań. Nair zajrzał pod wielkie łoże, jednak oprócz pyłu i skrawków książek niczego nie zauważył. Właściwie przepatrzył wszystko i już miał wychodzić, myśląc, że magiczny ślad pozostał po Anchelu. Martwił się, jak wytłumaczy zakonnikowi to, co zrobił z jego pokojem, kiedy za zagłówkiem łóżka, na pokrytej kurzem ścianie, dostrzegł ledwie widoczne załamane biegnące pionowo ku górze. Przyjrzał się dokładnie i zauważył drugą, prostopadłą linię.

— Schowek — szepnął do siebie. — A to spryciarz, ukrył go w schowku.

Energicznie wcisnął się w wąski prześwit między ścianą a łóżkiem i nacisnął pokryte kurzem drzwi. Ustąpiły dość łatwo. Zajrzał ostrożnie, nie wchodząc do środka. Wiedział, z kim ma do czynienia. Miał zamiar go zabić, ale najpierw musiał wydobyć zeznania. Atak skierowany był przeciw niemu i gdyby nie Sulla, już byłby martwy. Wobec tego musiał się dowiedzieć, czy wysłali zabójcę, domyślając się jego przybycia do zamku, czy też został zdradzony.

Mężczyzna siedział na podłodze ze wzrokiem wbitym w ścianę. Nie zareagował nawet wtedy, gdy Nair podszedł bardzo blisko i przykucnął, wpatrując się w jego oczy. Spojrzenie tego człowieka było bezmyślne, przerażająco puste, skierowane w próżnię.

— Kto cię przysłał? — zapytał Morov, jednocześnie próbując wdrzeć się do jego umysłu sposobem Kali.

Odpowiedzi nie było, a umysł zabójcy wydawał się równie pusty jak wzrok, jakby został wyprany z wszelkich myśli i wspomnień.

W tym momencie Nair usłyszał kroki. Obejrzał się gwałtownie i dostrzegł Anchela, a za jego plecami Kalę.

— Ty zdrajco! — krzyknął, czując wzbierający w głowie wir. Wiedział, że za chwilę zakonnik zniknie, zostanie unicestwiony. Nic się jednak nie stało. Poczuł, że atak został zablokowany i to nie tylko przez Anchela. Spojrzał na Kalę i dostrzegł w jego oczach determinację.

— Ty też? Obaj mnie zdradziliście. Teraz rozumiem, dlaczego morderca na mnie czekał. — Błyskawicznie wstał, wyrwał miecz z pochwy i rzucił się na zakonnika. Poczuł uderzenie w rękę i miecz upadł. On sam nie mógł poruszyć nawet palcem.

— Nair, uspokój się. Wszystko ci wytłumaczymy i uwolnimy twoje ciało, tylko przyrzeknij, że wysłuchasz. — Kala był spokojny, bardzo spokojny.

— Jesteś zimny jak głaz — odparł Nair. — Zdrajca pozbawiony skrupułów. — Padały słowa raniące do głębi.

— W takim razie będziesz tu siedział, aż zrozumiesz — odparł chłopak głosem nadal pozbawionym emocji. — A powinieneś być teraz przy Sulli, skoro jednak nie chcesz...

— Przyrzekam — warknął Nair.

— Możemy go uwolnić. Jest królem, a królewska przysięga Morova to świętość. Tyle zapamiętałem z lekcji udzielanych przez Sahana. — Kala uśmiechnął się do Anchela i chwilę później więzy krępujące Naira ustąpiły.

Rozdział XVI — Decyzje bywają trudne

Szedł środkiem wioski, rozglądając się na wszystkie strony z uśmiechem na twarzy. Tutejsi ludzie, z natury pogodnie nastawieni do życia, na każdym kroku machali do niego i pozdrawiali. Przywykł do tego bardzo szybko, bo sam był podobnego usposobienia. Właśnie dlatego został na Taei po wojnie z Esenami. Przybył jako marynarz eseńskiej floty z misją poznawczą i przyjacielską. Rzeczywistość pokazała zupełnie inne oblicze wyprawy. Bardzo szybko okazało się, że element poznawczy polegał na przejęciu wyspy, narzuceniu religii i zwyczajów zupełnie tak samo jak w jego kraju. Przy okazji usłyszał od marynarzy, co się wydarzyło podczas pierwszej wizyty eseńskich gości na Taei. Żołnierze królewscy, ale też marynarze i zakonnicy wymordowali wówczas prawie wszystkich mieszkańców jednej z wiosek. Gwałcono kobiety i bezczeszczono ich zwłoki. Po wszystkim eseńczycy zmuszeni byli do ucieczki, obawiając się zemsty. Wrócili jednak rok później w wielkiej sile z zamiarem zajęcia wyspy z marszu. Spotkała ich niespodzianka, gdyż mieszkańcy uważani za dzikusów przygotowali parę przykrych niespodzianek. W rezultacie dzięki woli przetrwania, sprytowi i magii, doszczętnie rozbili oddziały królewskie. Niedobitkom oddali jeden okręt nazwany imieniem królowej i zmusili do odpłynięcia. Kilkudziesięciu ludzi poprosiło o możliwość pozostania na Taei. To byli ci, którym od początku nie podobały się plany zajęcia tych terenów siłą. Unikali udziału w bitwie, jak mogli. Kiedy wszystko się skończyło, doświadczeni szamani przyjrzeni się ludziom pragnącym zostać i wyrazili zgodę, najwyraźniej uznając ich szczerze intencje.

— Ole, siądź tu z nami — zawołał Matei, czarnowłosa Tae-Nai wychowany w Esenii.

Ole poznał go podczas bitwy o Taei jako świetnego dowódcę. Mieszkając już na wyspie, zaprzyjaźnił się z nim, mimo dzielącej ich różnicy wieku. Historia Matei wydawała się nieprawdopodobna. Jako kilkuletnie dziecko, wraz z ojcem i matką, opuścił Taei niewielką łodzią. W drodze jego matka, Makie, zmarła. Była córką tutejszej szamanki. Jego ojciec, Ulei, wraz z synem został uratowany przez eseńskiego rybaka. Biedni, acz dobrzy ludzie wychowali chłopca, a Ulei przez lata pracował na kupieckich statkach, by odłożyć trochę grosza i z czasem zapewnić synowi lepszą przyszłość. Jednak ich drogi rozeszły się na dobre. Chłopak wykazywał niezwykle uzdolnienia malarskie, toteż zainteresowali się nim zakonni bracia. W Zakonie Boga Stworzenia pobierał nauki, a potem, jako ulubieniec brata Alberta, popłynął z pierwszą wyprawą na Taei. Tam odkrył w sobie wiele tajemnic, dziwnych zdolności. Okazało się bowiem, że rozumiał mowę tubylców, a będąc jeszcze w klasztornej szkole, namalował ich na swoich obrazach. Sądził wówczas, że to wyobraźnia podpowiadała mu takie sceny, ale widząc je w rzeczywistości, poczuł, że coś go z tymi ludźmi łączyło. Krótco po przybyciu na wyspę doszło do tragedii z winy pijanych żołnierzy. Niemal wszyscy mieszkańcy wioski, którzy przyjęli ich z otwartym sercem, zostali wymordowani. Nie oszczędzono nawet niemowląt. Matei, będąc świadkiem tego mordu, próbował jakoś pomóc, ale sam został ciężko ranny. Uratował go nastoletni marynarz, Maks, ukrywając w zaroślach. Po

odejściu najeźdźców chłopak ujawnił się, prosząc o pomoc dla rannego przyjaciela. Dziewczęta z wioski, które przetrwały masakrę tylko dlatego, że w tym czasie zbierały w dżungli zioła, zabrały rannych, w tym obu chłopców i dotarły do świętego miejsca boga Conke. Tam, u stóp wielkiego wodospadu Sihe przebywał ojciec jednej z nich, Kirue, z grupą wojowników. Matei wyjaśnił ludziom Tae-Nai na czym polegały podboje Esenów i co spotykało narody odmawiające poddania się ich woli. Namówił wojowników, by przygotowali się na ich ponowne przybycie. Pomógł w zorganizowaniu i wyszkoleniu oddziałów. Nauczył tubylców wydobywania i przetapiania żelaza oraz wykuwania broni, której dotychczas na wyspie nie znano. To wszystko sprawiło, że zdobył sobie szacunek i przyjaźń mieszkańców. Zdobył też miłość córki Kirue, Ahije. To ona okazała się największym atutem wyspiarzy, odkrywając w sobie magię ognia, niezwykle silną i niszczącą broń. Wielu tubylców posiadało zdolności magiczne, a także spryt i zwinność. Wyposażeni w broń i przygotowani do walki z pogodą ducha oczekiwali na to, co przyniesie los. Zwyciężyli, bo nie kierowała nimi nienawiść ani chęć zemsty, ale pragnienie wolności.

W końcu Matei dowiedział się, kim naprawdę jest. Z królewską ekspedycją wrócił na wyspę jego ojciec, Ulei, który jeszcze przed bitwą dotarł do swoich pobratymców. Rozpoznany przez szamanekę i innych, opowiedział o losach swoich i chłopaka. To wyjaśniło wszystkie tajemnice. Okazało się, że zakonnicy potrafili zgłębiać zakamarki ludzkiego mózgu, odczytywać wspomnienia, a nawet je zmieniać. Ze wspomnień chłopca dowiedzieli się o Taei, a także odkryli do niej drogę. Matei wyrzucał to sobie, choć nie wiedząc o takich praktykach, nie mógł niczemu zapobiec. Ole z podziwem jednak patrzył na to, czego dokonał ten młody chłopak i jak zabezpieczył swój lud. To dzięki jego umiejętnościom i wiedzy zdołali obronić swoją ziemię.

— Ole, czy już skończyłeś swój dom? — zapytała Ahije.

— Niewiele zostało do roboty, ale ostatnio ciężko mi szło — odparł wesoło. — Od rana do wieczora przychodzili goście, przynosili prezenty i oglądali dom. Musiałem z nimi porozmawiać, poczęstować herbatą, zresztą sama wiesz.

— O tak, Tae-Nai są bardzo ciekawscy. Nie mogli się doczekać, kiedy skończysz, by móc przyjść z wizytą. — Ahije nie raz widziała całe grupy chłopców i dziewcząt, ale dorosłych też, okupujących dom Ole.

— Pomyśleliśmy, że gdybyś nam doradził i trochę pomógł, też zbudowalibyśmy dom, prawda, Ahije? — Matei spojrzał na dziewczynę z miłością wciąż silną i gorącą jak tutejszy klimat.

Zerknęli na drogę, którą tanecznym krokiem przemierzała Kieri. Ahije uśmiechnęła się do męża, gdyż Kieri dziwnym trafem pojawiała się zawsze tam, gdzie przebywał Ole. To kobiety wybierały sobie mężów na Taei i wszyscy wiedzieli, że zarzuciła na niego sieć, tylko on nie był tego świadom. Podeszła bliżej i usiadła na drewnianym stołku tuż obok Ole. Wyciągnęła do niego dłoń. Zaniemówił, bo jej rękę opasywała wytatuowana żmija taka sama jak jego.

— Podoba ci się, Ole? — zapytała zalotnie, przeciągając sylaby, by zabrzmiały jeszcze bardziej śpiewnie niż zazwyczaj. — Jest prawie identyczna jak twoja.

— Piękna — odpowiedział. — Nigdy o tym nie mówiłem, ale w moim kraju,

Morovii, naznaczano tatuażami chłopców obdarzonych magią. Każdy ród miał swój symbol. Od wieków znakiem mojej rodziny była żmija.

— Wybacz, Ole, nie wiedziałam. Pomyślałam sobie, że to tylko piękna ozdoba. — Kieri była wyraźnie speszona.

— Nie mogłaś wiedzieć, więc nie martw się tym. Wygląda naprawdę pięknie. — Uśmiechnął się do dziewczyny uspokajająco. — Moja siostra pękłaby z zazdrości — dodał smutno, opuszczając głowę. — Naszym dziewczętom nie pozwalano ozdabiać ciała tatuażami, a ona ciągle błagała rodziców o pozwolenie. Pamiętam, że była jeszcze bardzo małą dziewczynką, kiedy po raz pierwszy poprosiła o to matkę. Odmówiono jej, więc uciekła nad ocean i przesiedziała tam wiele godzin. Spała, kiedy znaleźli ją strażnicy, ale nawet przez sen wstrząsały nią spazmy płaczu.

— Masz rodzinę, a mimo to zostałeś na wyspie, dlaczego? — zapytał Matei. — Nigdy nie mówiłeś o swoich bliskich.

— Bo ich już nie ma, Matei. Właśnie dlatego zostałem z wami, że nie miałem do kogo wracać — zaczął opowieść, choć w jego głosie było wiele bólu. — Będąc nastoletnim chłopcem, trafiłem na dwór królowej Esenii. Oficjalnie zapraszano tam dzieci z wysokich rodów, aby pobierały lekcje języka, religii i obyczajów imperium. Faktycznie byliśmy zakładnikami. Królowa zapobiegała w ten sposób buntom. Byłem tam z dziesięć lat i pewnego dnia postanowiłem uciec. Zaciągnąłem się na okręt i od tamtej pory pracowałem u kolejnych kupców, byle tylko nie wracać na zniechęcony dwór. Pewnego dnia usłyszałem w porcie rozmowy, że Eseczycy wymordowali wiele rodów morovskich. Kupiłem konia i natychmiast wyruszyłem w drogę. Nie wyróżniałem się niczym szczególnym, a tatuaże ukryłem pod długimi rękawami koszuli. W końcu dotarłem w pobliże zamku i tam potwierdziły się najgorsze przypuszczenia. Ludzie rozprawiali o tym, gdziekolwiek się pojawiłem. Wielu widziało, jak królewscy wyciągali z domów całe rodziny i wieszali na głównym placu dla przykładu. Niektórzy mówili, że część naznaczonych się broniła, część zdołała uciec, ale większość zginęła. Brali ich podstępem, szantażując życiem dzieci i kobiet uwięzionych wcześniej. Jak można było przypuszczać, nikt z uwięzionych i tak nie odzyskał wolności.

Postanowiłem szukać swoich bliskich, ale ani w mieście, ani w okolicy nie natrafiłem na ich ślad. Przyjaciele doprowadzili mnie do kryjówek naznaczonych, jednak oni nie mieli dla mnie dobrych wieści, twierdząc, że zamordowano całą rodzinę, oprócz mnie — przerwał i westchnął tak ciężko, jakby wielki kamień uciskał mu pierś. — Tak, Matei, zostałem sam, jedyny potomek rodziny królewskiej, następca tronu.

— Jesteś królem? — Zdumiona Kieri patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. — Królem?! — powtórzyła ni to pytanie, ni stwierdzenie.

— Tak, Kieri. — Jestem królem Morovii, nazywam się Saendran Olande Karun.

Rozdział XVII — Na naukę nigdy nie jest za późno

— No co tak patrzycie na mnie jak na dziwoląga? — zapytał Olande, widząc zaskoczone miny przyjaciół. — Nie dziwię się Ahije i Kieri. Wychowały się na wyspie, ale ty, Matei, widziałeś w Gelenie niejedno. Przecież musiałeś słyszeć o tym wszystkim, szczególnie w Zakonie Boga Stworzenia. To oni planowali i realizowali te plany. Królowa Sylwia przystawiała tylko pieczęć pod kolejnymi edyktami, pewnie nie zawsze wiedząc, czego dotyczyły.

— Wybacz, Ole, zaskoczyłeś mnie — mruknął ze smutkiem Matei. — Masz rację, widziałem i słyszałem, choć wtedy wydawało mi się, że to ci inni byli źli. Tłumaczono mi, że imperium od stuleci było gnębione przez sąsiednie narody. Bandyty napadali na braci zakonnych i królewskich żołnierzy, mordując ich bezlitośnie za pomocą magii. Dopiero później dotarło do mnie, jaka była ta prawda.

Olande pokiwał głową ze zrozumieniem. Milczał przez chwilę, a potem westchnął i dokończył swoją opowieść:

— Wróciłem zrozpaczony do Esenii i zamustrowałem się na okręt kupca, u którego pracowałem przed wyjazdem. Parę miesięcy później braciszkanie zakonni wyruszyli na kolejną wyprawę. Mój kupiec zaoferował swój statek wraz z częścią załogi, licząc na spore zyski. Zaokrętowali do nas oddział żołnierzy i tak znaleźliśmy się na Taei, a resztę już znacie.

— Smutne — szepnęła Kieri. — My wiemy, co znaczy stracić najbliższych. Patrzyliśmy, jak mordują nasze rodziny, gwałcą kobiety, zabijają starców i dzieci. Najgorsze było to, że nie mogłyśmy nic zrobić. Gdyby nie Ahije, to wlażylibyśmy w łapy tych oprawców, próbując ratować bliskich. Na szczęście nas powstrzymała.

— Wiem, Kieri. Wszyscy, którzy tu zostali, noszą w sercu ciężar tego, co zrobili nasi pobratymcy. — Ole kręcił głową ze złością. — Nigdy nie zdołamy naprawić krzywdy, jaką wyrządzono Tae-Nai.

— Nie obciążaj swojego sumienia, Ole. Z tego, co wiemy, żaden z was nikomu nie zrobił nic złego, nikogo nie zabił ani nie zhańbił. Wszyscy mamy tego samego dłużnika. Sporo jest winien i nam, i wszystkim pozostałym. Kiedyś za to zapłaci! — Matei, mówiąc te słowa, nie okazywał nienawiści ani gniewu. W jego głosie była tylko pewność tego, co musi nastąpić. Jak każdy Tae wierzył, że los daje ludziom tyle, na ile zasłużyli.

Ahije patrzyła na niego z miłością i smutkiem. Wiedziała, że pewnego dnia jej mąż wyjdzie z chaty, rozłoży sztalugi i namaluje przyszłość. Wiedziała też, że to nie będzie obraz radosny. Od wielu dni męczył ją sen — bałwany ognia, usiłujące spopielić coś, czego nie mogła dostrzec. Nieokreślony kształt wyrwał się z pożogi, a kiedy już prawie mogła go dostrzec, zniknął w płomieniach.

Niespodziewany harmider wyrwał wszystkich z ponurych myśli. Od strony lasu gnała szóstka kotów, wzniecając tumany kurzu. Wpadły pomiędzy nich niczym huragan, przewracając do góry nogami ławkę, na której siedział Matei, Kieri i Ole. Lamparty doskoczyły do Ahije, okazując radość tak gwałtownie, że ledwo utrzymała się na nogach.

— Ei, Lania, spokój! — krzyknęła.

Koty uspokoiły się trochę, tylko długie ogony majtające z prawa na lewo świadczyły o ich wielkiej radości. Ei stał naprzeciwko Ahije, patrząc w jej oczy z miłością i pokorą, jakby chciał przeprosić za długą nieobecność. Był jej ulubieńcem. To on uratował swoje rodzeństwo, oddając się pod opiekę dziewczyny, mimo strachu. Od jakiegoś czasu dziki zew wzywał je do dżungli. Prastary las był ich domem. Ahije z jednej strony cieszyła się, że koty dają sobie radę w dziczy, z drugiej jednak w takich chwilach dopadał ją smutek, bo wiedziała, że pewnego dnia już nie wróca. Towarzyszyły jej od dnia masakry, wywołując uśmiech na twarzy, mimo ogromu nieszczęścia i bólu. Wkrótce jeszcze jeden przyjaciel się pojawił. Rudowłosy Maks biegł od strony zatoki, wymachując rękami.

— Matei, prawie wszyscy Tae zdali egzamin, a tancerze biją na głowę nawet starych marynarzy, stare marynarskie wygi, nawet mnie — wrzeszczał już z daleka, wywołując szczery uśmiech na twarzy Ahije.

Lubiła go — nie za to nawet, że uratował jej męża, ale był z pewnością najlepszym przyjacielem, jakiego Matei miał kiedykolwiek.

Od miesiący mieszkańcy wyspy ćwiczyli się w sztuce żeglowania. Zarówno Matei, jak i Kirue, Majo, a także szamani uważali, że byłoby marnotrawstwem pozostawienie wielkich żaglowców w zatoce, by niszczały. Postanowili skorzystać z wiedzy pozostałych na wyspie marynarzy i nauczyć się trudnej umiejętności żeglowania. Chętnych było wielu, może nawet zbyt wielu. Nikomu jednak nie odmówiono, choć wyznaczono termin ukończenia nauki i egzamin. Przyplýwali też na swych łodziach ludzie z sąsiednich wysp. Wszyscy z jednakim zachwytem patrzyli na potężne okręty o trzech albo czterech żaglach, z galionem na dziobie przedstawiającym postać zgodną z nazwą. Mogła to być figura ludzka, zwierzęca albo mityczna, oddająca charakter statku i chroniąca przed niszczącą siłą żywiołów.

Najlepszymi uczniami okazali się tancerze. Po śmierci Tui grupę przejął Natenge, sprytny, silny, a przede wszystkim mądry wojownik ludu gór, Tae-Mou. Jeszcze przed wojną z eseńczykami ćwiczył z Tuą i był jej prawą ręką. Wykonywał najważniejsze zadania, wymagające nadludzkiego sprytu. Przy tym był cichy jak ziemia i szybki jak wiatr. Mało kto wiedział o nim cokolwiek. Zjawiał się w najmniej oczekiwanym momencie i tak samo niespodziewanie znikał. Był szczupłym, niewysokim mężczyzną, o ciemnej skórze i czarnych włosach z odcieniem ni to brązu, ni fioleto. Przenikliwe, niemal kocie oczy nieustannie przepatrywały okolicę, a dyskretne ruchy głową świadczyły o ciągłym nasłuchiowaniu odgłosów. Poza dwoma krótkimi nożami podarowanymi przez Tuę, nie nosił żadnej broni. Przypięte paskami poniżej kolan, w skórzanych pochewkach, nie rzucały się w oczy, ale chyba żaden Tae nie chciałby doświadczyć ich dotyku ani sprawdzać celności rzutu. Najskuteczniejszą jednak bronią Netenge, jak i wszystkich tancerzy, były ręce i nogi.

Poruszali się z gracją kotów, a potem niepostrzeżenie następował błyskawiczny atak. Nieważne czy uderzały dłonie, czy stopy, nieważne czy cios padał na głowę, czy na nogi przeciwnika, zawsze efektem końcowym była śmierć. Wyjątek stanowiło pojmanie jeńca.

Na okręcie zajmował się nimi gruby, wesoły bosman Kit. Biegał żwawo po

pokładzie, mimo trzęsącego się brzuszka i różowych, tłustych policzków, znad których ledwo było widać małe, niebieskie oczka. Zabawnego wyglądu dodawały mu rude, kręcone loczki, przycięte krótko nad uszami. Tancerze odnosili się do swego nauczyciela z wielkim szacunkiem, co przyprawiało go o rumieńce wstydu. Był dumny, gdyż sposób, w jaki poruszali się po olinowaniu masztów albo wspinali na bocianie gniazdo, wywoływał zachwyt, a nawet odrobinę zazdrości. Kit okazywał im za to należny szacunek, dość często udzielając pochwał. Jego grupa przynosiła mu zaszczyt wśród pozostałych, toteż już po niedługim czasie przechadzał się z zadartą z dumy głową, przypisując sobie nadzwyczajne zdolności wychowawcze. Tancerze słuchali go uważnie i cenili doświadczenie starego wygi. Uzupełniali się doskonale, mimo dzielących ich różnic, toteż dbali o niego, przynosząc mu smakołyki albo baniaczków z winem, po którym stawał się jeszcze weselszy. Po skończonej lekcji zbierali się na pokładzie i śpiewali albo tańczyli przy skocznej muzyce wygrywanej przez marynarzy. Kit uwielbiał tańczyć. Wyciągał którąś z dziewczyn i podskakując nadzwyczaj lekko, jak na swoją tuszę, uczył je eseńskich podrygasów. Kilka tygodni wystarczyło, by tancerzom jako pierwszym pozwolono wyruszyć w morze, opłynąć Taei, a potem sąsiednie wyspy.

Nad całością szkolenia czuwał Maks. Mimo młodego wieku, wyrobił sobie wśród załóg spore uznanie. Miał niezwykle zdolności organizacyjne i potrafił skutecznie likwidować wszelkie waśnie. Usposobienie Maksa bardzo zbliżało go do wyspiarzy — uśmiech nie schodził z jego piegowatej twarzy, a opowieści o trudnych początkach w strzelaniu z łuku wywoływały salwy śmiechu. Uwielbiany przez dziewczyny i lubiany przez chłopaków, a nawet starszych wojowników, czuł się jak ryba w wodzie. Przedtem był prawą ręką Matei, ale awans bardzo przypadł mu do gustu. Z prawdziwą radością obwieszczał nowiny.

— Mówię wam, byli niesamowici, po prostu cyrkowcy — opowiadał z przejęciem. — Tancerze — dodał, uprzedzając pytania.

— Wszyscy zdali? — Zdziwiony Ole aż pokręcił głową.

— No! Paru się nie nadawało, bo na wysokości dostawali kręcka. Ale reszta? — Maks pokiwał głową z dumą. — Mamy dwadzieścia sześć okrętów ze świetnie wyszkolonymi załogami. Paru kapitanów, to eseńscy marynarze, pozostałych wybierzemy spośród Tae. Możemy wyruszać w świat, dokądkolwiek zechcemy.

Na twarzy Olande pojawił się cień uśmiechu. Kieri zauważyła ten moment i posmutniała, gdyż nawet tak małe ślad radości oznaczał tęsknotę Ole za rodzinną ziemią. Kiwnęła głową, jakby utwierdzając się w postanowieniu powziętym w jednej chwili.

Ahije też zauważyła ulotny uśmiech Morova i cień smutku na twarzy przyjaciółki. Było jej przykro myśleć, że mógłby odpłynąć, zostawiając Kieri. Przyjaciółka wiele przeszła, on też, pasowałiby do siebie. Wiedziała jednak, że Olande będzie myślał przede wszystkim o swoim kraju i ludziach jak prawdziwy król. Pojawiła się w nim nadzieja, kiedy usłyszał, że mógłby wrócić z flotą i niewielką, ale bardzo sprawną armią. Nie porzucił tej myśli, póki nie będzie miał pewności, że niczego nie zdoła. Wiedziała też, że Tae nie odmówią pomocy. Była przekonana, że nawet szamani zdecydują o udzieleniu jej Ole, ponieważ tylko ostateczna rozprawa z Esenami każdemu pozwoli na spokojny

sen. Spojrzała na Matei, odczytując w jego oczach takie same myśli. Podeszła, objęła ramiona siedzącego na ławce męża i musnęła policzkiem jego twarz.

— Wiem, Matei — szepnęła.

— Wiedziałem, że wiesz. Zawsze wyczuwałaś, o czym myślę. Jesteś czarownicą, Ahije. Nawet nie próbowałbym cię okłamywać — roześmiał się na samą myśl.

Rozdział XVIII — Karząca ręka sprawiedliwości

— Najjaśniejszy Panie. — Przeor Zakonu Boga Stworzenia pochylił głowę w lekkim ukłonie. Znudzony audiencją król Edmur Anvil III nie zareagował. Rozparty na tronie z hebanowego drewna, ozdobionym jedynie niewielkimi, złotymi liśćmi, przekładał z ręki do ręki srebrny puchar napełniony czerwonym winem. Nonszalancka poza władcy nieco zbiła przeora z pantałyku. Królowa Sylwia zawsze odnosiła się do zakonnych braci z szacunkiem. Michael przełknął gorycz powitania i zaczął mówić, mimo szarpiącej trzewia złości.

— Chciałbym zdać relację, Najjaśniejszy Panie, jeśli można. Niedobre rzeczy dzieją się w...

— Pokłon! — przerwał mu król w pół słowa.

— Ależ, panie. Nie śmiałybym odezwać się w waszej obecności bez złożenia należącego hołdu — odparł przeor z lekka ironicznie i ponownie pochylił głowę. Nie bał się królowej Sylwii, choć miał dla niej wiele szacunku. Anvila traktował jednak jak niesforne gołębia i zamierzał poskromić jego popędliwą naturę. „Wszystko w swoim czasie” — pomyślał, patrząc na króla pobłaźliwie i bez cienia lęku.

— Pokłon dla twojego króla winien wyglądać inaczej. — Młody władca uparcie kontynuował temat hołdu. — Pokaż mu, Steff — rzucił do kamerdynera stojącego pół kroku z tyłu, gotowego spełnić każdy rozkaz.

Służący zrobił kilka kroków, po czym wykonał głęboki ukłon, niemal dotykając głową podłogi. Był już starym człowiekiem, służył matce Anvila od jej dzieciństwa aż do śmierci. Pokłon kosztował go wiele wysiłku i bólu starych pleców, jednak wytrwał z kamienną twarzą.

— Widziałeś, przeorze? — Anvil zaśmiał się szyderczo. — Rozpocznij powitanie raz jeszcze! Tym razem we właściwy sposób.

— Nie rozumiem, panie. — Zniewaga tak wytrąciła Michaela z równowagi, że jego głos zabrzmiał głośno i piskliwie.

— Nie rozumiesz? — Król cisnął kielichem o podłogę, poderwał się z tronu, podszedł zamaszystym krokiem i chwycił go za szyję, wbijając palce tak mocno, że przeor poczerwieniał. Potem przygniatał jego kark do ziemi, dopóki czoło nie dotknęło butów władcy. — Czy już rozumiesz?! — Puścił zakonnika, z odrazą otrząsając dłoń, a potem spokojnie wrócił na tron.

Przeor klęczał w tej upokarzającej pozycji dłużej niż chciał. W końcu uniósł głowę i spojrzał na władcę — bez cienia nienawiści. Twarz nie odzwierciedlała właściwie żadnych uczuć, tylko zacięte usta świadczyły o tym, co rodziło się w głowie.

— Pozwalam ci wstać! — rozkazał Anvil. — Czekam na raport.

Michael obejrzał się i gestem dłoni przywołał czterech zakonników stojących przy wejściu do sali tronowej. Podeszli i skłonili się bardzo nisko, nauczeni przykrym doświadczeniem przeora.

— Najjaśniejszy Panie — zaczął Michael. — Nasi bracia wrócili z Morovii. Nie przywieźli jednak zbyt dobrych wieści. Zginęło czterdziestu sześciu naznaczonych. Nie

znamy ich dokładnej liczby, toteż nie możemy ocenić, ilu jeszcze się ukrywa. Część uciekła w góry, pomogły im te śmierdzące pastuchy z Sylii. Nasz szpieg dostał się do zamku w charakterze służącego. Dostarczał regularnie wiadomości albo osobiście, albo przez ludzi zaopatrujących zamek.

— Nair? — przerwał król.

— No właśnie, panie. Nasz człowiek przekazał informację, że Karun dotarł do zamku z dużą grupą naznaczonych i kobiet. Wysłaliśmy wiadomość z rozkazem zabicia następcy tronu Morovii. Niestety od kilku dni nie ma z naszym bratem łączności. Próbowaliśmy wysłać jeszcze kogoś, ale razem z Nairem do zamku dotarł też alierski szachinszach, Kala Harim. Z tego, co wiem, Harimowie posiadali duże zdolności magiczne, szczególnie w dziedzinie sondowania myśli. Dwa dni temu posłaliśmy jednego z braci zakonnych, jednak całkowicie straciliśmy z nim kontakt. Prawdopodobnie rozpoznali go i zabili. Nie mogę ryzykować życia kolejnych ludzi.

— Nie możesz, padre? — rzucił z wyraźną kpiną Anvil. — Nie interesuje mnie twoje zdanie ani życie twoich ludzi. Wydałem wyraźne rozkazy i oczekuję ich wykonania. Żaden, powtarzam, żaden parający się magią Morov, Syll czy Alierczyk nie ma prawa chodzić po mojej ziemi. Niektórych należy dostarczyć do Esenii jak najszybciej, żywych lub martwych! Wszystkich Karunów, Harimów, tego pustynnego psa Sahana i wiedźmę Mirie — wymieniał, cedząc słowa powoli i dobitnie. — Oni rozzuchwalają pozostałych. Ilu potrzebujesz ludzi?

— Panie, tu nie o ludzi chodzi. Młodego Ahima z łatwością ubili łucznicy w Harze. Pozostali jednak schronili się w górach. Skalne ściany Pallarów nie ułatwiają dotarcia do zamku. Służba została wybrana i skrupulatnie sprawdzona przez ich kapłanów. Niepostrzeżenie nikt się tam nie dostanie. Nie wiem...

— Dość! — Król przerwał mu w pół zdania. — Do lochu z nim! — rzucił rozkaz straży. — Kto nie potrafi schwytać paru buntowników, nie nadaje się, by służyć królestwu. Mój praprzodek, Edmur, przewraca się teraz w grobie, widząc nieudaczników otaczających króla. Parę tygodni w ciemnicy przypomni każdemu o obowiązkach. — Machnął dłonią, kończąc tym samym audiencję.

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Wszyscy obecni w sali tronowej zamarli, nie mogąc ruszyć nawet palcem. Początkowo król także zastygł jak posąg, jednak chwilę później wstał, podszedł do przeora, stanął z nim twarzą w twarz i wysyczał:

— Na swojego władcę podniosłeś rękę? Namaszczonego przez Boga chciałeś zgładzić swoją magią, ty kundlu? — Pstryknął palcami z pogardliwym uśmiechem na twarzy.

Do zakonnika natychmiast podbiegło dwóch strażników. Wykręciwszy mu brutalnie ręce, związali je za plecami mocnym powrozem. W oczach przeora pojawiło się przerażenie. Spojrzał na człowieka stojącego w cieniu jednej z kolumn i zrozumiał, że władca zabezpieczył się przed magią zakonnych braci. Nie mógł pojąć, kim był tajemniczy mężczyzna zdolny stworzyć tak silną zaporę. Michael przed atakiem połączył swe siły z pozostałymi czterema zakonnikami, ale to nie wystarczyło. Samotnik patrzył spod oka, czujnie omiatając wzrokiem wszystkich obecnych. Dysponował niezwykłą wręcz siłą. Przeor zdał sobie sprawę, że stracił u króla wszelkie względy, a bardzo

możliwe, że straci również głowę.

— Panie, pokornie proszę o łaskę. To moi ludzie poważyli się na ten krok.

— Kłamie — oświadczył mrukliwie obcy. — To jego strumień był wiodący, tamci tylko podporządkowali mu swoje.

— Jutro w południe zawiśniesz, przeorze. — Anvil gestem nakazał wyprowadzić więźnia z sali. — Podejź! — Skinął palcem na chudego zakonnika. — Od dziś ty będziesz pełnił funkcję przeora zakonu.

— Najjaśniejszy Panie, dziękuję za zaszczyt, ale przeora może wybrać tylko walne zgromadzenie zakonne. — Zakonnik zająknął się i poczerwieniał. — Klauzula wymaga posłuszeństwa. Przyjmując tę funkcję wbrew woli zgromadzenia, złamałbym przysięgę.

— Niniejszym unieważniamy wszystkie edykty Walnego Zgromadzenia Zakonu. Od dzisiejszego dnia tylko edykty królewskie będą miały moc prawną. Sekretarzu — Anvil zwrócił się do starszego jegomościa siedzącego przy niewielkim stoliku i sporządzającego kronikę z audiencji — rozkazujemy przygotować stosowny dokument i obwieścić go poddanym. Dość zakonnych rządów w imperium.

Król Edmur Anvil III nie zamierzał z nikim dzielić się władzą. Rzucił szybkie spojrzenie po sali, upewniając się, że wszyscy zrozumieli. Widząc głowy podwładnych pochylone w głębokim ukłonie, uśmiechnął się lekko i wyszedł. Tuż za nim salę opuścił milczący mag. Jego czujne spojrzenia i ruchy przypominały dzikiego kota w trakcie polowania.

Od rana na głównym placu miasta stawiano okazałą szubienicę. W samo południe zebrał się spory tłum gapiów. Nie wiadomo czy przybyli dobrowolnie, czy też spędzono ich na rozkaz króla. Ważne, że egzekucję przeora musiał zobaczyć lud, by nikomu więcej nie przyszło do głowy sprzeciwić się woli władcy.

Król Anvil przybył konno. Siedział dumnie wyprostowany w pięknym siodle alierskiej roboty. Jabłkowita klacz przestępowała z nogi na nogę, nerwowo potrząsając łbem na lewo i prawo — tylko ściągnięte wodze trzymały ją w miejscu. Miała taką samą, nieposkromioną naturę jak władca, dlatego wybrał właśnie ją bez chwili wahania. Król okryty srebrnoszarą peleryną ozdobioną czarnymi, jedwabnymi haftami, spiętą srebrną kłamrą, wyglądał dostojnie mimo młodego wieku. Na rozpuszczonych włosach połyskiwała cienka opaska wykonana z białego złota. Jedyłą ozdobę stanowił różowy diament подарowany królowej Sylwii przez brata Alberta po powrocie z pierwszej wyprawy na Taei. Anvil rozglądał się dyskretnie, obserwując poddanych. Nie było wielkiego aplauzu, toteż uśmiech znikł z jego twarzy. Jeszcze nie nauczył się ukrywać emocji. Stojący wśród pospólstwa mag czujnie spoglądał na lewo i prawo, wypatrując zagrożenia i wsłuchując w szepty ludzi. Plotkowali na temat egzekucji przeora, ale też niespodziewanej śmierci królowej — to nie były pochlebne opinie.

Na szafocie czekał już kat z opuszczoną głową osłoniętą głębokim kapturem.

Wszystko było gotowe. Nagle rozległy się krzyki biegnących strażników:

— Uciekł, więzień uciekł. — Główny strażnik dotarł do króla i skłonił się bardzo

nisko. — Najjaśniejszy Panie, nie wiemy, jak to się stało. Rano podawano więźniowi śniadanie, potem strażnicy ani na moment nie opuścili posterunku przy jego celi. Zaglądali co jakiś czas i widzieli przeora leżącego na łóżku twarzą do ściany. Nie odzywał się do nikogo i nie reagował na zaczepki straży. Kiedy weszli do celi, by wyprowadzić go na egzekucję, okazało się, że prycza była pusta, a leżąca postać to tylko iluzja.

— W takim razie ty zawiśniesz zamiast niego. Brać go! — rozwścieczony król nie słuchał żadnych tłumaczeń ani błagań. — Szukać zbiega i dostarczyć go żywego! — krzyknął, po czym odwrócił konia i galopem ruszył w stronę zamku, roztrącając zgromadzoną gawiedź.

Rozdział XIX — Piach i krew

Krajobraz pustyni mógłby przyprawić o zawrót głowy każdego wędrowca. Gdziekolwiek spojrzeć, przed oczami rozciągały się niezmierzone połacie szarego pyłu gdzieniegdzie poprzecinane skalistymi wzgórzami. Żadnego krzaczka, żadnej kępki trawy, tylko piach i słońce samotnie przemierzające nieskazitelnie czysty błękit, zsyłające bezlitosny żar. Cisza i pustka jak okiem sięgnąć. Wyłaniające się z szarych wzgórz postacie zakłóciły ten błogi spokój. Trzech wędrowców nagle wkroczyło w piaszczysty bezmiar, łamiąc niezmiennie od wieków zasady tego miejsca. Nigdy wcześniej żadna ludzka stopa nie odbiła swego śladu w grząskim pyłe. Prący naprzód ludzie sprawiali wrażenie małych, bezbronych istot skazanych na zagładę. Pustynia Księżycowa, zawdzięczająca swoją nazwę krajobrazom nie z tego świata, przypominała zazdrosną kochankę. Nie wypuszczała ze swoich objęć nikogo. Nawet zwierzęta nawykłe do życia w takich warunkach omijały to miejsce szerokim łukiem. Ludzie jednak szli naprzód, zdecydowani na wszystko.

Wojownicy, co dało się poznać po przytroczonych do pleców mieczach, maszerowali dość rażno. Co i rusz poprawiali kefije chroniące twarze od wiatru i kurzu, nie zwalniając przy tym tempa nawet na moment. Płócienne tuniki i białe chusty na głowach odrobinę chroniły od upału, szczelnie izolując skórę. Sylwetki piechurów prawie nie rzucały cienia, słońce wisiało bowiem prostopadle do ziemi niemal idealnie nad głowami i prażyło niemiłosiernie. Jeden z mężczyzn sięgnął po bukłak zawieszony na plecach, odkorkował i wziął głęboki łyk wody. Potem podał worek drugiemu z podróżnych, a ten kolejnemu. Śpieszyli się, chcąc jak najszybciej opuścić nieprzyjazne środowisko. Po kwadransie zatrzymali się jednak na parę minut, by ustalić plan dalszej marszrut.

— Do najbliższej oazy mamy jakieś pięć godzin marszu, jeśli wierzyć mapom sylskich kapłanów. — Rzeczowo przekazał najwyższy z nich. — Murda, jesteś najlepszym piechurem z nas wszystkich. Prowadź, my dostosujemy się do twojego tempa.

— Będzie, jak każesz, szejku — odparł wojownik z należytym szacunkiem.

— Koniec z tym, jasne? — warknął Sahan. — Byliśmy przyjaciółmi i tak ma pozostać. Pustynia nie oszczędzi mnie tylko dlatego, że jestem szejkiem, ani was, że nimi nie jesteście. Poważyliśmy się na morderczy szlak i tylko razem mamy szansę go przebrnąć.

— Tak, sze... Sahanie, masz rację. — Hakim podszedł i poklepał go po plecach. — Niezależnie od tego, czy nazwę cię szejkiem czy przyjacielem, w każdych okolicznościach zrobię wszystko, aby chronić twoje życie. Tylko nie myśl, że będę cię niósł — roześmiał się, wywołując też uśmiech na twarzach obu towarzyszy.

Uszczknęli z bukłaków po niewielkim łycku i ruszyli. Murda szedł pierwszy, obierając niezbyt ostre tempo, co trochę dziwiło Sahana. Postanowił jednak milczeć, ufając doświadczeniu przyjaciela. Dwie godziny później było już jasne, że większego tempa nie dałoby się utrzymać zbyt długo. Niemiłosierny żar uniemożliwiał oddychanie, a pustynny pył wdzierał się wszędzie mimo osłon na twarzach. Marzyli o postoju, ale

Murda nie zamierzał się zatrzymać. Na dodatek ściśle racjonował wodę, której musiało wystarczyć do oazy. Ostatnią godzinę wlekli się noga za nogą, a Hakim zaczął mieć omamy. Najpierw mruczał coś pod nosem, a później witał niewidzialnych gości, wyciągając do nich dłonie. Murda zwolnił, zdjął kefiję z jego głowy, zmoczył i zawinął ponownie. Nawet za cenę braku wody nie mógł dopuścić do utraty przytomności przez Hakima, bo ani on, ani Sahan nie byłby w stanie donieść go na miejsce. Objawy odwodnienia mieli już wszyscy trzej i ledwo dawali radę stawiać kolejne kroki. Nie raz widywano zwłoki podróżnych w niewielkiej odległości od oazy. Taka już jest natura ludzka, że mając ocalenie w zasięgu wzroku, przestaje oszczędzać siły. Ten złudny zryw bywa dla organizmu zabójczy. Murda robił wszystko, by tych sił im nie zbrakło.

W końcu krajobraz powoli zaczął się zmieniać. Pojedyncze, nędzne krzaczki zwiastowały kres wędrówki. W pobliżu musiała być oaza z życiodajną wodą. Kwadrans później dostrzegli grupę krzewów i niewielkich drzew palmowych ogrodzonych palisadą. Z daleka już dostrzegli kilka dromaderów, stadko kóz, a nawet cztery konie.

— Zdaje się, że w osadzie byli jacyś kupcy, a może nadal tam są — rzekł Murda ochryplym od kurzu głosem.

— Tam gdzie kupcy, tam też nowiny — ucieszył się Sahan. — Widzisz, przyjacielu, cel tuż-tuż. — Klepnął po ramieniu Hakima, który w nieco lżejszym powietrzu odzyskiwał świadomość.

Parę minut później weszli na teren oazy. Zdziwił ich brak jakiegokolwiek ruchu. Poza parsaniem koni i pobekiwaniem kóz wokół panowała dziwna cisza — nienaturalna jak na karawanę kupców. Pochyleni, czujni niczym koty, zaczęli się skradać w kierunku studni. Po chwili wszystko było jasne. W promieniu dwudziestu metrów leżały okrwawione ciała. Trzech Alierczyków, pięciu kupców, trzech strażników uzbrojonych po zęby i jeden zakonnik.

— Co tu się stało, na bogów? — zapytał Murda, patrząc na Hakima stojącego jak słup, z opuszczonymi ramionami i bezbrzeżnym smutkiem w oczach.

— Kiedy to się skończy? Umanie, dlaczego stworzyłeś takie krwiożercze istoty? Twoje boskie dzieło zamiast cieszyć się światem, obraca go w krwawą jatkę. Nie widzisz tego? Nic nie robisz? Patrzysz sobie spokojnie ze swojego nieba i nic? Żadnego miłosierdzia dla słabych, żadnej kary dla nienawistnych, zachłannych i mściwych? Niby dlaczego te istoty miałyby być lepsze, skoro ich bóg jest tak samo bezduszny? Umanie, bawisz się naszym kosztem? — Sahan z wściekłością i rozpaczą wyrzucał z siebie te słowa pełne skargi i żalu. Niedawno stracił Ahima, a w Sylii zobaczył tyle śmierci, tyle cierpienia niewinnych, że trudno znieść więcej. Obrazek w oazie przelał czarę goryczy.

— Chodźcie tutaj! — zawołał Murda klęczący przy ciele zakonnika. — On żyje.

Hakim i Sahan natychmiast podeszli i wszyscy trzej przenieśli rannego w cień dużej palmy. Zajęli się nim troskliwie, opatrzyli rany, napoili i czuwali przy nim na zmianę. Nieważne, że był zakonnikiem, był przede wszystkim człowiekiem, więc zrobili wszystko, żeby uratować mu życie, przynajmniej jednemu.

Murda zabił kozę i przygotował rożen. Zapobiegliwy Alierczyk w swojej sakwie posiadał różne pożyteczne rzeczy, nawet przyprawy, bez których nie istniała alierska kuchnia, toteż wkrótce wokół roznosił się wspaniały zapach mięsa przyprawionego

pieprzem, szafranem i czym tam jeszcze. Zasiedli do chrupiącej pieczeni i gdyby nie jatka, którą zastali w tym miejscu, poczuliby się niemal szczęśliwi.

Wzmocnieni posiłkiem, zabrali się za pochówek. Już wcześniej powynosili ciała za palisadę. Na tym terenie brakowało drewna, toteż wygrzebali spory, choć niezbyt głęboki dół, w którym złożyli ciała. Potem przysypali cienką warstwą piachu. Cały ten pogrzeb właściwie był bezcelowy, bo i tak zwłoki zostaną wyciągnięte przez padlinożerców i oczyszczone z mięsa bardzo dokładnie. Tak działało prawo natury.

Rozmyślali o tym, co zdarzyło się w oazie, rozmawiali na ten temat, ale im dłużej trwały te rozmowy, tym dalej byli od wniosków mających jakiś sens. Musiało dojść do bitwy pomiędzy alierskimi hodowcami a kupiecką grupą, ale żaden powód nie pasował. Imperium trwało od trzystu lat, a jednak wrogość podbitych narodów odnosiła się wyłącznie do króla, jego żołnierzy i zakonników. Tych ostatnich obdarzano nienawiścią największą z największych. Mimo to z karawanami kupieckimi nawet zakonni byli bezpieczni i nigdy nie dochodziło do waśni, a tym bardziej walki czy zabójstw.

— Kładźmy się spać, i tak nic nie wymyślimy. Rankiem zobaczymy, co będzie z tym zakonnym, i zdecydujemy o dalszej drodze. Dopiero jak się ocknie, dowiemy się czegoś więcej — oznajmił Sahan.

Pozostali przytaknęli, ustalili warty i ułożyli się do snu. Potrzebowali go jak powietrza.

Sahan przebudził się jeszcze przed świtem. Spojrzał na Murdę siedzącego przy ognisku z opuszczonymi ramionami. Pustynne noce były tak zimne, że czasem na powierzchni piasku powstawała cienka warstwa szadzi, a w buklakach kryształki lodu.

— Jak tam ranny? — zapytał.

— Jakby lepiej, oddycha spokojnie i przestał jęczeć. Chcesz kawy? — Murda rzucił pytanie, właściwie nie oczekując odpowiedzi, bo już zawieszał żelazny kociołek nad paleniskiem. Wyciągnął z sakwy woreczek przewiązany różowym sznurkiem — prezent od Caril — i zasypał kawą dwie czarki niemal do połowy. Uwielbiał bardzo mocny napar odrobinę osłodzony trzciniowym cukrem.

— Cztery łyżki takiego nektaru potrafią postawić na nogi, wierz mi — zapewnił Sahana.

— Jasne, już miałem okazję spróbować. Nie pamiętasz, jak zaparzyłeś nam kawusię w tej jaskini? — odparł Sahan i aż się wstrząsnął na to wspomnienie. — Najpierw ten niesamowity, kuszący zapach, a potem taki kop, że łyzy ciekły mi ciurkiem. Z pół godziny dygotałem jak w gorączce, brrr...

— Ale nie umarłeś, co? Postawiło na nogi? — dopytywał Murda, zalewając czarki wrzątkiem.

— A jakże, nie spałem całą noc, taki byłem postawiony. Co tam, raz kozie śmierć, dawaj ten napój bogów, jak mawiała Mirie. — Wziął czarkę z rąk przyjaciela i już był gotów pociągnąć potężny łyk, ale gest Murdy zatrzymał go w pół drogi.

— To nie woda. Nie pij duszkiem jak jakiś pastuch. Trzeba delektować się każdym łyżkiem. — Upił dosłownie kilka kropel, zatrzymał w ustach i smakował, cmokając przy tym i przewracając oczyma. — Widziałeś? Tak to się robi. Wiem, bo obserwowałem Caril i Sullę. Wszystkie kobiety tak właśnie popijały kawę. — Ponownie uniósł czarkę do ust

i upił kolejny łyczek, odginając przy tym palce w wachlarzyk.

— Uważaj, bo dostaniesz skurczów — zakpił Sahan. Chwilę później zasmakował jednak zarówno w napoju, jak i tradycji. Cmokał, kiwał głową i dyskretnie zerkał w bok, porównując ułożenie palców Murdy i własnych.

Po chwili dołączył Hakim. Wszyscy trzej siedzieli dobry kwadrans, wykonując te same ruchy niczym tancerze z błogimi uśmiechami na twarzach oświetlonych pierwszymi promieniami słońca.

W końcu Murda zabrał się za przygotowanie śniadania, a pozostali naprędce konstruowali hamak, w którym można by bezpiecznie przewieźć rannego zakonnika. Pół godziny później wszystko było gotowe. Podnieśli rannego, chwytając pod pachy i nogi, by ułożyć w hamaku. Wtedy jęknął i otworzył oczy. Położyli go ponownie na ziemi i przykucnęli obok.

— Słyszysz mnie? — zapytał Sahan.

— Tak — odpowiedział zakonnik chrypliwie.

— Możesz mówić?

Ranny potaknął kiwnięciem głowy.

— Co tu się stało? Kto was zaatakował?

— Królewscy. — Z trudem wychrypiął zakonny. — Ścigali mnie od samej stolicy. Uciekłem... — Umilkł na dłużej, z wysiłkiem łapiąc oddech. — Król skazał mnie na karę śmierci, ale uciekłem. Pomogli kupcy, dobrzy ludzie. Królewscy dopadli nas w tej oazie.

Zakonnik osłabł tak bardzo, że nie mógł mówić dalej. Próbował, ale Sahan nakazał mu milczenie, przykładając palec do ust.

— Opowiesz resztę, jak trochę wydobrzejesz — powiedział. — Tylko jedno mnie teraz interesuje. Czy oni odjechali?

— Nie wiem — wyszeptał ranny. — Straciłem przytomność.

— No to możemy mieć towarzystwo — stwierdził szejk, kręcąc głową ze złością.

— Ruszajcie, ja poczekam — rzekł Murda. — Przyczaję się w oazie. Dogonię was w ciągu dwóch, trzech dni. Gdyby królewscy jednak szli naszym tropem, to odciągnę ich jak najdalej. Wyprowadzę na pustynię i ucieknę. Trochę lepiej znam te ziemie niż oni.

Wyruszyli niespełna godzinę później z zakonnikiem w hamaku zamocowanym do siodła dwóch wielbłądów. Ten sposób nie był zbyt bezpieczny, bo dromadery to humorzaste stworzenia, ale nie mieli innego wyjścia. Nie mogli czekać dłużej, a ranny był zbyt słaby, by samodzielnie utrzymać się w siodle. Przejechali kilkaset metrów na otwarty teren, skąd można było ogarnąć wzrokiem całą okolicę. Upewniwszy się, że w pobliżu nie ma żadnego oddziału, Murda oddał wodze Sahanowi, zeskoczył z siodła i zawrócił. Niemal czołgając się w grzaskim pyłe, dotarł z powrotem do osady. Czekał. Mijały minuty, godziny, w końcu zapadł zmrok, dość nagle, jak to na pustyni. Był mocnym człowiekiem, przyzwyczajonym do niewygód, upału i zimna, ale kilka godzin później sen okazał się silniejszy. Zbudził go hałas w środku nocy. Oprzytomniał w mgnieniu oka, wyciągnął miecz najciszej jak potrafił, przycupnął i nasłuchiwał. Próbował coś dojrzeć, ale w tych ciemnościach nie widział nawet własnych dłoni. W końcu usłyszał głos, blisko, we własnej głowie:

— „Spokojnie, Murdo. Jestem twoim przyjacielem. Nie lękaj się i odłóż miecz” —

szeptał głos. — Był stanowczy, ale miły. Coś w myślach Murdy chciało zaprzeczyć, odmówić, ale ten głos... — „Tak, zaufaj mi. Odłóż broń, nikt cię nie skrzywdzi” — przekonywał.

Murda odłożył miecz, wyjął kindżał z pochwy i niewielkie sztylety zza pasków na nogach. Odsunął całą broń od siebie i czekał. Po chwili doskoczyło do niego kilku ludzi. Spętali mu ręce i nogi, a potem zawlekli do najbliższej palmy. Przywiązali go do drzewa, boleśnie oplatając konopnym sznurem. Powoli docierało do niego, że wpadł w pułapkę, ale nadal nie otrząsnął się z tego uspokajającego głosu. Do świtu było jeszcze ze dwie godziny. Murda wpadł w odrętwienie i nerwową drzemkę. Głowa opadała mu na pierś, po czym budził się gwałtownie, zmarznięty i spocony jednocześnie. W końcu nastał świt. Wojownik rozejrzał się wokół i wtedy zrozumiał, co się zdarzyło. Podeszedł go cały oddział, sześciu żołnierzy i jeden cywil w ciemnym kaftanie i czarnych spodniach. Był nieuzbrojony. Stał z boku z opuszczoną głową. Długie, czarne loki opadające w nieładzie zakrywały mu twarz. Ponury nastrój uwidaczniał się jednak w zaciśniętych ustach. Murda poczuł tak silny lęk przed tym człowiekiem, że zadrżał, a po twarzy spłynęły mu stróżki potu. Nigdy nie był tchórzem i to uczucie z tchórzostwem nie miało nic wspólnego. To był pierwotny lęk sięgający duszy, wywołujący pewność, że zło wślizgiwało się w jej zakamarki i wydzierало wszystkie tajemnice.

— Co mamy z nim zrobić, panie? — zapytał jeden z żołnierzy niepewnym głosem.

Murda zrozumiał, że ci żołnierze byli pod całkowitą kontrolą maga. Mimo że sam nie miał żadnych zdolności magicznych, to w powietrzu, w sobie i w zachowaniu żołnierzy wyczuwał jego moc.

— Wiem już wszystko, nie jest mi potrzebny — odpowiedział bezbarwnym głosem. — Wiesz, co zrobić.

Żołnierze podeszli do Murdy, odwiązali od drzewa i zaprowadzili do paleniska. Jeden z królewskich chwycił go za włosy i położył głowę na pieńku. Wszystko stało się bardzo szybko. Murda usłyszał tylko szcęk wyciąganego miecza. Już się nie bał, mając pewność, że to ostatnia chwila jego życia.

Ciało wojownika wywleczono poza ogrodzenie oazy na pastwę padlinożerców. Głowę zatknięto na szczycie palisady.

Pół godziny później cała grupa wyruszyła śladem Hakima i Sahana, ale przede wszystkim Michaela, gdyż to on był celem.

Rozdział XX — Tak blisko domu

Zbliżali się do szejkanatu Berii. Jeszcze tylko dwa dni i będą w domu. Sahan nie przestawał myśleć o Murdzie.

— To już cztery doby — dokończył myśl na głos. — Coś musiało się stać.

— Idą za nami — niespodziewanie wyszeptał zakonnik.

— Kto? — Zaskoczony Hakim zatrzymał swojego wierzchowca. Wielbłąd szarpnął łbem i zadreptał w miejscu, próbując ruszyć dalej. Zwierzęta niestrudzenie szły przez pustynię od czterech dni. Jeźdźcy spali w siodłach, a one parły naprzód bez jedzenia i wody, toteż nagły postój wybił je z rytmu.

Sahan pomógł zdjąć hamak i ułożyć rannego na ziemi. Przykucnęli obok, nasłuchując jego mamrotania. Michael zdawał się niezbyt przytomny, a jednak po chwili znów się odezwał:

— Wyczuwam go. Jest bardzo blisko — wyszeptał, drżąc przy tym, jakby oblano go lodowatą wodą.

— Kogo? — zapytał Sahan. — Kto za nami idzie?

— On jest silny, bardzo silny. Nie dam rady... — mamrotał ranny. — Pomogę, osłonię. Jestem słaby, ale mogę was przed nim ukryć, wasze myśli.

— Michaelu, czy wiesz, ilu ludzi podąża naszym tropem? — zapytał Hakim, wlewając mu do ust odrobinę wody.

Zakonnik przełknął z trudem, ale po chwili odpowiedział na pytanie:

— Siedmiu. To oni zaskoczyli nas w oazie... — Przerwał mu nagły atak kaszlu, po którym musiał dłuższy moment odpoczywać, ciężko dysząc. Później zaczął mówić jednym tchem w obawie, że straci przytomność i nie zdoła powiedzieć wszystkiego. — Musimy tu zostać, podczas jazdy nie mógłbym się skupić. Osłonię wasze umysły i może uda się ich zgubić. Nic innego nie dam rady zrobić.

— Chodźmy tam. — Hakim wskazał najbliższą wydnię.

Chwilę później ukryli się za niewielkim wzgórkim. Nawet wielbłądy posłusznie legły w piachu, wyczuwając niebezpieczeństwo. Michael leżał nieruchomo wpatrzony w jeden punkt. W ciszy koncentrował się nad swoim zadaniem z nadludzkim wysiłkiem widocznym w napiętych żyłach, bladej twarzy i drżących rękach. Jeśli nie dałby rady, to szanse uzbrojonych tylko w miecze i kilka noży Alierczyków byłyby nikłe. Tamtych było siedmiu, w tym sześciu zbrojnych oraz mag o wyjątkowej sile. Czekali w ciszy, by rozmową nie rozpraszać zakonnika. Już z daleka dostrzegli zbrojną grupę zmierzającą wprost do ich kryjówek. Hakim poukładał krótkie noże tuż przed sobą. Rzucił tak celnie, że Sahan oddał mu także swoje. Zza pleców trzech jeźdźców wystawały długie eseńskie łuki. Sahan ujął miecz, drugą ręką ściskając długi zakrzywiony nóż, i czekał czujny jak kot.

— On jest z tyłu — poinformował Michael. — Osłaniają go.

Głowy i twarze jeźdźców okrywały chusty, co utrudniało rozpoznanie kogokolwiek. Trzech wysforowało się naprzód i widać było, że zdejmują łuki i sięgają po kołczany. Trudno było strzelać z grzbietów wielbłądów. Ich chybotliwy chód majtał

łucznicami na lewo i prawo. Mimo to byli na tyle dobrze wyszkoleni, by móc trafić któregoś z wojowników. Nadlatujące ze świstem strzały wbijały się w piach za każdym razem bliżej.

— Naprowadza ich, pokazuje nasze położenie, ale i ja coś tam potrafię. — Zakonnik oświadczył to zwyczajnie, bez chępliwości. — Hakim, jak się zbliżą, spróbuj trafić przede wszystkim jego. Wyczuł nas, ale nie pozwolę mu wpłynąć na wasze umysły.

Od kilkunastu minut Michael bardzo się ożywił. Wyglądał lepiej i chyba tak też się czuł.

— „To pewnie magia tak działa” — pomyślał Sahan, pamiętając, jak zachowywał się Kala wzmocniony siłą Naira. Jaki był pobudzony i radosny. U zakonnika obserwował podobne objawy.

Strzały nie padały już tak blisko jak przedtem, co najpewniej było efektem działania Michaela. Hakim czekał spokojnie, aż królewscy zbliżą się na odległość kilkunastu kroków. Każdy celny rzut eliminujący jednego z wrogów dawał im większe szanse w walce wręcz. Obserwował maga trzymającego się kilka metrów z tyłu. Ujął noże, obserwując dwóch jeźdźców w środku grupy. Ich należało trafić, by odłonić jego. Następny musiał być mag. Błyskawicznie wstał i rzucił jednocześnie z obu rąk, a potem nie czekając na efekt, chwycił kolejne noże i wycelował w środek. Jeden z żołnierzy spadł na ziemię, a drugi zawisł z nogą utkwioną w strzemieniu. Mag pewnym ruchem zawrócił dromadera, odjechał kawałek i zatrzymał się w bezpiecznej odległości. Hakim rzucił jeszcze raz, ale zbrojni też już się cofali. Więcej noży nie miał, zatem musieli podjąć walkę. Czekali jeszcze przez moment, Sahan zerknął przez ramię na zakonnika, a potem wyskoczył zza piaszczystej osłony z bojowym okrzykiem. Hakim ruszył tuż za nim. Biegli, nie oglądając się za siebie i wrzeszcząc co sił w płucach. Królewscy dobyli mieczy. Mieli przewagę, mogąc walczyć z wysokości siodła. Jeden rzucił w Hakima krótkim oszczepem. Nie trafił jednak, a nim zdążył wyciągnąć miecz, Sahan ciał przednią nogę wielbłąda. Zwierzę zachwiało się i runęło, przygniatając jeźdźca. Wystarczyło jedno dźgnięcie miecza, by dokończyć sprawę. Szejk natychmiast wrócił do Hakima walczącego z trzema pozostałymi. Przyjaciel wymachiwał mieczem, poruszając się niczym tancerz kontrolujący każdy ruch. Mimo to zmuszony był się cofać. Kiedy Sahan zaatakował pierwszego z brzegu, Hakim natychmiast skoczył do przodu. Miecze śmigwały, ścierając się z głośnym chrzęstem. Szejk ranił przeciwnika w udo. Sekunda zawahania kosztowała żołnierza życie, bo Sahan jednym ruchem noża podciął mu gardło. Szanse zostały wyrównane. Starali osłaniać się nawzajem, stojąc jak najbliżej siebie. Królewscy byli dobrze wyszkoleni, a z oddali wspomagał ich mag, dodając odwagi, a nawet brawury. Walczyli ostro, a co najgorsze, Hakim nagle poczuł się znużony. Zerknął na Sahana i dostrzegł pot płynący po jego twarzy. Przyjaciel miał spowolnione ruchy, jakby trzymały go niewidzialne więzy. Hakim czuł się podobnie.

— „Po wszystkim. Zakonnik nie dał rady” — pomyślał i choć bardzo się starał, jego ręce odmawiały posłuszeństwa, a nogi były ciężkie i sztywne.

Dostał w ramię i upuścił miecz. Sahan upadł chwilę później, raniony w udo.

— Stać! Wziąć ich żywcem! — krzyknął mag, nadal stojąc w pewnym oddaleniu. Nagle chwycił wodze, zawrócił zwierzę, spiął wierzchowca nogami i pognął w stronę

Esenii. Kompletnie zaskoczony Sahan poczuł nawracającą siłę. Spojrzał na królewskich, ich przerażone miny i wtedy usłyszał okrzyki. Od strony szejkanatu pędziła grupa wojowników, dziesięciu, może dwunastu. Zbliźali się szybko, ostro poganiając wielbłądy. Żołnierze rzucili miecze i padli na kolana, mamrocząc prośby o łaskę.

— Żyjemy, przyjacielu. — Hakim podszedł i uściskał Sahana, ciesząc się jak dziecko.

Michael też odzyskał nieco sił, widząc ocalenie.

Ludzie Sahana spętali królewskich i przesłuchali. Przerażeni żołnierze opowiedzieli o wszystkim, co wydarzyło się w oazie. Słyszając o zamordowaniu Murdy, Hakim wyciągnął miecz i ruszył na nich z zamiarem wykonania wyroku. Sahan chwycił go za ręce, nie bacząc na wściekłość przyjaciela. Szamotał się z nim dłuższą chwilę, aż ten opuścił miecz, w gruncie rzeczy wiedząc, że to nie honor, że alierski wojownik mógł walczyć na śmierć i życie, ale nigdy nie kalał swych rąk zabójstwem. Hakim opadł na kolana i klęczał z opuszczonymi ramionami wpatrzony w pustkę przed sobą. Sahan poklepał go po ramieniu, nie mając już nawet sił na rozpacz. Ukląkł tylko obok bez słowa. Ludzie odeszli na niewielką odległość, zostawiając ich samych. A oni milczeli z zaciętymi ustami i zimnym spojrzeniem, które zabójcom Murdy nie wróżyło dobrze. Po pewnym czasie Sahan wstał, pomógł też Hakimowi podnieść się z klęczek, stanął naprzeciw niego i złożył uroczyste przyrzeczenie.

— Zrobimy, co trzeba, Hakimie. Oni zapłacą życiem za życie Ahima, Murdy i innych. Zapłacą, przyrzekam.

Potem wysłał kilku swoich, by zabrali ciało Murdy, a właściwie to, co z niego zostało, do szejkanatu. Należał mu się godny pogrzeb. Pozostali wraz z zakonnikiem wyruszyli w stronę Berii.

Rozdział XXI — Żagle na maszt

Matei, oczekując na Ahije, czule przemawiał do samiczki zazdrosnej o pozostałą czwórkę sokołów okupujących jego ramiona. Kika tak zaciekle atakowała swoich krewniaków, że zmuszony był nałożyć jej kapturek, przed czym protestowała gwałtownie, bijąc skrzydłami. Wszystkie jego sokoły stały się bardziej nerwowe, od kiedy sprowadził z jednej z wysp gołębie. Te wytrzymałe ptaki sprawdzały się doskonale jako posłańcy. Młode urodzone już na Taei przyuczał do tej funkcji, opływając tereny od wyspy do wyspy. Szybko się uczyły, więc zaczął posyłać je z wiadomościami. Niezmordowanie pokonywały coraz większe odległości i wracały, spełniwszy swoją misję.

Kiedy zza gęstych krzewów maliki wyskoczył lampart, a za nim pozostała piątka, to był znak, że Ahije pojawi się lada moment. Chwilę później dostrzegł ją w gąszczu.

— „Gdyby teraz, po dwóch latach, ktoś zadał pytanie, co do niej czuję, nie znalazłbym jednej krótkiej odpowiedzi” — pomyślał, patrząc z zachwytem na cudowne, brązowe oczy i niesforne, wiecznie poplątane włosy. — „Jest piękniejsza z każdym dniem”. — Nie potrafił odpowiedzieć, co urzekąło go bardziej: kobiecość, taneczne kołysanie biodrami, falujące piersi, a może jej charakter. Przypominała lamparty, które wychowała. Umiała być potulna jak one, ale też pokazać pazurki. Właściwie kochał ją za wszystko.

Matei odstawił Kikę na ramię drabinki przygotowanej specjalnie dla sokołów i ruszył w stronę żony. Nie widzieli się ponad tydzień, więc wziął ją na ręce i mocno przytulił. Potem postawił delikatnie tuż przed sobą, ujął twarz w dłonie i całował długo, mocno, zachłannie.

— Matei! — wykrzykiwał Maks już z daleka. — Wybraliśmy dla ciebie okręt, dowódco. Nie masz pojęcia, jaki... No tak, ten jak zwykle w objęciach, tylko ja ciągle samotny jak pies. Nikt tu nie docenia człowieka tak przystojnego, mąd...

— Maks — przerwała mu Chloe, szamanka klanu Tae-Nai. — Ten świat nie krąży wokół ciebie, jakbyś nie zauważył, choć z tymi czerwonymi włosami faktycznie wyglądasz jak słońce. — Zaśmiała się serdecznie, trochę zdziwiona własnym odkryciem.

— Myślisz, Chloe? Jak słońce? — Pokiwał głową z aprobatą. — A ja myślałem o sobie „rudzielec”. Jak słońce, no coś takiego. Każdej dziewczynie teraz będę mówił, że jestem synem słońca, dlatego mam czerwone włosy. Szamanka tak orzekła, a ona wie, co mówi.

Wszyscy jak jeden mąż gruchnęli śmiechem. Maks spojrział na nich, nie wiedząc, czy aby ten śmiech nie oznacza kpin, ale w końcu też się roześmiał, mimo wszystko zadowolony z porównania.

— To co z tym okrętem? — zapytał Matei.

— Wybrali dla ciebie piękny, trzymasztowy galeon — odpowiedziała Ahije. — Nadali mu imię „Odnaleziony”. Galion zdobi popiersie kobiety. Długowłosa, z wyciągniętą dłonią, poprowadzi cię na spokojne wody.

— Przypomina Ahije — dodała Chloe z uśmiechem.

Tego dnia, w którym Ole opowiedział swoją historię, rozpoczęła się dyskusja nad

wypłynięciem w rejs do Esenii. To była chęć pomocy, ale też pragnienie poznania świata, o którym tyle już słyszeli. Każdy z pozostałych na wyspie obcych miał za sobą jakąś historię. Każdy opowiadał o krainach, ludziach, zwyczajach, ale też o wojnie, niewoli, utraconych bliskich. Tae zapragnęli zobaczyć to wszystko, doświadczyć, może znaleźć sposób, by ci ludzie odzyskali swoje domy, honor i radość życia. Wielu mieszkańców Taei też poniosło straty, opłakiwało śmierć bliskich. Nie chcieli o tym zapomnieć, ale musieli znaleźć coś, co przekułoby rozpacz w działanie. Nie szukali zemsty, tylko sprawiedliwości. Kirue pierwszy zaproponował głośno to, o czym inni myśleli. Nawet Chloe nie była przeciwna i chciała ujrzeć świat, w którym straciła córkę, a jej wnuk przeżył kilkanaście lat. Wiedziała, że nie wszystko tam było złe, bo przecież Matei pozostał dobrym człowiekiem — dobrym i mądrym. Stamtąd wrócił też Ulei, jego ojciec. Pobyt na obczyźnie nie zabił w nim ani przyzwoitości, ani tęsknoty za ziemią przodków. Nie wszystko było złe i chciała to zobaczyć. Zwołała klany, przedstawiła im propozycję, dała czas na zastanowienie. Kiedy spotkali się ponownie, zapadła decyzja. Popłyną cztery okręty, prawie tysiąc ludzi pod dowództwem Matei i Olande. Zobaczą i wrócą, żeby zdecydować, co dalej. Odebrali Eseńczykom flotę, wielką nawet dla imperium. Potrafili walczyć i wiedzieli już, jak ważna jest wolność.

Dowództwo pozostałych dwóch okrętów powierzono Ulei i Maksowi. Obaj mieli doświadczenie na morzu. Maks nadal był bardzo młody, ale swoim usposobieniem zjednywał sobie ludzi, a w razie kłopotów potrafił znaleźć rozwiązanie. Poza tym miał szczęście, dużo szczęścia.

Rady klanów zdecydowały, że oprócz Chloe i uzdrowicielki Kieri w wyprawie wezmą udział tylko mężczyźni. Wojowniczkę, szczególnie z oddziału tancerzy, ostro protestowały, ale szamani nie chcieli zmienić zdania. Ahije też miała żal do Matei, że nie poparł jej kandydatury. Była obdarzona magią ognia, najsilniejszą od pokoleń. Nie mogła zatem zrozumieć, dlaczego nie wzięli pod uwagę, że jej siła mogła ochronić całą ekspedycję. Poza tym na długi czas musiała rozstać się z Matei, a tego w żaden sposób nie potrafiła sobie wyobrazić. Próbowwała przekonać Chloe, jednak szamanka pozostała nieugięta.

— Nie wiemy, co nas tam spotka — przekonywała. — Już raz naraziłam kobiety na straszny los, po raz drugi tego nie zrobię — oświadczyła kategorycznie. — Zostaniesz, bo gdybym pozwoliła tobie, miałabym na głowie sto innych.

Wieczór poprzedzający wypłynięcie w morze był bardzo uroczysty. Zebrali się przedstawiciele wszystkich klanów, a także sąsiednich wysp. Były tańce, pieśni, śmiech i płacz. Były życzenia spokojnej podróży i pożegnania pełne bólu. Rankiem spod wodospadu Sihe wyruszyła procesja ludzi odprowadzających załogi do przystani. Matei starał się uśmiechać do żony, ale w jego oczach błyszczały łzy. Trzymając mocno jej dłoń, myślał o dniu, w którym omal nie umarła. Tego poranka miał zostawić ją samą i odpłynąć w nieznaną. Widział ból w brązowych oczach i czuł drżenie jej ciała. Kiedy dotarli do trapu, Ahije uśmiechnęła się do niego mimo żalu, a w tym uśmiechu było wszystko: miłość, tęsknota i nadzieja.

Wchodzili na pokłady, oglądając się za siebie, jakby chcieli zapisać w pamięci to miejsce i tych ludzi.

Chloe zapewniono wygodną kajutę na okręcie Matei. Razem z nimi zabrała się też grupa wojowników uzbrojonych w miecze, topory i włócznie, a także ich dowódca, Kirue. Mimo różnicy wieku darzyli się wielką przyjaźnią z Matei. Uzdrowicielka poprosiła o miejsce na statku Olande. Kochała go i chciała mu towarzyszyć, a jednocześnie chronić, gdyby zaszła taka potrzeba. Ole dowodził czteromasztowym galeonem „Misja”, nazwanym tak od celu, jaki przyświecał kapitanowi. Maks wziął pod swoje dowództwo bosmana Kita, wiedząc, że doskonale poradzi sobie z załogą. Jego karawela „Panna Tua” wzięła swoje imię od twórczyni oddziału tancerzy. Sześćdziesięciu z nich weszło na pokład błyskawicznie jak myśl. Ich obecny dowódca, Natenge, przemknął po trapie niezauważony przez nikogo. Maks był w szoku, widząc go na pokładzie. Ulei też zgromadził już całą załogę. Okręt nazwano „Taei Urr”, co niełatwo przetłumaczyć w dwóch słowach, gdyż mogły opisywać ciepły wiatr, słońce i wodę w strumieniach — wszystko co piękne na wyspie. W skład załogi wszedł Majo ze swoim oddziałem łuczników. Na każdy z okrętów przydzielono też przeszkolonych marynarzy, nawigatorów i kucharzy, których obecność była absolutnie konieczna.

— Głodna załoga to murowany bunt na pokładzie — mawiał stary kuk Talar, szkoląc chętnych. Służył przez wiele lat na okręcie flagowym królowej Sylwii, zanim odpłynął w rejs na Taei. — Najważniejsze są przyprawy — tłumaczył uczniom. — Można podać do żarcia trawę, byle doprawioną. Nawet najlepsze mięso pozbawione smaku wylądaje na waszych łbach i słusznie, albowiem niewybaczalnym grzechem jest zepsucie takiej potrawy — zapamiętać! Karą powinno być rzucenie kuchcika na obiad rekinom. One jadają bez przypraw. — Talar zaśmiewał się z własnego żartu, wprawiając w drgania tłuszcz na wielkim brzuchu.

Szamani wszystkich klanów zebrali się w przystani, by swoimi modłami, pieśniami i siłą zaklęć oddać okręty pod opiekę bogów.

— Niech was wiodą dobre wiatry, a słońce i gwiazdy wskazują cel — wołał Irudi.

— Niech omijają was sztormy, a boska dłoń wyznacza bezpieczny szlak — śpiewała Ulea, patrząc w niebo.

Pozostali też wykrzykiwali swoje zaklęcia i życzenia.

Ahije stała samotnie nieco na uboczu. Odpływali wszyscy najbliżsi jej ludzie: Matei, Kirue, Chloe, Ulei, Kieri. Nawet za Maksem przyjdzie jej tęsknić.

— Słuchajcie wszyscy! — donośnym głosem zaczęła Chloe. — Płyniemy tam, skąd przybyli nasi oprawcy. Chcemy przekonać się na własne oczy, jaki jest ten świat, który tak bardzo chcieli nam narzucić. — Szamanka przerwała na moment, a potem wykrzyknęła z całą mocą i przekonaniem: — Przysięgam, że zrobię wszystko, by wasi bliscy wrócili cali i zdrowi. Na czas tej wyprawy wyznaczam następcę. Ahije, będziesz dla Tae-Nai opiekunką. Ahije!

Dziewczyna rozejrzała się wokół zdezorientowana, patrząc na klaszczących, roześmianych ludzi.

— Ahije, do ciebie mówię — ponowiła szamanka. — Masz zaopiekować się naszym ludem do mojego powrotu. Wiem, że dasz radę i wszyscy to wiedzą. Zdałaś egzamin w najgorszym czasie, nie pozwoliłaś dziewczętom pograżyć się w rozpacz. Ratowałaś bliskich i zmusiałaś do tego wszystkie pozostałe, by nikt już więcej nie umarł.

Przeprowadziłaś ich bezpiecznie przez dżunglę, choć sama byłaś jeszcze prawie dzieckiem, któremu zamordowano matkę i siostry. Masz siłę i niezłomność, dlatego tobie powierzam mój klan.

— Dobrze, Chloe. Bądź spokojna, zadbam, żeby nikomu nie stała się krzywda — odpowiedziała na tyle głośno, żeby wszyscy usłyszeli.

Tae zareagowali jak na nich przystało — oklaskami i pokrzykiwaniem. Niektórzy podchodzili, by uściskać Ahije i dodać jej odwagi. Na końcu podszedł Matei, otulił ją ramionami i trzymał w uścisku, nie mówiąc ani słowa. W końcu popatrzył jej w oczy, obiecując tym spojrzeniem, że wróci. Pokiwała głową, pocałowała koniuszki swoich palców i przeniosła pocałunek na jego usta. Potem odepchnęła go leciutko, dając tym znak, że akceptuje ten wybór, że rozumie, kocha i będzie czekać.

Pożegnania zawsze muszą mieć swój koniec. Wszystkie załogi były w gotowości, kapitanowie też już weszli na pokłady. Ostatni wkroczył Matei, nie oglądając się za siebie. Żal ścisnął mu piersi, odbierając oddech. Nie był pewien swojej reakcji — czuł, że gdyby odwrócił się choć na moment i spojrzał na Ahije, mógłby zrezygnować.

— Podnieść kotwice! — Olande wydał rozkaz donośnym głosem.

Na okrętach zrobił się ruch, zaskrzypiały kołowroty, ludzie miarowo ciągnęli liny, odliczając rytmicznie — iii raz, iii raz, iii raz — aż na powierzchni pokazały się wielkie, stalowe kotwice, uwalniając statki. Padały kolejne rozkazy, żaglowce powoli odbijały od brzegu, ustawiając się dziobami w stronę morza. Odpływały, a ocean zdawał się obejmować je w swoje posiadanie, bo z każdą sekundą malały w oczach. W końcu załopotwały żagle, złapały wiatr, wydymając się niczym brzuchy wielorybów. Cztery okręty pomknęły w niezmierny obszar, przecinając białe grzywy fal. Prowadził „Misja” pod wodzą Olande, pędząc na spotkanie losu. To był niezapomniany, niewiarygodnie piękny widok.

Ahije nie spała dobrze tej nocy, jak i wielu poprzednich. W końcu zapadła w płytki sen i natychmiast wkroczyła w środek pożogi. Płomienie huczały, wyły upiornie i wystrzeliwały, zagarniając ognistymi jęzorami wszystko na swej drodze. Bała się jak nigdy. Z jednej strony chciałaby uciec, a z drugiej ten widok fascynował ją i pochłaniał.

Z płomieni wynurzyły się postacie, było ich pięć. Ahije nie umiałaby określić ich wyglądu, czuła tylko coś boskiego i demonicznego zarazem. Postacie przyzywały ją, wciągając w sam środek szalejącego ognia, a ona była im posłuszna. Poczwała żar, wiedząc, że tym razem ogień pochłonie ją i spali. Śwąd skóry drażnił nozdrza, a ona nie próbowała się uwolnić, popadając w odrętwienie.

— „Matei, przepraszam” — przemawiała w myślach. — „Nie mogę uciekać, nie chcę” — prosiła go o wybaczenie.

Wtedy zaczęła się unosić, a właściwie coś wynosiło ją na powierzchnię, ponad płomienie. Siedziała we wnętrzu olbrzymiej dłoni, której palce zaciskały się nad nią, chroniąc przed ogniem. Była ocalona.

Rozdział XXII — Masz przyjaciół, masz szczęście

Wiosna nadciągała wielkimi krokami. Wokół zamku rozkwitały fioletowe krokusy, z trudem przebijając się przez mokre i ciężkie płaty śniegu. Olbrzymie sopte zwisające z dachów topniały gwałtownie, pękając z trzaskiem. Paru ludzi strącało je bosakami, by nie zrobiły komuś krzywdy. Uderzenie takim szpikulcem lodu zwykle kończyło się źle, czasem nawet tragicznie.

Dzień był słoneczny, choć jeszcze chłodny. Sulla opatulona ciepłym płaszczem spacerkiem przemierzała okolicę. Towarzyszyła jej Caril paplająca wesoło jak zwykle. Nair zgodził się na ten spacer, prosząc jednak ludzi ze służby o dyskretną obserwację dziewczyn. Wszyscy na zamku wiedzieli, jak długo młoda pani wracała do zdrowia. Nair przesiadywał godzinami przy łóżku nieprzytomnej Sulli, modląc się do wszystkich bogów, jakich znał. Nie wiadomo czy to dzięki modłom, czy raczej staraniom Anchela, Kali i kapłanów odzyskała przytomność i zaczęła wracać do zdrowia. Od niedawna pozwolono jej wstawać, ale z każdym dniem stan poprawiał się na tyle wyraźnie, że mogła już wychodzić na spacer — zawsze w towarzystwie Naira. Tym razem pozwolił na samodzielną przechadzkę. Już wcześniej zaplanował naradę, chcąc przygotować ludzi na najbliższe tygodnie. Spodziewał się, że wraz z wiosną królewscy mogą próbować przypuścić szturm na zamek albo przynajmniej nasać szpiegów czy zabójców. Nair zwołał naznaczonych, sylskich górali i kapłanów. Na naradę przybył też Anchel i Kala, który od czasu odejścia Sahana był nieco smutny i przygaszony. Idąc za radą wuja, trzymał się z dala od Caril, choć kosztowało go to bardzo wiele. Lubił tę dziewczynę za szczerść i mądrość. Uwielbiał patrzeć, jak mówi, jak się uśmiecha, jak tańczy. Każda chwila spędzona w jej towarzystwie była lekiem na smutek i niepokój, dodawała otuchy i nadziei graniczącej z pewnością, że będzie dobrze. Zauważył, że nie było na zamku ani jednego człowieka, który nie odpowiedziałby uśmiechem na jej uśmiech. Pamiętał jednak słowa Sahana:

— Jesteś szachem, Kala, władcą Alierii. Szejkowie nie pozwolą ci na małżeństwo z nią, nawet gdybyś miał moje poparcie. Mógłbyś uczynić z niej nałożnicę, ale wiesz, że Nair zatłukłby cię jak psa, gdybyś to zrobił. Jest mądrym i dobrym człowiekiem, ale tego by nie zniósł. Myślę, że ty sam nie chciałbyś jej hańby, a w ich kulturze to byłaby hańba — tłumaczył. — Trzymaj się od niej z daleka, nie pozwól sobie na uczucia, bo mogą zniszczyć ciebie i ją, a nawet całą naszą sprawę, wszystkie plany.

— Wiem o tym, wuju. Rozumiem, choć nie będzie to łatwe. Wychowałeś mnie jak syna, ale też jak władcę — odpowiedział ze smutkiem. — Wypełnię swoje przeznaczenie, nawet gdybym miał przez to cierpieć do końca świata. — Kala uściśnął dłoń opiekuna mocnym, stanowczym gestem. Ten uścisk oznaczał, że dotrzyma danego słowa. Sahan wyruszył do Alierii wiele tygodni temu, a chłopak nadal czuł się samotny i zagubiony. Wszedł do komnaty za Anchelem i obaj zaczęli szukać miejsca, gdzie można by przysiąść.

Wielka sala tronowa wypełniona była już po brzegi. Przybywający ludzie porozsiadali się, gdzie kto mógł. Pięćdziesięciu sześciu naznaczonych, kilkunastu górali,

prawie trzydziestu kapłanów, a także załoga zamku — to pokaźna liczba nawet na tak duże pomieszczenie. Nair czekał cierpliwie, aż zapadnie cisza. Nadaremnie, bo wszyscy gadali naraz, jakby czekali na tę okazję od dawna, a kiedy w końcu nadeszła, musieli natychmiast wyrazić swoje zdanie. Tak naprawdę pragnęli walki, nie mogąc się doczekać końca zimy. Każdy z obecnych miał do wyrównania rachunki, jeśli nie własne, to przyjaciół.

— Cisza! — ryknął w końcu Nair.

Pomogło, bo wszystkie głowy jak na komendę zwróciły się w jego stronę.

— Poprosiłem was o przybycie, ponieważ sądzę, że w najbliższym czasie możemy się spodziewać niechcianych gości. Zima już minęła i na pewno spróbują zaatakować. Wiedzą, że wielu naznaczonych dotarło do zamku, a z tego, co mówił Anchel, król rozkazał zniszczyć wszystkich obdarzonych magią.

— Topory rdzewieją, czas je wyczyścić o zakonne łby — buńczucznie zakrzyknął Jall. Pozostali górale zawtórowali klaskaniem i okrzykami. Niektórzy tupali albo walili pięściami w stoły. Nair odczekał, aż rwetes ucichnie i kontynuował:

— Wszyscy wiemy, jacy z was wojownicy, widzieliśmy to na własne oczy. Tutaj jednak wygląda to trochę inaczej.

— Nie dopuścimy ich nawet do zamku. Wyrzniemy po drodze co do jednego, zakapturzone psy, psiamać — wrzasnął Byku. Jego wiecznie skudłacone włosy były jeszcze dłuższe po zimie, toteż potrząsając głową, sprawiał dzikie i groźne wrażenie.

— Nie będziemy opuszczać zamku — przerwał mu Nair. — Główną obronę wezmą na siebie naznaczeni. Anchel, ty nie będziesz musiał w tym uczestniczyć, to twoi pobratymcy, a niełatwo zabijać swoich.

— Będę walczył — przerwał mu zakonnik. Jego odpowiedź była cicha, lecz zdecydowana.

— Dziękuję, Anchelu. O szczegółach porozmawiamy po spotkaniu. Dziękuję też wam wszystkim za zaangażowanie. Jall, Byku, zorganizujecie obronę na wypadek, gdyby naznaczeni nie dali rady. Zbierzcie wszystkich zdolnych do walki, uzbrojcie ich w miarę możliwości. Na zamku znajdzie się sporo broni. Widziałem w zbrojowni miecze, noże, tarcze, topory, sporo łuków. Zbroje i kolczugi też się znajdują, choć trochę stare już, podniszczone. Trzeba by je wyczyścić. Zresztą, co ja was będę uczył.

— Ojcie — zwrócił się do starszego, posiwiąłego kapłana — twoi ludzie przygotowują lazaret. Rannych może być wielu. Znacie się na tym, macie te swoje ziołka i wiecie, jak to zrobić, a służba z pewnością pomoże.

Kapłan podniósł się natychmiast, gestem wezwał kilku innych i ruszył ku wyjściu. Po drodze zgarnął jeszcze paru wyrostków i służące, by pomogli przetransportować z klasztoru leki, zioła, opatrunki i narzędzia niezbędne do leczenia. Nie zdążyli dojść do drzwi, kiedy pędem wpadł do sali zdyszany służący, ciągnąc za sobą dwóch niedużych chłopaczków.

— Panie — pokłonił się Nairowi — te dzieci przyszły z wioski, wspięły się po skale. Ledwo żyją, biedusie, ale tak sobie pomyślałem, że to, co mają do powiedzenia, nie powinno czekać. Mów, chłopcze. — Starszego z nich klepnął zachęcająco po ramieniu.

Nietrudno było zgadnąć czyj to dzieciak, skóra zdarta z Ersała — Wilka.

— Jak masz na imię? — zapytał łagodnie Nair, by zachęcić i ośmielić chłopaka.

— Mil, panie. We wsi wołają na mnie Wilczek. — Chłopak zaczerwienił się, ale ciągnął dalej. — Panie, królewscy przyszedli do wioski. Czujki wypatrzyły ich na szlaku, siła ludzi, z pięćset może. Dokładnie nie wiadomo, bo rozciągnęli się na całej drodze z miasteczka i szli do góry. Ludzie z wioski uciekli w las, ale co niektórzy jeszcze nie wydobrżeli, zimno ich zabije. Ojca też my ukryli w lesie i babkę Mirie. Pozostali czekali zaraz za wioską, pomiędzy skałami, uzbrojeni w co się dało, ze stu chłopca. Kobiety też chwyciły za noże i tasaki, a dzieciakom włócznie dały, co by je trudniej było sięgnąć. — Wilczek przeciągnął rękawem bluzy po policzku, by otrzeć łzy, których się wstydził. Westchnął ciężko i opowiadał dalej: — Ja złapałem liny i dalej w góry razem z Jorko, bo we dwóch raźniej. Zaczęli my się wspinać i tak dotarli do was.

— Co? Te zbrodniarze w naszej wiosce? Wyrżniemy jak świnię, a potem spalimy ich ścięwa. Kurwie syny — ryczał czerwony z wściekłości Jall. Pozostali górale poderwali się z miejsc i głośno mu wtórowali, wymachując toporami.

Nair uciszył ich stanowczym gestem.

— Dajcie im dokończyć, zmęczeni bardzo. Mów dalej, Wilczku.

— Po prawdzie to już wszystko, panie. Długo oni tam nie zdzierzą, zimno w lesie, a obcych mrowie. Śpieszyliśmy się, jak tylko się dało, ale i tak zajęło nam to trzy dni.

— Dzielne chłopaki. — Nair chwycił Wilczka za ramiona i pokiwał głową z podziwem. Takim samym gestem podziękował młodszemu z nich. Zawstydzony Jorko opuścił głowę, ale Nair przykucnął, spojrzał mu w oczy i powiedział głośno i dobitnie, żeby wszyscy usłyszeli: — Nie wstydź się. Zrobiłeś wielką rzecz i możesz być z siebie dumny. Niejeden dorosły nie dałby rady tej skale, a ty się nie uląkłeś, żeby ratować swoich. Możesz chodzić z podniesioną głową, bo to wielki wyczyn.

W tym momencie rozległy się gromkie brawa. Zaprawieni w bojach mężczyźni podchodzili, by poklepać chłopców po plecach albo uścisnąć im dłonie — mocno, po męsku. Parę minut później służący przynieśli gorące mleko, chrupiący chleb pokrojony w grube pajdy, osełkę masła, ser i powidła. Wygłodniali bohaterowie pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Nair zadawał im pytania, by nie tracić czasu. Kwadrans później chłopców odniesiono do jednej z komnat. Byli tak zmęczeni, że zasnęli przy stole, a tumult sali działał na nich niczym kołysanka. Narada trwała dalej, tyle że jej temat gwałtownie się zmienił. Wszyscy byli zdania, że należy natychmiast wyruszyć do wioski. Czekanie na wrogów w zamku straciło sens, bo góralom ukrytym w lesie groziło wielkie niebezpieczeństwo — nadszedł czas działania.

Rozdział XXIII — Droga do wolności

Była już noc, kiedy zebrali się przed zamkiem niewielką grupą. Wszyscy górale, siedmiu naznaczonych, Anchel i Kala. To właśnie on zaproponował, żeby Nair został w zamku.

— Ja pójdę — rzekł stanowczo. — Jesteś królem, Nair. Potrzebują cię twoi ludzie i twoja żona, której omal nie straciłeś, i siostra, która nie ma nikogo oprócz ciebie. Jesteś im potrzebny. Najważniejsze jednak jest to, że wkrótce zacznie się walka o wolność nas wszystkich. Ktoś musi poprowadzić ludzi do boju i myślę, że to powinieneś być ty.

Nair rozumiał argumenty chłopaka, jednak zaprotestował. Obiecał Sahanowi, że będzie miał baczenie na młodego szacha, a ten chciał wejść w sam środek paszczy lwa.

— Nie, to ty zostaniesz w zamku i przygotujesz obronę. Jesteś najsilniejszym magiem z nas wszystkich. W tej wiosce jest ich kilkuset, poradzimy sobie. Tu może przyjść ich znacznie więcej, a tylko ty wyczuwasz umysły i potrafisz na nie wpływać. To nie jest prośba, przyjacielu. Przyrzekłem Sahanowi...

— Jestem szachem, jakbyś zapomniał, i dorosłym człowiekiem — zachnął się Kala. — Ani ty, ani Sahan, ani nikt inny nie może mi rozkazywać. Powiedziałem już, że pójdę i tak będzie.

— Nair, musisz zostać. — Nieoczekiwanie wtrącił się Jall. — Kala ma słuszość. Sylia została bez władcy, teraz ty jesteś królem Sylów i Morów. Będziemy chronić szacha, a tylko on jest w stanie wyczuć te skundlone psy nawet w lesie.

Pozostali też poparli decyzję chłopaka. Nair nie miał wyboru, musiał się na to zgodzić.

Godzinę później grupa śmiałków była gotowa. Nagle z zamku wybiegła Caril — w narzuconym naprędce kożuszku, z rozwianymi włosami, których nie zdążyła spiąć, pędziła w stronę Kali. Dopadła do niego, objęła za szyję, przyciągnęła jego głowę do swojej i wyszeptała mu prosto do ucha:

— Wróć. Nie pozwól się nawet tknąć, bo będziesz miał ze mną do czynienia, jasne? — Potem, tak samo błyskawicznie, odskoczyła od niego, posłała wszystkim szeroki uśmiech, odwróciła się na pięcie i pognęła z powrotem do zamku.

Kala był tak zdumiony, że stał z otwartymi ustami, łapiąc powietrze jak ryba. Byku podszedł i klepnął go między łopatki z całej siły:

— Byłbyś się udławił, chłopie. Coś ci utkwilo w gardle, ale już chyba lepiej, co? — zachichotał.

— Taaak, chyba tak — wymamrotał Kala niezbyt przytomnie.

W końcu ekipa wyruszyła, by jak najprędzej dotrzeć do wioski. Było ciemno, więc ostrożnie niczym koty stąpali po mokrych płatach śniegu. Jeden nierozważny krok mógł zakończyć się upadkiem w ponad stumetrową przepaść. Po lewej stronie szlaku pojawiła się skalna ściana, im dalej od zamku, tym wyższa. Na tle nocnego nieba rysowały się ciemne szczyty Pallarów ze swoim odwiecznym strażnikiem Rastowem: dumnym, niewzruszonym i wzbudzającym trwogę w ludzkich sercach.

Kiedy dotarli do krawędzi ściany, po której mieli schodzić, od razu poczuli swąd

i dostrzegli dym unoszący się nad wioską widoczny mimo ciemności. Czarne kłęby wydobywały się z samego środka niecki, wokół której górale zbudowali swoje chaty. W tym momencie stało się jasne, że przybyli za późno.

— „Królewscy puścili „Zaskale” z dymem, tylko, co zrobili z mieszkańcami?” — To pytanie przemknęło przez głowy chyba wszystkich.

Kala z pomocą Anchela osłonił ludzi, zarówno ich ciała, jak i umysły. Czym prędzej zaczęli wkładać uprząże i mocować liny do kotew wbitych w skały. Anchela przygotowywał Jall. Góralom nie podobał się pomysł zabrania ze sobą zakonnika. Nie potrafił się wspinać, a przy tym jego waga stwarzała poważne utrudnienie w zejściu. Musieli go ściągnąć, a do tego potrzeba było dwóch ludzi. Nikt jednak nie mógł odwieść Anchela od tego pomysłu. Zżył się z Kalą, zaprzyjaźnił i nie wyobrażał sobie zostawić go samego w obliczu takiego zagrożenia. Chłopak też polubił cichego zakonnika, który poniekąd zastąpił mu brata. Ahim zginął parę miesięcy wcześniej, a mimo to Kala nieustannie odczuwał jego brak.

Czas naglił, więc Byku jako pierwszy zszedł z krawędzi, odbił się nogami od skały i długimi skokami błyskawicznie przemieszczał się w dół. Po chwili zniknął im z oczu i gdyby nie cichy świst liny przesuwającej się w metalowych kółeczkach, można by odnieść wrażenie, że istniał tylko w ich wyobraźni. Potem zapadła całkowita cisza, niemal nierzeczywista — wszyscy wstrzymali oddech. Trwało to niezbyt długo, ale czekającym na górze mężczyznom zdawało się, że upłynęła cała wieczność. W końcu Jall poczuł szarpnięcie liny. Wypuścił oddech tak głośno i z taką ulgą, że pozostałym przebiegły po plecach ciarki. Natychmiast zabrali się do zwiezienia Anchela, co było najtrudniejszym zadaniem na tym etapie podróży. Jall szeptem usiłował wyjaśnić mu, co i jak:

— Nie trzymaj się liny, pozycja ciała półsiedząca. W razie konieczności nogami i rękami będziesz się asekurował przed uderzeniem w skały, rozumiesz?

Biedak kiwnął głową, zacisnął powieki, westchnął i kurczowo chwycił liny przymocowane do uprząży.

— „To tyle z mojego szkolenia” — pomyślał góral.

Dwóch mężczyzn musiało opuścić zakonnika nad urwisko, taki był ciężki i bezwładny. W końcu zwisający jak marionetka Anchel zaczął zjeżdżać, kołysząc się na boki i obijając o ostre jak brzytwa skały. Na górze został tylko Jall i jeden zznaczonych. Pozostali już opadali po ścianie w całkowitej ciszy jak duchy. Na wschodnim niebie pojawiły się pierwsze jaśniejące plamy — znak, że świt był tuż.

Dość szybko cała grupa znalazła się u stóp urwiska. Zebrali się szybko wokół Kali, by zgodnie z ustaleniami spróbować odnaleźć i wyeliminować najgroźniejszych wrogów — zakonników. Górale rozeszli się na niewielką odległość, rozglądając się czujnie i nasłuchując. Poza strzelającymi snopami iskier i wyjąłym złowroźnie wiatrem, w dopalającej się wiosce panowała cisza. Nawet wilki, których nie brakowało w tej okolicy, nie dawały znaku życia, choć powinny, zważywszy na okoliczności.

Anchel powoli dochodził do siebie, toteż Kala, łącząc swój umysł zznaczonymi, już sondował okolicę. Ostrożnie, bo przeciwnik był groźny. Po chwili usłyszał myśli Anchela:

— „Ja to przejmę, znam ich lepiej niż ty”.

Zapadła chwila ciszy, a później znów myśli zakonnika pojawiły się w głowie Kali:

— „Czujesz to, co ja? Zakonnych jest tylko siedemnastu. Nie mogą zaatakować ich naznaczeni, bo wokół pełno zwykłych ludzi, ale nie sposób określić czy to żołnierze, czy górale.”

— „Widzę ich myśli, Anhelu. Wielu potrafię odróżnić, niektórzy mają w sobie żądzę mordu” — Kala umilkł, jednak po króciutkiej chwili jego myśli niemal krzyknęły. — „Kto to jest? Mówi do mnie jak kobieta, słyszysz to? Co jest, do diaska? Kobieta?”

— „Spokojnie, bo rozsadzisz mi głowę” — przerwał mu zakonnik, przyciskając rękę do skroni. Miał zaczerwienioną twarz i wybałuszone oczy.

— „Ciszej trochę. Wsłuchaj się w jej myśli, bo ja ich nie rozumiem”.

— „Wybacz, zaskoczyła mnie” — Kala uważnie wpatrywał się w twarz przyjaciela, aż w końcu odetchnął z ulgą, widząc jej barwę wracającą do normy. — „Nie wiem, kim jest, ale przekazuje mi obrazy. Anchel, ona — przekazuje — mi — obrazy. Za szybko, nie rozumiem ich. Chwileczkę, tak, teraz widzę. Są na placu w samym środku wioski: mężczyźni, kobiety i dzieci. Jest Wilk i Mirie. Zaraz, ona zaciska pięści. To ona pokazuje mi wioskę. Słyszysz, bracie? Spędzili ich wszystkich. Widzę żołnierzy, znoszą drewno, układają wokół górali pierścien. Anchel, oni chcą ich spalić żywcem”. — Kala dygotał i chwiał się, jakby miał za chwilę upaść.

Jeden z naznaczonych chwycił go i podtrzymał.

— „Nie przerywaj” — odezwał się Anchel. — „Połącz się z nią jeszcze raz. Zaczynałem już widzieć to, co ty. Przekażę naznaczonym miejsca, naprowadzę ich. Kala, musisz jeszcze wytrzymać”.

Chłopak zamknął oczy, zacisnął pięści i zaczął przesyłać obrazy Anchelowi. Szybko, jedna po drugiej, migały sceny w umyśle zakonnika, a ten dał naznaczonym rozkaz ataku i prowadził ich myśli. Rozległy się wrzaski i szczęk broni. Górale otaczający naznaczonych zerwali się zdezorientowani, ale Anchel powstrzymał ich gestem ręki. Wszystko trwało ledwie czterdzieści sekund, może minutę. Później naznaczeni wyciągnęli miecze i ruszyli biegiem, dając Sylom znak do ataku. Anchel chwycił osłabionego Kalę, żeby nie rozbił głowy, padając na skaliste podłoże. Prawie trzydziestka ludzi pędziła na złamanie karku, by jak najszybciej wspomóc mieszkańców wioski. Naznaczeni zrobili, co mogli, eliminując dziesiątki żołnierzy i kilku zakonników. Słyszając krzyki, przerwali, gdyż w zamieszaniu mogli zginąć też mieszkańcy. Teraz pozostała już tylko walka wręcz.

Było coraz jaśniej, toteż wpadając do wioski, dostrzegli zażartą bitwę. Przewaga królewskich nadal była miażdżąca, bo górale wycieńczeni zimnem i głodem szybko opadali z sił. Walczyli wszyscy, nawet dzieci i starcy. Jall, Byku i pozostali z wrzaskiem wpadli na plac, z rozpędu atakując żołnierzy. Każdy wymach mieczem albo toporem kończył się odciętą ręką, rozłupaną głową czy popękanyimi żebrami przeciwnika. Moment zaskoczenia sprawił, że naznaczeni mieli okazję zlikwidować jeszcze kilka pomniejszych grupek królewskich. Broniący się mieszkańcy dostali drugą szansę, a także nowe siły do walki. Nadzieja zawsze dodaje sił.

W samym środku stała Mirie, skupiona i nieobecna. Ochroniało ją dwóch górali, z których jeden mocno krwawił z poharatanej ręki. Natychmiast doskoczyło na pomoc dwóch naznaczonych, wiedząc już, że ta starzejąca się kobieta jest jednym z najsilniejszych magów, jakich kiedykolwiek znali. Słusznie, bo wraz z upływającym czasem część żołnierzy jakby traciła zapal i siły. Można było się domyślić, czyja to zasługa. Byku szalał ze swoim wielkim toporem osadzonym na długim stylisku. Nie sposób było zbliżyć się do niego, gdyż szybkość, z jaką brał zamach, przyprawiała o trwogę. W jednej chwili rozłupywał głowę, by w drugiej odciąć komuś nogi. Większość naznaczonych walczyła mieczami, przeważnie dwoma. Wszyscy pochodzili ze szlachetnych rodów, gdzie od dzieciństwa uczono ich walki. Jeden z nich, wysoki, ciemnoskóry Gun, z wytatuowanymi na rękach orłami, po mistrzowsku markował ataki długim, obosiecznym mieczem, by w ułamku sekundy krótszy wbić w brzuch albo pachwinę przeciwnika.

Tymczasem do walczących dotarł Anchel, ciągnąc za sobą nadal oszołomionego Kalę. Zatrzymali się nieopodal, za nadpalonym wychodkiem, próbując ocenić sytuację. Żaden z nich nie nadawał się do walki wręcz, ale obaj mogli pomóc, wpływając na morale żołnierzy.

— Mówi się o męstwie, chwale. W tym nie ma nic chwalebного? — Krótco skwitował zakonnik, patrząc na zabitych i rannych. Na okrwawionych, umęczonych ludzi ślizgających się w mokrym śniegu pomieszonym z czarną sadzą i krwią.

Jedni leżeli, inni wymiotowali zwinęci w kłębek, a jeszcze inni nadal walczyli na śmierć i życie. Wszędzie wałały się szczątki, krwawe ludzkie ochłapy. Do tego wszystkiego dołączyły psy oszalałe ze strachu, a z okolicznych lasów doleciało wycie wilków. Wszystko wyglądało upiornie i nierealistycznie, tylko kłęby czarnego dymu, sterczące kikuty domów i setki ciał świadczyły o prawdziwości tego koszmaru. Kala nie rozmyślał, nie miał na to sił. Całą uwagę skupił na żołnierzach, próbując w ich umysły wsączyć strach i beznadzieję. Anchel natychmiast dołączył. Po chwili poczuli jeszcze jeden umysł, który wkrótce współgrał z nimi niczym muzyk w dobrze prowadzonej orkiestrze. To działało, gdyż w szeregi królewskich najpierw wkradł się niepokój, a potem strach. W oczach wielu żołnierzy pojawiło się przerażenie. Wystarczyło, żeby jeden wpadł w panikę i zaczął uciekać, a inni szli w jego ślady. Tak działało prawo tłumu i nawet najlepszym dowodzącym z trudem przychodziło przywrócić posłuchu i dyscypliny. Trzech, a może czterech nadal żywych zakonników wspomagało dowódców usiłujących zaprowadzić jakiś ład, ale to nie pomogło. Nie rozumieli, co się stało, ponieważ nie czuli magów ani naznaczonych nadal osłanianych przez Kalę. Górale napierali zaciekle, a naznaczeni likwidowali odrywające się grupki żołnierzy. Ci, którym udało się zbiec, nie mieli większych szans na przeżycie, w lesie czyhało wiele niebezpieczeństw, w tym wilki zwabione zapachem krwi. Bitwa dobiegła końca, a ludzie z wioski bezlitośnie dobijali rannych napastników.

Sprawiedliwość górali opierała się na prostych zasadach; królewscy przyszli do nich, zamordowali wielu bliskich im ludzi, zamienili w popiół ich domy — zasłużyli na śmierć.

Rozdział XXIV — Jak Feniks z popiołów

Jall klęczał przy spalonych zwłokach Nuta i jego rodziny, usiłując drżącymi dłońmi wyjąć kikut strzały wystającej z piersi kobiety. Nie wiadomo, jak to się stało, ale można było przypuszczać, że Nut razem z żoną i dziećmi wpadł do płonącej chaty, próbując uratować cokolwiek z dobytku. Królewscy musieli to dostrzec i nie pozwolili im opuścić domu, strzelając z łuków. Ocalało tylko najmłodsze z trójki dzieci przyjaciela, mały Oli, który przecisnął się pod belkami podwaliny, przeczołgał pomiędzy płonącymi badyłami jagodowych krzaczków, a potem wcisnął w niewielką dziurę w ziemi. Pomimo nieznośnego żaru, dzieciak przesiedział w tej dziurze do końca tak cichutko, że znalazł go dopiero jeden z naznaczonych przeszukujących teren. Chłopczyk był poparzony i otumaniony dymem, ale żywy. Anchel dość łatwo poradził sobie z jego ranami i wkrótce malec smacznie spał przy ognisku, nie zdając sobie sprawy, jak straszny los spotkał jego bliskich.

— A jeszcze nie tak dawno tańczyliśmy w ich chacie — wyszeptał Kala drżącym głosem. — To byli dobrzy, gościnni ludzie jak wy wszyscy.

Jall spojrział w zaszklone oczy chłopaka, wstał i poklepał go po plecach. Mocna, spracowana, ciepła dłoń przynosiła większe pocieszenie niż jakiekolwiek słowa.

— Zapłacą za wszystko, za każdego mężczyznę i kobietę, za niemowlęta i starców. Zapłacą nawet za owce i psy, za najdrobniejszą spaloną deseczkę. — Słowa Jalla padały powoli i dobitnie niczym modlitwa. — Do ostatniego oddechu każdy góral, który ocalał, będzie ich ścigał i tępił. Na końcu pójdziemy po tego ich króla. Przyrzeknij, Kala, że eseński król będzie nasz. — Spojrział chłopakowi w oczy, oczekując w milczeniu na przysięgę.

Kala nie odpowiadał dłuższą chwilę, bezwiednie przeczesując palcami długie włosy:

— Nie mogę tego zrobić, Jall. Okrzyknęliśmy wodzem Naira, ty także, więc tylko on mógłby taką przysięgę Sylom złożyć. Jeśli jednak go o to poprosicie, poprę was, choć wiem, że wielu jest w imperium takich, którzy chcieliby królewską głowę wbić na pal — przerwał, kiwając głową z namysłem. — Tak, ja też.

Milczał przez chwilę, a potem machnął ręką, jakby chciał odpędzić ponure myśli. — Chodźmy już — rzucił szybko. — Trzeba zająć się ludźmi. Są przemarznięci i głodni. Może uda się coś znaleźć w tych zgliszczach.

Ocaleni mieszkańcy już rozbiegli się po całej wiosce, próbując uratować jak najwięcej z dobytku. W jednej chwili królewscy pozbawili ich dorobku życia.

Mirie z grupką mężczyzn i chłopców przemierzała wieś, by sprawdzić stan budynków, które ogień zniszczył najmniej. Na dole wszystko doszczętnie spłonęło, ale trochę wyżej jedna z chat miała tylko nadpalone drzwi. Ocalały też budynki gospodarcze — stodoła i obora, w której było niewielkie stadko owiec i kóz stłoczonych w kącie ze strachu. Chata obok, z lekko nadpalonym gontem, też nadawała się do zamieszkania. Mirie zarządziła wyrzucenie zbędnych mebli i sprzętów, żeby uzyskać jak najwięcej miejsca. Naznaczeni zabrali się za przygotowanie ogniska, przy którym

zmarznięci ludzie mogliby się rozgrzać, a kobiety przygotować posiłek. W wielu miejscach nadal dopalały się domy, więc nie było obawy, że dym z ogniska mógłby zaniepokoić królewskich stacjonujących w Nore. Minie parę godzin, zanim żołnierze, którym udało się uciec z wioski, dotrą na dół, o ile ktokolwiek zdoła tam dotrzeć. Poza tym wysłano ich, by spacyfikowali górali, torując tym samym drugie dojście do zamku. W miasteczku musieli widzieć potężny dym sięgający niemal szczytów gór. Upłynie zatem dużo czasu, nim zakonni zorientują się, że atak nie przyniósł oczekiwanych rezultatów.

Kobiety znosiły z zagród wszystko, co udało się znaleźć: odzież, sienniki, poduszki, koce. Nazbierały też sporo żywności, choć patrząc na obraz zniszczenia, wydawało się, że spłonęło wszystko. Anchel zajął się uzdrawianiem rannych, których było co niemiara i z każdą chwilą przybywało więcej. Naznaczeni przeszukiwali pogorzelsko, a górale okolicę, odnajdując ludzi w ciężkim stanie, wychłodzonych, nieprzytomnych, a także niestety martwych. Tym nikt już nie mógł pomóc, poza godnym pogrzebem. Kala osobiście sprawdzał, czy aby w wyziębionych ciałach nie tliły się resztki życia.

Byku pomagał znosić drewno na ognisko. Silny chłop, ciągnąc za sobą olbrzymi konar, maszerował tak dziarsko, jakby to była ledwie gałązka.

— Byku! — zawołał Wilk za przechodzącym przyjacielem.

Ten zatrzymał się, nie wypuszczając gałęzi z rąk. Schodząc do wioski, nie miał nadziei spotkać kamrata żywego, toteż z ochotą podszedł zamienić z nim parę słów.

— No co tam, stary, potrzebujesz czegoś? — zapytał z szerokim uśmiechem na brodatej twarzy.

— Ja nie dam rady, ale reszta powinna uciekać do zamku albo w góry — odparł strapiony Wilk. — Te królewskie psy nie odpuszczą. Jak tylko ludzie odpoczną, zbierzcie ich i uciekajcie.

— Wiem, bracie, że tak byłoby najlepiej, tylko jak to zrobić? Jest wielu rannych, chorych, oni nie wejdą na górę. — Byku podrapał się po głowie. — Pomyślałem sobie, że zostaniemy, odbudujemy Zaskale i tu będziemy się bronić w razie potrzeby. Wyślemy kogoś do Naira, żeby przekazał wieści. On zrozumie, tym bardziej że odpadnie mu pilnowanie tej drogi.

— Może to dobry pomysł? — odparł Wilk, dziwiąc się, że też sam na niego nie wpadł. — Pomogę, jak tylko wydobrzeję.

— Anchel cię uleczy — stwierdził krótko Byku. — Widziałem na własne oczy, jak przywrócił życie Sulli. Taki jeden dźgnął ją nożem w dniu ślubu. Nair popadł w rozpacz, bo ten cios był przeznaczony dla niego, a nasz grubasek, niewiele myśląc, przykucnął, popatrzył, coś tam pomruczał i wiesz co? Zrobił cud, bo krew jak sikała z rany, tak nagle przestała, a dziura po nożu zniknęła. We dwóch z Kalą tak czarowali. Teraz też czarują, a przy którym przykucną, ten zaraz wraca do życia. Mówię ci, Wilku, ci dwaj znajdują się na rzeczy, ta ich magia postawi każdego na nogi. — Klepnął przyjaciela w ramię i ruszył ze swoim ciężarem w stronę ogniska. Naprędce przygotowany wielki ruszt ugiął się pod ciężarem kociołków napełnionych znalezionym jadem. Żelazne dzbany z wodą na herbatę ustawiono na kamieniach wprost w ognisku. Mając do wykarmienia tylu ludzi,

kobiety dwoiły się i troiły, znosząc kolejne porcje warzyw i solonego mięsa ocalałego w kilku piwnicach. Niektóre zagniaty ciasto na placki, takie proste mace, które wkrótce przypiekały się na rozgrzanych kamieniach.

Zapachniało gulaszem i pieczonym chlebem. Pomagali wszyscy, nawet dzieci i starcy — kto tylko zachował choć trochę sił. Tylko ranni i chorzy leżeli na rozłożonych gałęziach przykrytych szmatami. Opatuleni kocami, w ciepłe ogniska szybko zapadali w kojący sen. Dwie chaty na wzgórzu też były już gotowe, o czym świadczyły smugi dymu unoszące się z kominów — dobrego dymu. Z popiołów odradzało się nowe życie wbrew goryczy i nienawiści trawiącej serca. Potwornie zmęczony Kala z podziwem patrzył na tych twardych ludzi odzyskujących swoje życie z mrówczą zawziętością.

— „Kto zdoła ich zniszczyć?” — Przemknęło mu przez myśl, a chwilę później zasnął, pomimo rozchodzących się wokół zapachów.

Wielki galeon „Misja” przecinał fale z gracją tancerki. Rozwinięte żagle łopotąły na wietrze, co wraz z pluskiem wody i świstem napiętych lin brzmiało w uszach Olandeczym muzyka. Od godziny stał oparty o burtę, jak i pozostała część załogi, by wreszcie usłyszeć z bocianiego gniazda upragniony okrzyk:

— Ludzie, widzę ląd! Widzę ląd! — Chłopak wydzierał się co sił w płucach.

Wszyscy jak na komendę wychylili się do przodu i wypatrywali ziemi, którą przed sekundą obwieścił majtek. Chwilę później zerwali się, wrzeszcząc, klaszcząc i podrygując w jakimś szalonym tańcu. Szarozielona plama na horyzoncie rosła w oczach i nikt już nie miał wątpliwości, że dobili do celu. Kiedy tylko minęła ta chwila uniesienia, ludzie rzucili się do luzowania żagli.

Ten rejs nie sprawił im szczególnych trudności, szczęśliwym trafem ominęli sztormy i burze, co na morzu przydarza się tylko niektórym. Kieri spoglądała na twarz Olandec, na zmieniające się jak w kalejdoskopie uczucia — radości, fascynacji, tęsknoty i lęku. Pogładziła go po zarośniętym policzku, na co odwrócił się gwałtownie, chwycił ją wpół i mocno, gorąco pocałował. Pragnęła od tak dawna, by to zrobił i w końcu marzenie się spełniło. Choć na Taei, to kobiety wybierały sobie mężczyzn nie odważyła się jak dotąd zrobić niczego, co mogłoby go zrazić. Był Morovem, królewskim potomkiem wychowanym zupełnie inaczej niż ona. Uszanowała zwyczaje jego ludu, gdzie to mężczyzna winien wykonać pierwszy krok. Czekwała, będąc w pobliżu, bez nachalnego narzucania swego towarzystwa. Ofiarowała mu raczej długie, przyjacielskie rozmowy, w czasie których poznała go na wskroś. Kieri była uzdrowicielką w każdym calu, potrafiła leczyć nie tylko ciała, ale też dusze. Musiała nauczyć się tego z dnia na dzień, kiedy esencka wyprawa dotarła na wyspę, a jej członkowie doprowadzili do gwałtów i morderstw, jakich lud Tae nigdy wcześniej nie zaznał. Zszywała i opatrywała wówczas rany, uśmierzała ból ziołowymi miksturami, ale też pocieszała zrozpaczone i załamane przyjaciółki, które straciły bliskich w tej okrutnej, niewytłumaczalnej rzezi. Wspólnie z Ahije wzięły je w karby, nakazując odszukać rannych, umyć i pomóc opatrywać, a na koniec przygotować jeszcze stos pogrzebowy, znieść ciała zabitych i spalić, jak nakazywał obyczaj. To była okrutna lekcja, jednak niezbędna, by zmusić je do działania, do podniesienia się z upadku i odzyskania nadziei. Ahije wzięła na siebie obowiązek przewodzenia pozostałym, choć sama straciła matkę i siostry, a Kieri postanowiła ją w tym wesprzeć. Koszmarne wspomnienia wciąż wywoływały dreszcze, wracając w myślach i snach.

— Co się stało, Kieri? — Olandec patrzył na nią strapiiony, sądząc, że ten niespodziewany pocałunek tak wytrącił dziewczynę z równowagi. — Przepraszam, wybacz mi prośbę, ale taki byłem szczęśliwy, widząc tę ziemię, że nie zapanowałem nad sobą. Cokolwiek pomyślałaś, to nie był tylko pocałunek radości. Od dawna o tym marzyłem, tylko zawsze brakowało odwagi. Urodziłem się i wychowałem w Morovii, tam spędziłem najszczęśliwsze chwile mojego życia, ale kiedy wymordowano moją rodzinę musiałem uciekać. Esenia, chcąc nie chcąc, stała się moim drugim domem. Znalazłem

przyjaciół i życzliwych ludzi, którzy dali mi pracę i wsparcie, nie pytając, kim jestem. Kupcy zapewne domyślali się niejednego, toteż nie raz uratowali mi życie, ukrywając w belach tkanin albo beczkach z mięsem, kiedy królewscy kontrolowali ich okręty. Pomimo wyrządzonego przez Esenów zła, ta ziemia nie jest mi obca ani wroga, szczególnie Gelena. Potomkowie obecnej królowej zbudowali miasto na klifie. Mury z białego kamienia, a ponad nimi czerwone dachy domów. Nawet wieże klasztoru i kościoła Boga Stworzenia robią niesamowite wrażenie, choć to siedlisko zła w najczystszej postaci. Kiedy wpływasz do portu i po raz pierwszy widzisz to miasto, zakochujesz się w nim bez pamięci tak, jak ja w tobie. — Olande wziął dłonie Kieri, przytulił je do swojej twarzy, a potem spojrzał w jej oczy ze szczerym zachwytem, potwierdzając tym spojrzeniem swoje słowa.

Dziewczyna nie wytrzymała tego wzroku, jego żaru i namiętności, choć czekała na taką chwilę od wielu miesięcy.

— Kapitanie, zbliżamy się do przesmyku — krzyknął jeden z marynarzy, z którym Ole znał się jeszcze z kupieckich wypraw.

Oboje z Kieri podskoczyli wystraszeni i zawstydzeni, że przyłapano ich w tak intymnej sytuacji. Olande zrobił krok do tyłu tak gwałtownie, że zaczepił o zwiniętą linę i zakończył bezwładny lot tyłkiem w cebrzyku z brudną wodą. Wszyscy wokół gruchnęli śmiechem, na czele z Kieri. Rozejrzał się bezradnie, próbując wydostać się z cebra, a potem popukał w czoło na widok rozochoconych ludzi. W końcu uświadomił sobie, jak żałośnie musiało to wyglądać z ich punktu widzenia, klepnął dłońmi po wystających kolanach i wkrótce razem ze wszystkimi śmiał się z całego serca. Nie zdawali sobie sprawy, że mają do czynienia z następcą tronu Morovii, więc traktowali go jak kompana, a nawet przyjaciela.

— Wyciągnijmy go z tego wiadra. — Rozbawiony marynarz podszedł do Ole z wyciągniętą dłonią, którą ten mocno uchwycił. Drugi przytrzymał cebrzyk i w końcu, wspólnymi siłami, uwolnili go z tej niespodziewanej pułapki.

— Dobra, ludzie, pobawiliśmy się, a teraz do roboty! — zakrzyknął tonem prawdziwego kapitana. — Mocniej zluzować i przygotować się do przejścia przesmykiem! — Spojrzał w stronę oceanu i klasnął w dłonie na widok pozostałych okrętów podpływających od bakburty. Z pokładu „Odnalezionego” machał do niego Matei.

Szkolenie na Taei przyniosło właściwe rezultaty, gdyż jak na komendę marynarze zabrali się do luzowania żagli na wszystkich statkach jednocześnie. Ich prędkość malała gwałtownie i powoli przybliżały się do klifu, idąc śladem „Misji”. Większość ludzi stała na pokładach, patrząc z lekkim niepokojem na zbliżające się w sporym tempie skalne ściany. Ci, którzy nie znali tego miejsca, nie rozumieli, dlaczego płyną wprost na skały, gdzie nawet zakotwiczyć byłoby trudno ze względu na głębiny naturalne u stóp klifu. Dopiero na kilka metrów od ściany marynarze dostrzegli przesmyk, który prowadził do sporej zatoki. Oczom ludzi ukazała się spokojna tafla wody o niesamowitym, turkusowym zabarwieniu otoczona ze wszystkich stron pionowymi skałami. Wpadające do środka promienie słońca, odbijając się od niewielkich fal, rzucały na skalne bloki świetne refleksy — niczym lustrzane zajaczkę zapamiętane z dzieciństwa.

Okręty ustawiły się dość blisko siebie i marynarze zaczęli zrzucać kotwice.

— Jesteśmy na miejscu — krzyknął Olande do pozostałych. Jego głos zabrzmiał tak donośnie, że usłyszeli wszyscy. — Czas spuścić szalupy. Musimy dopłynąć tam. — Wskazał dłonią na północ, gdzie można było dostrzec pas plaży przytulonej do klifu. — Na początek zapraszam kapitanów i oficerów. Pokażę wam, gdzie założymy obóz, a potem wrócimy, załadujemy na łodzie wszystko, co niezbędne i zwieziemy na brzeg. Resztę wyjaśnię już w obozie. Do roboty! — rzucił krótki rozkaz i zaczął schodzić do szalupy sznurową drabinką. Wkrótce cztery łodzie wiozły do brzegu dowództwo okrętów: Ulei, Maksa, Matei oraz Olande, a także kilkunastu ludzi pełniących funkcje oficerów.

Chloe oparta o burtę patrzyła z zachwytem na to miejsce. Szamanka jak nikt inny czuła moc natury, okazując jej należny szacunek, a także uzasadniony lęk. Wiedziała, czego potrafi dokonać szalejący żywioł — przeżyła niejednen atak fal tsunami, niejednen huragan. Podziwiała obraz rozciągający się przed oczami, ale potrafiła sobie wyobrazić, co mogłoby się stać z zakotwiczonymi okrętami, gdyby użyć magii natury, uruchomić wiatr i wzburzyć wodę. Postanowiła mieć baczenie na wejście do zatoki, żeby móc w porę powstrzymać każdego, kto próbowałby się tu dostać niepostrzeżenie. Nikt nie wiedział, czy okręty nie były obserwowane z lądu. Gdyby tak było, to obserwator dostrzegłby, gdzie wpłynęły.

Do wieczora łodzie kursowały pomiędzy okrętami a plażą, zwożąc żywność, broń i mnóstwo innych sprzętów. Każdy posiadał coś, co musiał mieć przy sobie. Dla jednego był to ulubiony nóż, dla drugiego amulet, a jeszcze dla kogoś pukiel włosów ukochanej ukryty w maleńkim woreczku.

Kuk Talar miał swoją kolekcję noży kuchennych przytroczonych do pasa w specjalnym skórzanym worku. Obok nich dyndał pokrowiec z pokaźnym tasaczkim w środku, który w razie potrzeby można było użyć do obrony, podobnie jak noże. Osobiście je ostrzył, używając specjalnej oselki, która też należała do obowiązkowego ekwipunku kucharza. Tak objuczony zasiadł w łodzi obok chudziutkiego kuchcika z zadartym nosem, do obowiązków którego należało mieć nieustanne baczenie na skrzynkę pełną przypraw. Gdyby je zgubił, zgubiłby swoją duszę, jak mawiał Talar, nie wspominając o zemście kucharza. Kuchcik nie był pewien, co byłoby gorsze, więc pilnował skrzyneczki nawet we śnie, wkładając ją pod poduszkę.

Późnym wieczorem zebrali się przy kilku ogniskach, by omówić dalsze kroki, zajadając przy tym skromną kolację składającą się z zupy rybnej, duszonego mięsa i budyniu, który jako specjalność kuchni był nieodłącznym deserem serwowanym przez Talara w dowolnym miejscu na świecie. Bazą tego smakołyku była mączka ziemniaczana zmieszana z mlekiem, wysuszona jakimś, jedynie kucharzowi znanym, sposobem. Dodatkiem mogło być niemal wszystko: ugniecione ziarna kakao, zioła, owoce, cokolwiek, co posiadało przyjemny smak i aromat.

Popijali grzane wino z korzeniami, palili fajki opije i słuchali Olande przedstawiającego plan działania.

— Przede wszystkim odzież. Musimy wyglądać jak porządne grupy kupców z tragarzami i ochroną. Część z was pozostanie tu, na miejscu, by w razie czego chronić okręty albo wyprowadzić je i odpłynąć na Taei, gdybyśmy nie wrócili na czas. Reszta

podzieli się na kilkanaście grup, które zachowają łączność między sobą — to zadanie dla tancerzy. — Skinął głową w kierunku Natenge, który ledwie zauważalnym ruchem uniósł dłoń, sygnalizując, że wszystko jasne.

Później Ole, Matei i jego ojciec opowiadali o Gelenie, zarówno o rozmieszczeniu różnych, ważnych punktów, co Ulei posiadający niezwykle dar orientacji rozrysowywał na piasku, jak i o zwyczajach mieszkańców, o handlu, miejskiej straży i żołnierzach, a także albo przede wszystkim o zakonie i jego członkach. Ludzie musieli wiedzieć, z jaką łatwością potrafią oni przenikać umysły, odczytać z myśli zarówno dobre jak i złe emocje. Olande był naznaczonym, ale nie posiadał takiego daru, dlatego nie mógłby nikomu pomóc.

— Ja mogę — odezwała się Chloe. — Postaram się osłonić wasze myśli i zrobię to z twoją pomocą, Ole. Korzystania z cudzej mocy nauczyłam się od zakonnika Alberta, który wzmocniony w ten sposób uratował Ahije. Nie skorzystał z mojej pomocy, ponieważ byłam dla niego zbyt silna, ale wyjaśnił, na czym to polega.

Ustalili, że wyruszą rankiem, by do miasta dotrzeć w środku dnia, kiedy tłok i harmider jest największy. Najłatwiej wówczas wtopić się w tłum bez wzbudzania nadmiernej ciekawości mieszkańców, a szczególnie strażników. Chloe z pomocą Olande do późna pracowała nad tym, żeby zabezpieczyć myśli ludzi przed nadmierną ciekawością zakonnych. W końcu zapadła cisza przerywana jedynie strzelaniem iskier dogasających ognisk albo nagłym kaszlnięciem któregoś z wartowników czy chrapaniem śpiących ludzi.

Około południa grupa Olande dotarła do rynku. Szli zdecydowanym, choć nieśpiesznym krokiem w stronę budynku gildii bławatnej. Dziewięciu uzbrojonych strażników ze wszystkich stron otaczało czterech bogato odzianych, statecznych kupców oraz kilkunastu tragarzy dźwigających na plecach bele tkanin. Wysoki, miedzianoskóry Morov w białej koszuli i lekkim płaszczu spiętym złotą broszą w kształcie wrzeciona kroczył naprzód z ufnością, że towarzysząca straż usunie z jego drogi każdą przeszkodę. Nie mylił się, bowiem jej dowódca sprawiał wrażenie doświadczonego w swoim fachu. Role zostały przydzielone według cech ludzi i funkcji wykonywanych wcześniej, gdyż tylko to gwarantowało w miarę naturalne zachowanie w obcym dla nich świecie.

Kirue doskonale nadawał się na dowódcę straży kupieckiej. Wzrostem i wyglądem przypominał Morova — wystarczyło rozpuścić włosy, nałożyć lnianą koszulę i płócienne spodnie, nasunąć kapelusz nisko na czoło, by z powodzeniem odgrywać rolę najemnika. Wielu morovskich wojowników służyło eseńskim kupcom od kilku pokoleń. Kirue uzbrojony w miecz eseńskiej roboty parł przez zatłoczony rynek Geleny, torując drogę swoim kupcom. Wzrostem i postawą wymuszał pewien rodzaj poszanowania i lęku, którym zwykle darzono Morovów. Byli przecież potomkami walecznego narodu, co nawet w imperialnej niewoli nie uległo zmianie.

— Zbliżamy się do Placu Bohaterów — przekazał niezbyt głośno Olande, przysłaniając twarz dłonią.

— To znaczy, że spotkamy więcej żołnierzy — stwierdził Kirue, opuszczając kapelusz jeszcze niżej. — Majo, przekaż to pozostałym — rzucił krótko do „strażnika” z lewej, nie odwracając głowy ani na milimetr.

Zerknąwszy szybko i dyskretnie na boki, upewnił się tylko, że tancerze wtopieni w tłum przechodniów są dostatecznie blisko, by w razie czego pomóc.

Olande miał wielu znajomych pośród kupców, dlatego postanowił udać się do gildii. Tam mógł w miarę bezpiecznie uzyskać najwięcej informacji. Oznaczało to jednak konieczność przejścia głównym placem. Razem z trzema eseńskimi marynarzami tworzył podstawową grupę kupców. Kilkunastu tancerzy oraz młodych marynarzy przebrano w skromne odzienie i obarczono tobołami z towarem. Ludzie Kirue stanowili straż kupiecką, doskonale odgrywając przydzieloną rolę.

W tym samym czasie Matei ubrany w habit zakonnika zmierzał do domu przybranego ojca. Towarzyszyło mu kilku marynarzy i Kieri w charakterze służącej. Włosy schowała pod płócienną chustką, a w przewieszonym przez rękę koszu z warzywami ukryła kilka noży. Chloe postanowiła zostać w zatoce, by w razie czego chronić okręty i pozostałych tam ludzi.

Trzy mniejsze grupki wmieszały się w tłumy na bazarze i w porcie. Byli to głównie tancerze, których Natenge przymusił do nauki języka esseńskiego, co w tej sytuacji okazało się bardzo przydatne. Przebrani za służących, drobnych handlarzy, a nawet żebraków, przechadzali się bez pośpiechu, nasłuchując wieści. Znali swoje zadania i trasy,

którymi należało podążać w razie zagrożenia.

Jeszcze dwie grupy weszły do miasta — Ulei ze swoimi ludźmi oraz Maks z Talarem i jego kuchcikami. Skierowali się do portu, bo w tawernach gadało się o wszystkim, a najnowsze wieści docierały z prędkością błyskawicy. Weszli do portowej knajpki „Pod Lądowym Szczurem” dobrze znanej Ulei. Pracował w niej jako pomywacz, zanim zamustrował się na okręt. Pracę załatwił mu eseński rybak — prosty, dobry człowiek, który najpierw uratował jego i Matei, kiedy nieprzytomni dotarli w dryfującej łodzi do nabrzeża Geleny, a potem zaopiekował się chłopcem, wychowując go jak syna. Na dodatek pomógł Ulei się urządzić i zaprowadził do swojego przyjaciela, właściciela knajpy, który zatrudnił go, nie pytając o przeszłość ani pochodzenie.

Ulei podszedł do wolnego stolika kołyszącym, marynarskim krokiem i niedbale zasiadł na ławie. Obok rozparł się Maks, szczerząc zęby do gapiących się gości. Nie było obawy, że ktoś mógłby go rozpoznać. W ciągu dwóch lat, które spędził na Taei, wydorósł, zmężniał, rude włosy pojaśniały od słońca, a piegi zniknęły pod opalenizną. Z chłopca zmienił się w przystojnego, pewnego siebie mężczyznę. Właściciel i barman w jednej osobie, widząc niezgorzej wyglądających gości, natychmiast zarzucił na rękę białą ściereczkę i ruszył zza lady w ich kierunku. Jak to szynkarz, pomimo parunastu zbędnych kilogramów, poruszał się nad wyraz sprawnie.

— Witam panów serdecznie w progach mojej skromnej knajpki. — Zwrócił się do nich z szerokim uśmiechem na rumianej twarzy.

— Dzień dobry, karczmarzu. Czym nas uraczysz? Po długiej podróży zjedlibyśmy coś lepszego niż solone mięso. — Ulei uniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

Ten zastygł na jeden niezauważalny moment, tylko w oczach pojawiło się zdumienie, ale też radość.

— Panowie, przepraszam uniżenie, ale ten stół jest zarezerwowany. Zapraszam zatem do drugiej salki, niewielkiej, acz wygodnej — oznajmił, uśmiechając się jeszcze bardziej przymilnie niż przedtem. Goście wstali z lekkim ociąganiem i kwaśnymi minami, dając tym wyraz niezadowolenia. Weszli za karczmarzem do bocznej sali i dopiero wtedy Ulei uściskał serdecznie dawnego pracodawcę.

— Co, gdzie, jak? Ludzie gadali, że wszyscy zginęli na tej wyspie, a ty tu? — rzucał bezładne pytania karczmarz. — Gdzieś ty się podziewał, człowieku? My z żoną już cię oplakali, a tu proszę, zjawiasz się jak duch, cha cha... — Uśmiechał się przez łzy. — A to się Matyllda ucieszy. — Otarł spływającą po policzku łezkę. — Siadajcie, pewnieście głodni, już, już... Zaraz przyniosę coś dobrego i pogadamy. — Poklepał Ulei po ramieniu i ruszył do kuchni radosnym, sprężystym krokiem.

Nie minął nawet kwadrans, gdy drzwi do salki otworzyły się na całą szerokość. Matyllda, żona karczmarza, przytrzymała je jedną ręką, w drugiej dźwigając wielki dzban parującego, korzennego wina. Jej mąż taszczył ogromną tacę pełną półmisek, obok których spoczywał sporych rozmiarów bochen chleba. Kiedy rozstawili to wszystko na stole, Maksowi aż pociekła ślinka z powodu wyglądu i zapachu mięsa, duszonych warzyw i placka z owocami. Gospodarze przysiedli obok, w milczeniu patrząc na gości pałaszujących obiad. Nikogo nie trzeba było zachęcać, nawet okrętowy kucharz Talar cmokał z podziwem, doceniając kunszt. Później napełnili pucharki ciepłym winem

i zapalili fajki, częstując karczmarza tytoniem z Taei. To był dobry czas na opowieści, więc gadali długo i szczerze.

Maks i Ulei opowiedzieli o napaści Esenów na wyspę, o walce i zwycięstwie. Karczmarz z kolei przekazał informacje o śmierci królowej Sylwii oraz o młodym królu Anvilu. Choć sam był Esenem, nie podobały mu się poczynania króla i jego doradców. Słyszał o nagonce na ludzi obdarzonych magią, o mordowaniu bez litości każdego, kto takowymi się wyróżniał. Słyszał, że Anvil Edmur wydawał krocie na powiększenie armii i wyposażenie jej w najlepszą broń. Mogło to oznaczać tylko jedno, czas pobłażliwości dla podbitych narodów dobiegł końca. Król zamierzał zaprowadzić własny porządek, w którym każdy miał znać swoje miejsce — magiczni na szubienice i stosy, reszta do ciężkiej roboty. Dotyczyło to każdego, kto nie urodził się z eseńskich rodziców. Nie wszystkim Esenom podobała się taka wizja, dotychczas utrzymywali kontakty z Morovami, Sylami, Alierczykami, a także mieszkańcami mniejszych państw i prowincji. Handlowali z nimi, zawierali spółki i tworzyli gildie, powiększając stan posiadania, a tym samym poprawiając swój byt. Niektórzy znajdowali przyjaciół wśród obcych, a nawet miłość, choć na mieszane małżeństwa nie pozwalał żaden z władców imperium. To wszystko miało wkrótce się zmienić, tworząc bariery nie do pokonania i nasilając nienawiść. Ulei słuchał tych wieści ze spokojem Tae, ale Maks nie wytrzymał i grzmotnął pięścią w stół, okrasivszy to potokiem niewybrednych wyzwisk pod adresem króla:

— Ten, ten... skundlony wypierdek starego capa. By go oblażyły wszy, posrańca jednego, by się pośliznął na krowim łajnie. — Aż się trząśł z tych nerwów. — Dobierzemy mu się do tej chudej dupy. A tak, chudej, widziałem go kiedyś w powozie królowej Sylwii. Taki wyblakły wymoczek z niebieskimi, wrednymi oczkami. Od razu wiedziałem, że z padalca nie wyrośnie orzeł.

— Spokojnie, Maksiu, każdy dostaje od życia to, na co sobie zapracuje. — Ulei poklepał rozeźlonego chłopaka po ramieniu. — Każdemu zostanie odpłacone — dodał ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

Wtem drzwi się otworzyły i cichutko, niemal bezszelestnie, weszła Luea z oddziału tancerzy. Położyła palec na ustach i wyszeptła:

— Król przybył, zbliżał się do rynku z wielką świtą, a Olande ze swoimi wszedł do jakiegoś domu. Nie miałam jak go powiadomić, bo duży oddział zbrojnych zaczął otaczać plac. Wysłałam tylko ludzi do pozostałych grup i uciekłam. Ulei, te mapy, które rysowałeś na piasku były bardzo dokładne. Nie miałam żadnego problemu, żeby tu trafić, a inni też chyba dotrą, gdzie trzeba.

Mężczyźni bez słowa wstali od stołu i wyszli z knajpy. Nie zastanawiając się wiele, ruszyli w kierunku Placu Bohaterów według wcześniejszych ustaleń, by wszyscy zdążyli tam, gdzie pojawi się zagrożenie. Mieli nadzieję, że tancerze ostrzegą też pozostałych.

Przemierzając się w trzyosobowych grupkach, dotarli do głównego placu w niespełna pół godziny. Wieść obiegła miasto i wokół rynku zgromadziły się już tłumy, co znacznie ułatwiło dotarcie do gildii bez rzucania się w oczy. Wielu kupców stało przed swoją siedzibą, niektórzy na schodach, inni w otwartych oknach. Każdy chciał zobaczyć nowego władcę imperium. Faktycznie, jak mówił Maks, chłopak był chuderlawy,

o bladym obliczu i zimnych, błękitnych oczach. Mimo to wyglądał dostojnie, choć skromne odzienie — biała koszula i jasna, skórzana kamizelka — nie dodawało splendoru. Wydawało się, że zupełnie nie dbał o wizerunek, wiedząc, że nawet w stroju pasterza nie przestanie być królem. Siedział w siodle pewnie i władczo spoglądał na tłumy, usiłując złagodzić wyraz twarzy tak, by wyrażał królewską troskę i radość ze spotkania z poddanyymi. Widać nie robił tego zbyt często, gdyż, pomimo wysiłków, grymas pozostał grymasem i nijak nie chciał przypominać uśmiechu.

— Widziałeś, Ulei? Mówiłem, że padalec z niego albo jeszcze gorzej — mruknął zaszepiony Maks. — Z tego, co opowiedział twój przyjaciel karczmarz, wiemy, że to matkobójca i żądny krwi despota. Taki nie cofnie się przed niczym, a szczególnie wobec tych, których się obawia. Nawet ze swoim zakonem zrobił ponoć porządek. Musimy natychmiast znaleźć Olande, jest w wielkim niebezpieczeństwie.

— To prawda, Maksiu, prawda. — Ulei kiwał głową z zatroskaną miną.

Przeciskali się między ludźmi, usiłując wypatrzeć w tym tłumie Ole albo kogoś z jego grupy. W końcu Maks zauważył Kirue. Bez pośpiechu przemierzali się w jego kierunku, pilnując, by nie stracić go z oczu. Olande był nieco niższy, toteż Maks rozglądał się uważnie i aż się wzdrygnął, gdy ktoś chwycił go pod łokieć i pociągnął za sobą.

— Co, do diaska? Puszczaj, łachu! — Zachnął się, usiłując wyrwać rękę, ale uścisk był na tyle mocny, że nie dał rady.

— Ciii... To ja. — Usłyszał głos Ole przy swoim uchu. — Widzisz tego ponuraka obok Anvila? On jest Morovem, naznaczonym i to bardzo silnym. Przypomina mi kogoś, tylko nie mogę dojść kogo. Nie wiem, na ile skuteczna jest ta ochrona Chloe, ale wolałbym nie sprawdzać. Muszę się stąd natychmiast wynosić. Znajdź naszych ludzi i powiadom, że znikamy.

Maks leciutko skinął głową na znak zrozumienia i ruszył w stronę Kirue. Olande jeszcze raz zerknął na maga usiłującego zapanować nad narowistym, parsającym wierzchowcem. Mężczyzna na moment odwrócił głowę i spojrzał — Olande Karun był przekonany, że na niego, choć może to tylko złudzenie. Tym rychlej wycofał się z tłumy, chcąc jak najszybciej zniknąć z zasięgu wzroku naznaczonego. W parę chwil znalazł się w małej uliczce prowadzącej w stronę przedmieścia. Wtedy usłyszał tumult dobiegający od Placu Bohaterów.

— „Rozpoznał mnie i wszczął alarm? Kim on jest?” — myślał intensywnie. — „Zresztą, to teraz najmniej ważne. Co robić? Wrócić, czy dotrzeć do zatoki po posiłki?” — Gorączkowo obliczał czas, jaki mu to zajmie. — „Za długo. Kirue i pozostali będą walczyć, żeby dać mi czas na ucieczkę. A co z Matei? Jeśli zdążył tam dotrzeć, to zginie, a Ahije umrze bez niego. Muszę tam wrócić, tylko ja posługuję się magią.” — Decyzja zapadła, więc zawrócił i biegiem ruszył w stronę rynku.

Z mieczem w jednej ręce, a nożem w drugiej, wpadł w sam środek wydarzeń. Błyskawicznie zrobił rozeznanie i już po chwili dojrzał grupę żołnierzy. Królewscy zgromadzili się wokół króla, ale nie to zainteresowało Olande. Po prawej stronie placu w pobliżu budynku gildii trwała walka. Wyraźnie widział głowę Kirue poruszającą się w rytm uderzeń miecza. Najpierw próbował przedrzeć się do walczących przyjaciół, ale w ułamku sekundy zmienił zdanie. Ruszył w stronę Anvila, a właściwie towarzyszącego

mu maga, bo to on był najgroźniejszy. Widział, jak skupiony wpatruje się w miejsce trwającej bitwy w poszukiwaniu źródła zamieszania. Kiedy tylko zorientuje się, kto je rozpetał, los sprawców będzie przesądzony.

Olande schował broń, opuścił kapelusz na czoło i ostrożnie przesuwiał się do przodu. Nigdy w dziejach Morovii żaden naznaczony nie stanął do walki z innym naznaczonym, ale tym razem nie miał wyboru. To był zdrajca, wróg i śmiertelne zagrożenie dla jego ludzi: Kirue, Maksa i innych. Struchlał w tym momencie, uświadamiając sobie, że przecież Kieri też była razem z Matei. Jeśli tancerze zdołali ich powiadomić, to na pewno jest gdzieś wśród walczących. Nie było czasu do stracenia, tym bardziej, że głowa Kirue zniknęła. Być może tylko się przychylił, a jeśli go zraniono albo zabito? Olande patrzył na maga w skupieniu, ale choć bardzo się starał, nie mógł go zabić. Nie rozumiał tego i spróbował jeszcze raz, jednak i tym razem się nie udało. Zrozumiał, że walka z naznaczonym nie była możliwa i to nie tylko z powodu obyczaju. Wymyślił naprędce plan zastępczy. Nie dostrzegł co prawda króla, który prawdopodobnie przyłgnał do końskiej szyi i pod ochroną żołnierzy usiłował opuścić plac, ale widział głowy ochrony i łby ich koni. Zaatakował, nie wiedząc z jakim skutkiem. Usłyszał okrzyki bólu i trwogi, a potem tumult, tętent kopyt i wrzaski roztrącanych ludzi. Stracił też z oczu naznaczonego, ale nie zamierzał go szukać. Ta chwila zamieszania pozwoliła mu na dotarcie w miejsce walki. Żołnierze już się wycofali, gdyż złowróżbne pomruki tłumu nie brzmiały zachęcająco. Eseńscy kupcy nie mieli najlepszego zdania o królu i nie podobało im się to, że jego żołnierze zaatakowali kupiecką grupę. Ole dotarł do środka wydarzeń i natychmiast dobiegł do rannych leżących na ziemi. Kieri klęczała nad Kirue, a Maks usiłował pomóc Matei wstać. Rannych było więcej, znajomych i obcych. Ole dotknął ramienia Kieri, jednak ona nawet nie odwróciła głowy.

— Co z nimi? — zapytał.

— Matei jest ranny, ale przytomny. Gorzej z Kirue, nie daje znaków życia, zginął jeden z kuchcików Talara, szkoda dzieciaka, pozostali jako tako — relacjonował Maks.

— Wnieśmy ich do budynku — zarządził jeden ze starszych kupców. — Ludzie, pomóżcie.

Każdy, kto był w pobliżu, rzucił się do pomocy i w ten sposób ranni znaleźli się w przestronnym holu gildii kupieckiej. Ułożono ich na szerokich stołach, okrywając czym popadło, nawet storami zerwanymi z wielkich okien. Kieri nie odstępowała Kirue na krok, skupiona i milcząca, a także blada z wysiłku. Olande wiedział, że wykorzystuje całą nagromadzoną magię.

— Potrafisz skorzystać z mojej pomocy? Tak, jak mówiła Chloe? — zapytał.

— Nie pomyślałam o tym — odparła cicho. — Ale tak, potrafię i skorzystam.

Poprosiła kupców o pozostawienie ich w spokoju, wezwała jeszcze kilkoro tancerzy, o których wiedziała, że dysponują choćby niewielką ilością magii, a leżącego na stole Kirue nakazała przełożyć na podłogę. Usiedli wokół niego i w całkowitej ciszy chwycili się za ręce.

— Proszę, aby każdy z was poddał się mojej woli i nie walczył z nią, cokolwiek by się zdarzyło. — Cichutko, ale stanowczo przykazała Kieri. — Niektórzy wiedzą, jak to działa, pozostali muszą po prostu mi zaufać.

Popatrzyła w oczy każdemu po kolei, oczekując niemego potwierdzenia, że rozumieją. Lekkie skiniecie głową wystarczyło jej całkowicie, w końcu miała do czynienia z ludźmi Tae. Olande również potwierdził całkowite podporządkowanie, choć nie ukrywał ekscytacji. Kieri pokręciła głową, okazując swoje niezadowolenie. Zrozumiał i starał się wyciszyć na tyle, na ile zdołał.

W holu pozostał tylko Maks, ranni oraz czworo tancerzy pilnujących drzwi na wypadek wizyty nieproszonych gości. Pozostali posłusznie opuścili pomieszczenie, rozumiejąc, że mogliby przeszkadzać, ale też ze strachu przed magią. Nikt nie wyszedł z budynku, aby donieść królewskim, że w gildii dzieją się dziwne rzeczy. Kupiecka solidarność działała bez zarzutu.

Wreszcie zapadła całkowita cisza, nawet ranni przestali pojękiwać, jakby podniosłość chwili stłumiła w nich ból. Zrobiło się zimno, tak zimno, że na skórze i włosach siedzących ludzi zabłysły drobinki lodu. Olande poczuł w swoim umyśle jakąś przeszkodę, blokadę uniemożliwiającą myślenie. Coś dotykało jego jaźni, wyrwijając i szarpiąc boleśnie, jakby zakrzywione kolce rozdrapywały rany wewnątrz głowy. Jedyna myśl, jaka mu pozostała, to chwycić się za głowę i uciec.

— Musisz mi zaufać! — Usłyszał dziwny, natarczywy szept. — Musisz zaufać!

Trwało to zaledwie ułamek sekundy, jak sądził, a potem wszystko odeszło tak samo nagle, jak nastąpiło, pozostawiając dotkliwą pustkę i tęsknotę. Nie potrafił określić za czym, ponieważ dopadło go zmęczenie i senność. Zamknął oczy, a głowa sama opadła na bok jak ścięta.

— Olande, obudź się. — Maks szarpał go za ramię, podtrzymując plecy, żeby nie upadł na podłogę. — Zbudź się, do diaska, bo muszę pomóc też pozostałym, nie walnij głową, słyszysz?

Otworzył oczy, jednak zamknął je natychmiast, czując potworne mdłości. Był wyczerpany i przemarznięty, ale po chwili poczuł czyjeś troskliwe ręce okrywające go ciepłą tkaniną. Ponownie otworzył oczy i rozejrzał się ostrożnie, gdyż każdy ruch powodował zawroty głowy. Kieri leżała nieruchomo opatulona od stóp do głów. Pozostali albo siedzieli oparci o ścianę, albo leżeli na podłodze skuleni z zimna. Ole spojrzął na Kirue, który oddychał miarowo, choć raczej nie odzyskał pełnej świadomości.

— „Udało się.” — Pomyślał, przysuwając się do Kieri. — Udało się, on żyje — powiedział na głos. — Jesteś niesamowita, dziewczyno, brak mi słów. — Przytulił ją do siebie, starając się ogrzać swoim ciałem, mimo że sam nadal dygotał.

Nie odpowiedziała, nie miała siły, ale położyła mu głowę na ramieniu i natychmiast zasnęła.

Kupcy już krzatali się wokół nich, rozwijając kolejne bele miękkich i ciepłych tkanin, by okryć nimi trzęsących się ludzi. Niektórzy ostrożnie przystawiali kubki z gorącą herbatą do ich ust, próbując wlać w nie choćby parę kropel wzmacniającego napoju.

Odpoczywali kilka godzin, a potem, pod osłoną nocy, odeszli z rannymi w stronę zatoki, w której czekały okręty i towarzysze. Kupcy nie zadawali pytań, wierząc w mądrość sprzed wieków: „Nie wtykaj nosa do ula, a unikniesz żądań”. Olande z własnej woli opowiedział im tyle, ile uznał za stosowne, dziękując za pomoc i przysięgając

wzajemność w razie potrzeby.

Rozdział XXVII — Jak okiem sięgnąć

Krótko przed świtem Sahana wyciągnęły z namiotu jakieś hałasy. Nieco odległe, ale w takich czasach niczego nie można ignorować. Wstał, wyrzwał z namiotu i nie dostrzegł niczego szczególnego. Jednak dźwięki nadal docierały z oddali. Ruszył przed siebie w kierunku wzgórza, coraz wyraźniej słysząc głosy ludzi. Wspiął się na szczyt wzniesienia i... oniemiał. Przez chwilę wprost nie mógł złapać tchu, tak był zszokowany widokiem. Aż po horyzont rozciągało się morze białych namiotów ustawionych w niemal idealne rzędy. Przy niektórych już unosiły się stróżki dymu z niewielkich ognisk, kolejne dopiero zaczynano rozstawiać. Sahan ocierał rękawem napływające do oczu łzy, zupełnie nie dbając o to, że wojownikowi nie przystoi płakać. W jego kierunku biegł Hakim, wymachując rękami i wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa.

— Wi... wi... działaś to? — Zatrzymał się i spojrzał w zapłakane oczy Sahana. — Widziałeś, oczywiście, że tak — stwierdził nieco rozczarowany, że nie zdążył przekazać tej nowiny jako pierwszy. Po chwili jakby oprzytomniał, przeczesując włosy z zawstydzoną miną. — Co ja wygaduję? Wybacz, ale z tej radości pomieszało mi się w głowie — mruknął.

— Też byłem w szoku — odparł z uśmiechem Sahan. — Aż się popłakałem. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Ile to czasu minęło? — zapytał. — Cztery tygodnie — udzielił sam sobie odpowiedzi.

Obaj pamiętali dzień, w którym wysłali gońców do położonych najbliższej szejkanatów, licząc na to, że w krótkim czasie zdołają zebrać kilkuset wojowników. Obóz powoli się rozrastał, gdyż każdego dnia przybywało kilku, czasem kilkunastu, ale od kilku dni nie dotarł już ani jeden wojownik. Aż tu nagle.... W najśmielszych marzeniach nie liczyli na to, co się właśnie wydarzyło. Alierzycy nie odczuli tak mocno imperialnej niewoli jak inne narody. Rozsiani po pustyni, ciągle w drodze, nie napotykali zbyt często królewskich patroli. Nie nęcano ich, gdyż poza rodziną szacha nie było w Alierii ludzi obdarzonych magią. Nie stanowili zagrożenia, ot zwykli hodowcy owiec, kóz i wielbłądów, a gdzieniegdzie koni. Ceniono ich za najlepszą w imperium wełnę, perfumy, bawełniane tkaniny i dywany. Tylko niektórzy prowadzili osiadły tryb życia, uprawiając rolę, głównie bawełnę, owoce cytrusowe, banany i oliwki. Kto by się tam przejmował takimi włóczęgami. Nawet Sahan nie uwierzyłby wcześniej, że jego lud tak bardzo pragnie wolności.

Z namiotu obok wyszedł Michael — zbiegły przeor eseńskiego zakonu — i aż przysiadł, kręcąc głową z niedowierzaniem.

— Nie doceniałem was — stwierdził. — Król i jego ludzie też nie. To będzie dla niego niespodzianka, przykra, jak sądzę. — Cedził słowa nie bez satysfakcji. — Czy wasi ludzie potrafią walczyć? Zresztą, o co ja pytam, przecież widziałem was w akcji. Taaak — dodał z uśmiechem. — Niemiła niespodzianka.

Czterech ludzi odzianych w koszule z najlepszej bawełny, bez broni, zbliżało się do namiotu Sahana. Rozpoznał ich natychmiast — szejkowie z północy.

— Witam was, szlachetni. — Pochylił głowę nisko jak na szejka i krewnego

szachinszacha Alierii. — Siądźcie z nami, czas na śniadanie.

Nie rozmawiali podczas posiłku, który rozrósł się do rozmiarów uczty, ponieważ dołączyli kolejni szejkowie oraz kilkunastu wezyrów. Na koniec poczęstowano wszystkich kawą, którą Sahan z Hakimem popijali na modłę morovską, co wzbudziło ogólne rozbawienie i próby naśladowania. To nie był zwyczajny widok, kiedy zaprawieni w trudach pustyni mężczyźni usiłowali trzymać delikatne filiżanki z gorącym napojem, układając palce w wachlarzyk. Śmiali się przy tym do rozpuku, wytykając sąsiadów.

— Jestem zaszczycony i wzruszony waszą obecnością. — Sahan wstał i jeszcze raz z szacunkiem skłonił głowę. — Jest was tak wielu. Jak to możliwe, że dotarliście tu wszyscy naraz?

— Kiedy przybyli twoi posłańcy — zaczął Jarha z szejkanatu Roda — moich ludzi nie było w osadzie. Dwa dni wcześniej odeszli ze stadami na handel do Hary. Wziąłem wszystkich pozostałych, nawet starców zdolnych utrzymać się w siodle, i wyruszyłem z nimi do szejkanatów położonych jeszcze dalej na północ. Przekazałem twoją prośbę, opowiedziałem, co królewscy czynią z ludźmi w Morovii, w Sylii, co uczynili synowi szacha i twoim ludziom, a w szczególności Murdzie. Poprosiłem o wsparcie, umówiłem się w oazie nad Proną i wróciłem do Roda po namioty i żywność. Kiedy trzy tygodnie później dotarłem z powrotem nad Pronę, było tam już ze czterdzieści klanów. Poczekaliśmy jeszcze tydzień, a następnego dnia o świcie wyruszyliśmy do Berii. Razem z moimi ludźmi było nas prawie cztery tysiące. Też mnie to zaskoczyło, ale mądrzy ludzie mówią, że wielbłądów, kobiet i szabel nigdy dość. — Uśmiechnął się szeroko, prezentując śnieżnobiałe zęby. — Nie widzę w tym nic szczególnego. Od zawsze byliśmy wolnymi ludźmi, a teraz nadszedł czas odebrania swego i wymierzenia kary.

Ludzie poderwali się z miejsc, unieśli ręce, i zaciskając pięści, wrzasnęli w niebo — Allar, Allar, Allar — starożytną nazwę krainy, w której przyszło im żyć.

Sahan zrozumiał, że są gotowi zapłacić każdą cenę, choćby najwyższą.

— Odchodząc z Sylii parę tygodni temu, obiecałem Kali, naszemu władcy, że przyprowadzę mu wojowników, aby mógł pomścić brata, którego straciliśmy w Harze. Gdyby nie morovski naznaczony, książę Nair Karun, nas też by już nie było. Dotarliśmy z nim do Sylii, a tam znów musieliśmy walczyć ręką w rękę z Sylami i Morovami. Widzieliśmy pomordowanych ludzi, zgwałcone dziewczyny, dzieci jeszcze, porzucone przy drodze z poderżniętymi gardłami, młodych morovskich mężczyzn powieszonych w lesie. — Przerwał, by przełknąć dławiacą gulę żalu, odetchnął i kontynuował: — Widzieliśmy desperackie próby ucieczki, ukrycia się naznaczonych. Słyszeliśmy ich opowieści o ojcach, matkach, braciach i siostrach, a także dzieciach, które straciły życie z powodu pochodzenia albo zdolności danych im przez naturę.

— A w drodze do domu straciliśmy przyjaciela, sami ledwo uchodząc z życiem — dodał Hakim. — Murdzie odcięli głowę — dokończył i umilkł, patrząc na zaciśnięte dłonie wojowników.

— Pójdziemy do Hary, odbierzemy stolicę obcym, a potem ruszymy do Sylii, zbierając po drodze wszystkich ochotników, jakich spotkamy. Nie będzie litości dla wrogów, bo oni nie mieli jej dla nas. Pamiętajcie o zakonnikach, ci są najgroźniejsi

i najbardziej bezwzględni. O nich opowie wam Michael, który musiał uciekać ze swojego kraju, gdyż miał inne zdanie niż król. Odpocznijcie, przygotujcie się i rankiem wyruszamy. Na szczęście, idąc na Harę, ominiemy Pustynię Księżycową. Przeszliśmy ją z Hakimem i Murdą, ale wolałbym już nigdy nie korzystać z tego szlaku, przyprawia o drżenie serca.

Jedni wrócili do swoich namiotów, inni skorzystali z zaproszenia Sahana. Zapach sziszy i mocnego naparu z kwiatów hibiskusa był wszechobecny do późna wieczór. Resztę nocy, aż do świtu, szejk spędził w towarzystwie swojej nałożnicy Alli. Kochała go jak żona, a on szedł na wojnę, postanowiła więc zrobić wszystko, aby zapamiętał tę noc na długo. Pachniała perfumami z nutą jaśminu, cytryny i niezwykle aromatycznych przypraw, co dawało mieszankę tak słodką i upojną, że żaden mężczyzna by się nie oparł. Sahan też nie zamierzał, tuląc ją i pieszcząc, aż pierwsze promienie przedarły się przez płótno namiotu. Wtedy wstała, zarzuciła jedwabną suknię i boso, cichutko jak duch, wróciła do namiotów kobiet. Czuł przejmujący smutek, wiedząc, że nic równie pięknego i słodkiego długo nie zobaczy.

Pół godziny później wyszedł na zewnątrz gotowy do drogi. Nie czuł ani zmęczenia, ani senności, za to dziwną radość, że spełnia się pragnienie, które nosił w sobie od śmierci szwagra, Marada Harima i siostry, Laisy — chwycić za broń i ruszyć na zbrodniarzy. Odplacić za śmierć bliskich, za Ahima i Murdę, a także za te sponiewierane dziewczynki, których nawet nie znał, ale obraz ich ciał tkwił mu w oczach i nie pozwalał spokojnie spać.

Namioty już zniknęły, podobnie jak całe wyposażenie, spakowane i przytroczone do grzbietów zwierząt: osłów, mułów bądź wielbłądów. Ludzie też byli gotowi z wystającymi zza pleców łukami i arsenałem broni przy pasach, od mieczów po sztylety.

Oddziałami dowodzili szejkowie albo wyznaczeni przez nich zastępcy. Niespełna dwie godziny później wyruszyła wielka, jak okiem sięgnąć, karawana wijąca się niczym pustynny wąż poszukujący ofiary. Eseński zakonnik zadrżał na ten widok — bądź co bądź ta zdyscyplinowana, zaprawiona w trudnych warunkach armia wojowników zmierzała do jego kraju. Chwilę później już się zastanawiał, jak tę karawanę ukryć przed oczami szpiegów, gdyż zaskoczenie było najlepszym gwarantem powodzenia.

Rozdział XXVIII — Przeczucie

Nair przemierzał komnatę od ściany do ściany z nieobecnym wyrazem twarzy. Sulla, udając, że czyta, zerknęła niespokojnie znad książki. W końcu nie wytrzymała, podniosła się z fotela i stanęła mu na drodze. To był błąd, bo uderzył w nią z impetem, co skończyło się bolesnym dla obojga upadkiem. Chwytał ją za ręce i podniósł ze złością.

— Sulla, czemu na mnie wpadasz, jesteś jakaś nieprzytomna — zaczął ostro, ale widząc jej wystraszone wzrok, natychmiast złagodniał. — Przepraszam, kochanie, ale powinnaś uważać, przecież mogłem zrobić ci krzywdę.

— To nie ja maszeruję w tę i z powrotem od dwóch godzin — odparła ze smutkiem. — O czym tak rozmyślasz? Co się stało? Nie powiedziałeś od rana ani słowa, już nie mogłam tego znieść.

— O świcie miał przybyć łącznik z Zaskalą, jednak nie dotarł do tej pory. Bardzo mnie to martwi i nie wiem, co robić.

Od pożaru wioski ustalili system, dzięki któremu informacje docierały w obie strony. Przy każdej wizycie umawiali termin następnej, chyba że stałoby się coś nagłego, wtedy posłaniec miał wyruszać natychmiast.

— Myślę, że jeszcze nie ma powodu się martwić, poczekajmy, dopiero południe. — Wspięła się na palce i pocałowała go w usta, ale niepokój najwyraźniej wziął nad nią górę, bo nie zareagował tak, jak oczekiwała. Właściwie, to w ogóle nie zareagował. Poglaskał ją tylko po policzku i wyszedł.

Sulla usiadła, popatrzyła na książkę, podniosła ją i próbowała czytać, jednak szybko zrezygnowała, łapiąc się na tym, że nie pamięta ani słowa. Usiłowała znaleźć sobie jakieś zajęcie, zagłuszyć niespokojne myśli, ale nie pomogło. Opuściła bezradnie ręce i usiadła na łóżku, a łzy same cisnęły się do oczu i spływały po policzkach. Trochę jej ulżyło, więc otarła oczy rękawem sukni, zarzuciła na ramiona szal i zamierzała wyjść, gdy rozległo się pukanie. Nie czekając na odpowiedź, do pokoju wkroczyła Caril, a właściwie wpadła jak wichur.

— Co mu jest? — zapytała bez ceregieli. — Pędził gdzieś jak szalony. Płakałaś? Sulla, co tu się stało? Mój głupi braciszek pognął w nieznane, nie racząc odpowiedzieć na żadne pytanie, a ty tu siedzisz sama i płaczesz?

— On się jakoś zmienił, Caril — odparła. — Od rana był nieobecny. Nie odzywał się do mnie przez całe przedpołudnie, nie pocałował, nie przytulił, a w końcu wyszedł, nie mówiąc dokąd. Przestał mnie kochać?

— Bzdura. — Machnęła ręką. — Nikt nikogo tak nie kochał, jak on ciebie. Przyczyna tkwi w czymś innym. Coś mówił? — Caril próbowała dociec, co nęka Naira, chodząc identycznie jak on, od ściany do ściany.

— Tak, powiedział, że nie dotarł goniec od górali.

— No, nareszcie mówisz z sensem. — Caril odetchnęła z ulgą, ale sekundę później wrzasnęła. — Nie dotarł goniec? Do tej pory? Sulla, tam coś się stało. Muszę lecieć, kochanie, trzeba znaleźć Jalla i natychmiast wyruszyć z nim do wioski. — Obróciła się na pięcie i wybiegła.

— Taka sama jak on — mruknęła Sulla i opuściła bezradnie ręce.

Caril pędziła korytarzami, jakby gonił ją dziki zwierz. Wpadła do swojego pokoju, wciągnęła spodnie, chwyciła przygotowany od dawna podróżny worek i wybiegła na dziedziniec. Dostrzegła Naira rozmawiającego z grupką mężczyzn i czym prędzej ruszyła w ich kierunku.

— Ty nie idziesz — zawyrokował już z daleka. — Nie wiemy, co się zdarzyło i dlaczego posłaniec nie przybył, więc nawet o tym nie myśl, Caril.

O dziwo, zaniechała sprzeczek i zawróciła z obrażoną miną. Widząc wartownika odwróconego w stronę urwiska, przemknęła do niewielkiej stróżówki przy bramie i ukryła się za otwartymi drzwiami, skąd przez niewielką szczelinę mogła obserwować brata. Rozmawiał z Jallem jeszcze przez chwilę, po czym wrócił do zamku. Mężczyźni odeszli, więc odczekała, aż znikną za bocznym skrzydłem, dopiero wtedy opuściła kryjówkę i ostrożnie ruszyła za nimi, utrzymując spory dystans, przynajmniej na razie. Nie mogli jej zobaczyć do momentu wyjścia poza mury.

— „Ze skalnej ścieżki już mnie nie przepędzą.” — Kalkulowała. — „Musiałby choć jeden ze mną wrócić, a to strata czasu. Nie pozwolę się przepędzić.” — Utwierdziła się w swoim postanowieniu.

Ukryta za ścianą czekała, aż znajdą się na szlaku.

— Jeszcze nie, jeszcze nie — mamrotała pod nosem. — Teraz! — rzuciła hasło i pędem pognęła za odchodzącą grupką.

Stanęli jak wryci, nie okazując zachwyty na jej widok.

— Nair wyraźnie ci zabronił, Caril — burknął Jall. — Wracaj natychmiast! — Wziął ją pod ramię, starając się zawrócić do zamku.

— Jall, szkoda czasu. Może tam ich mordują, palą — zaczęła błagalnym tonem, jednak widząc, że to nie działa, wyprostowała się dumnie i warknęła. — Jestem następczynią tronu Morovii, drugą w kolejności. Rozkazuję ci zabrać mnie ze sobą? — Wyprężona jak struna, bez lęku patrzyła mu w oczy.

Jall zamrugał zdumiony, a potem klepnął dłonią o udo i roześmiał się z całego serca. Pozostali też parsknęli śmiechem. Caril najpierw zrobiła urażoną minę, a po chwili w jej oczach pojawiły się łzy bezradności.

— No już. Tylko mi tu nie bucz — poprosił łagodnie. — Nie umiem przemawiać do kobiet, psiakrew. No nie płacz, zabierzemy cię ze sobą, tylko masz mnie słuchać, jasne? Nair będzie wściekły, ale twoja w tym głowa, jak go ugłaskać.

— Tak jest. — Potwierdziła, jak na karnego wojownika przystało i natychmiast łzy zastąpił szeroki uśmiech. Cmoknęła Jalla w zarośnięty policzek, a ten potarł go dłonią, zawstydzony niczym panna na wydaniu.

W ciszy ruszyli gęsiego z Caril w środku. Maszerowała dziarsko, dotrzymując im kroku, a tryumfalny uśmieszek na stałe zagościł na jej twarzy.

Po trzech godzinach marszu zatrzymali się na nieco dłuższy postój. Jall wyciągnął z podróźnej torby skromny posiłek: kilka pszennych placków, kawałek wędzonego sera i trochę owoców. Caril miała w swojej torbie pęczek suszonej szynki pociętej w cienkie paski, a na deser ulubione ciasteczka orzechowe. Mogli udawać twardzieli, ale i tak wiedziała, że kupiła tym ich łaski.

— Jall, co ci powiedział Nair? — spojrzała w oczy górala tak poważnie, że nie potrafił ukryć przed nią prawdy.

— Martwi się. Dotychczas czuł więź z Kalą, jakby on stał tuż obok. Już wczoraj wieczorem stracił to poczucie. Na dodatek nie dotarł łącznik, co zaniepokoiło go na dobre. — Jall podniósł głowę i uśmiechnął się do niej. — Ale nie martw się na zapas, Nair powiedział, że może to tylko takie wrażenie. Czekał na wieści i stąd poczucie tej więzi, bo przecież nigdy wcześniej o tym nie mówił, nieprawdaż?

— Może? — odparła cicho, jednak przekonania w jej głosie nie było.

Przyjaźniła się z Kalą i nie wyobrażała sobie jego straty. Przez całe swoje dzieciństwo stykała się ze śmiercią. Widziała, jak przynoszono ciała naznaczonych, często jeszcze dzieci. Potem musiała uciekać z kapłanami, bo jej przyjaciółki też stały się obiektem polowania Esenów. W końcu odzyskała dom i rodzinę, kochającego brata i bratową, a także przyjaciół. Kala był jednak kimś wyjątkowym, tak różnym od niej i jednocześnie tak bliskim.

— Czas ruszać, wieczór za pasem — przerwał jej rozmyślenia Jall.

Dwie godziny później stanęli nad ścianą, po której musieli zejść przy pomocy lin. Mężczyźni mocowali je do haków, a Caril obserwowała okolicę. Miała wrażenie, że w dole słychać chrobotanie, więc wychyliła się mocno poza nawis, próbując wyłapać dźwięki.

— Ciii... — syknęła, przykładając palec do ust.

Ucichli natychmiast i zaczęli nasłuchiwać razem z nią. Po chwili pokiwali głowami, potwierdzając jej przypuszczenia. Wycofali się bez słowa i przypadli płasko do skały, wyciągając noże zza pasów. Jall zdjął z pleców topór i położył tuż przed sobą, nie wypuszczając trzonka z dłoni. Czekali w niepokoju, łapiąc krótkie, ciche oddechy, aż zza ściany wychyliła się głowa. Rozpoznali chłopaka natychmiast, to był Mil, odważny jak ojciec syn Wilka. Od tygodni służył jako łącznik, zawdzięczając swoją funkcję roztropności i odwadze, z jaką dotarł do Naira, kiedy królewscy podpalili Zaskale. Dzięki niemu ludzie z zamku zdążyli z pomocą, ratując większość mieszkańców.

— Wilczku, to my. — Szeptem odezwał się Jall. — Chodź tu bliżej.

Chłopak w pierwszej chwili zadrzał, słysząc głos, ale kiedy zyskał pewność, że ma do czynienia z przyjaciółmi, zebrał swoje rzeczy i podszedł.

— Czemu idziesz dopiero teraz? — zapytała Caril.

— Miałem iść wczorajszej nocy, ale kazali czekać, tom czekał.

— Dlaczego kazali czekać, Wilczku, kto kazał? — dopytywał Jall.

— Babka Mirie i ojciec. Kala z tym zakonnikiem, Anchelem, ruszyli parę dni temu do Mare i...

— Po co? — przerwał mu Jall.

— Ja tam nie wiem, ale wrócił tylko jeden z naszych, co tam z nimi poszli. To było wczoraj rano, a później paru poszło na dół. Wrócili niedawno, ale bez Kali.

— Jaką masz przekazać wiadomość do zamku? — Jall zadał to pytanie przekonany, że chłopak nic więcej nie wie.

— Mam wiadomość dla księcia Naira, nikomu innemu jej nie powiem. — Stanowczo odmówił Mil. — Tak przyrzekłem babce Mirie.

— Jestem siostrą Naira, nazywam się Caril Karun, mnie możesz powiedzieć — przekonywała go z najsłodsza miną, na jaką mogła się zdobyć w tej sytuacji, podtykając ciastka.

Chłopak wziął ciastko, ugryzł z apetytem i z pełnymi ustami odpowiedział:

— Nie, t... yłko ...sięciu — odparł z przekonaniem.

— Musimy zejść do wioski, bo od niego nie dowiemy się niczego więcej — zdecydował Jall. — Mil, idziesz z nami.

— Nie idę, bo kazali iść do zamku, do księcia — odmówił i tym razem, po czym wziął parę ciastek z rąk Caril. — Na drogę — dodał z dziecięcym uśmiechem i natychmiast odszedł.

— Ja żeż go. — Jeden z górali ostro ruszył za chłopakiem, ale Jall go powstrzymał.

— Daj mu pokój, niech idzie. Dobrze, że chłopak trzyma się zasad, jak na porządnego posłańca przystało.

Zjechali na dół i w kilkanaście minut byli w wiosce albo tym, co z niej zostało. Powitały ich psy i strażę.

— Spotkaliśmy po drodze Wilkowego chłopaka i opowiadał nam dziwne rzeczy. Co się stało Kali i temu Anchelowi? — Padło pytanie Jalla.

— Nie wiemy za wiele, tylko jak wrócił Byku — bo tylko on wrócił — to powiedział, że chłopaka porwali, a zakonnik gdzieś się ulotnił. Kalę związali i zaciągnęli do strażnicy. Byku mówił, że był jakiś półprzytomny, słaniał się, jakby go czymś walnęli, a nie walnęli. Podobno zebrało się tam paru tych zakonnych i to ich robota — tak mówił Byku. Jego puścili i kazali iść do wsi, żeby o tym opowiedział. Potem Mirie zwołała tych naznaczonych, wzięła też Byka i zamknęła się z nimi w chacie. Coś tam ugadali, a potem wyszli, zawołali małego Mila i kazali lecieć do zamku. Nic więcej nie wiem — zakończył góral.

Jall spojrzał na Caril, wziął ją pod rękę, bo stała jak słup, i ruszył z nią w stronę domu wskazanego przez strażnika. Podobno tam mieszkała Mirie, a dziewczyna potrzebowała pomocy. Nie powiedziała ani słowa, tylko wlekła się noga za nogą. Po paru krokach zemdląła i bezwładnie zawisła na ramieniu Jalla. Wziął ją na ręce i biegiem ruszył w kierunku chaty babki Mirie.

Drzwi otworzył im Urlej, jeden z naznaczonych. Natychmiast odebrał Caril z rąk zmęczonego Jalla i ułożył ją na drewnianej ławie przykrytej grubym, wełnianym kobiercem. Mirie podeszła do dziewczyny i wprawnym ruchem zbadała jej puls, a potem odchyliła powieki, by zajrzeć w oczy.

— To tylko omdlenie — zawyrokowała. — Podaj mi tę paczuszkę — poprosiła góralkę Marie, wskazując białe zawiniątko leżące na półce.

Wyjęła jeden z korzeni, odłamała odrobinę, po czym roztarła w dłoniach i przystawiła do nosa Caril. Zapach był tak mocny, że dziewczyna ocknęła się natychmiast, a inni zatykali nosy, krztusząc się i kichając. Mirie nie zamierzała im tłumaczyć, co to za roślina ani jakie są inne jej zastosowania. Zawinęła pakunek, odłożyła na miejsce i spokojnie nalała wody do miski, aby umyć dłonie i załzawione oczy — jej

też nie ominęły skutki działania specyfiku.

— Ta dziewczyna zawsze była silna jak byk. Co jej się stało? — zapytała, przebiegając wzrokiem po twarzach przybyłych mężczyzn.

— Dowiedzieliśmy się o Kali i to zważyło ją z nóg — odparł Jall. — Chcielibyśmy usłyszeć coś więcej, po to przyszliśmy.

— Siadajcie, proszę. Zaraz podamy herbatę i coś do zjedzenia. — Mirie zakręciła się w miejscu, jakby nie wiedząc, co ze sobą zrobić, a po chwili usiadła na ławie obok Caril z ciężkim westchnięciem. Widząc, że nie ma już nic do roboty, gdyż góralki zajęły się przygotowaniem posiłku, zaczęła opowiadać:

— Brakowało nam żywności, toteż we wtorek kobiety wybrały się na targ w Mare. Wyruszyły o świcie i swoimi ścieżkami dotarły bezpiecznie do miasteczka. Wieści, jakie przyniosły, zmroziły nam krew w żyłach. Ludzie gadali, że król rozprawił się ze swoim zakonem, wymuszając posłuszeństwo z pomocą nikomu nieznanego maga, prawdopodobnie pochodzącego z Morovii. Kilku zakonnych, z przeorem na czele, próbowało wpłynąć na młodego króla, nie chcąc oddać władzy ugruntowanej przez stulecia. Użyli magii, ale ten człowiek stawiał opór im wszystkim. Znałam kiedyś jednego... — Zamyśliła się, jakby szukając w pamięci. — Tak czy inaczej nie dali rady. Przeor Michael został publicznie upokorzony, aresztowany i skazany na śmierć. Wyrok planowano wykonać na oczach gawiedzi, budując w tym celu szubienicę na środku głównego placu stolicy, ale zakonnik uciekł z więzienia i ślad po nim zaginął.

Ludzie mówili też o tym, że król wydał ponoć rozkaz pojmania lub zabicia każdego, kto choćby otarł się o magię. Za głowę Naira obiecano zaszczyty i włości, nawet ja znalazłam się wysoko na liście zaciekleń wrogów imperium.

Caril słuchała tych wieści z szeroko otwartymi oczami i zaciśniętymi dłońmi, ale nie przerywała, nie zadawała żadnych pytań. Każde wypowiedziane słowo przyjmowała z coraz większym przerażeniem na pobladłej twarzy. Mirie spojrzała na nią i zamilkła na moment.

— Wiem, że to wszystko jest dla ciebie bolesne, ale muszę dokończyć, żeby uświadomić wam, co i dlaczego się zdarzyło — zwracała się bezpośrednio do Caril, jakby czekając na jej przyzwolenie.

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko skinęła głową, jeszcze mocniej zaciskając pięści. Mirie westchnęła i zaczęła mówić dalej:

— W miasteczku gadano też o tym, że król z wielką armią żołnierzy i zakonników miał przybyć do Sylii następnego dnia, żeby osobiście poprowadzić krucjatę przeciwko naznaczonym. Anchel umyślił sobie, że jako zakonnik mógłby w miarę bezpiecznie pójść do miasteczka i zorientować się w zamiarach królewskich, a może nawet poznać jakieś szczegóły. Kala poparł ten pomysł, co więcej doszedł do wniosku, że razem mogliby uzyskać więcej informacji, jednocześnie ochraniając się nawzajem.

— A ty? Co ty na to? — Po raz pierwszy odezwała się Caril. — Pozwoliłaś?

— Nie sprzeciwiałam się, a nawet, mówiąc szczerze, uznałam, że dalsze siedzenie i czekanie w nieświadomości może skończyć się atakiem królewskich, przed którym nie zdołamy się obronić. Podczas pożaru wioski mogliśmy zginąć wszyscy i gdyby nie dzieciak Wilka, tak by się stało. Z plotek wynikało, że królewscy wiedzą o naznaczonych,

o mnie i Nairze, ale nikt nie wspominał o Kali. Anchel zapewniał, że magia przyjaciela jest niewyczuwalna dla zakonnych.

Pierwszy wyruszył Anchel, dwie godziny później Kala, a po kwadransie Byku oraz jeszcze trzech górali jako ochrona. Niestety, jak już wiecie, wrócił tylko Byku. Właściwie, to królewscy go wysłali, żeby przekazał nam propozycję.

— Propozycję? — wykrzyknął Jall. — Czyli co?

— Wymianę Kali za Naira. — Mirie zamilkła i zadrżała, dając tym wyraz obrzydzeniu, jaki wzbudzały w niej takie metody.

— Jak to się stało? W jaki sposób go złapali? — zapytała Caril zrozpaczonym głosem, ocierając łzy spływające po policzkach.

Mirie podeszła i przytuliła ją do siebie jak troskliwa matka. Potem odpowiedziała spokojnie, choć w głosie można było wyczuć wściekłość i żal:

— Wyglądało to na zdradę. Kiedy Byku dotarł do przedmieścia, zobaczył żołnierzy celujących do Kali z łuków. Anchel stał wśród zakonnych i coś do nich gadał, wskazując na chłopaka. Byku rzucił się na niego, ale został powalony na ziemię i związany, podobnie jak pozostali górale. Kala chwiał się na nogach i był półprzytomny, choć nie miał żadnych widocznych ran ani nawet sińców. Związali go i zawlekli do strażnicy. Byku zdołał jeszcze raz zerknąć na zakonnych, ale wśród nich Anchela już nie było. Górali zamknęli w jakiejś piwnicy, nawet ich nie przesłuchując. Potem przyszli, zawołali Byka, przekazali mu żądania i puścili wolno. Dziś rano poszedł, żeby przekazać naszą odpowiedź, ale już nie wrócił.

— Odpowiedź? — przerwał Jall z wściekłością.

— Tak, Jallu, musiał zanieść im odpowiedź, taki był warunek. Inaczej Kala miał zostać powieszony. Nie mogliśmy wyrazić zgody na wymianę — taką odpowiedź zaniósł Byku.

Rozdział XXIX — Listy ze snów

Droga do zatoki wydawała się dłuższa niż wcześniej. Z rannymi nie sposób było przyspieszyć kroku, tym bardziej że przez miasto musieli ich prowadzić, udając pijanych, a później nieść na zmianę na plecach. W końcu dotarli, przekazali Kirue, Matei oraz pozostałych rannych w ręce Chloe, a sami padli jak ścięci, nie mając siły ani ochoty odpowiadać na żadne pytania. Jedynie Olande podsumował wyprawę do miasta w jednym zdaniu:

— Nie ma o co pytać, Chloe, po prostu nie jesteśmy tam mile widziani.

Chwilę później chrapał na gołym piasku.

Zbudził go zapach boczku i przypraw, których Talar nie żałował, przygotowując posiłek. Tym razem jednak pobiła go Chloe, gdyż aromat jej chlebków pieczonych na kamieniach zbudziłby umarłego. Nawet Kirue zasiadł do śniadania, choć nadal był osłabiony. Tylko Matei krążył niespokojnie, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. W końcu przysiadł na uboczu z kartką i kawałkiem węgla w ręku. Chloe zerknęła na niego niespokojnie, wiedząc, co to może oznaczać. Wreszcie nie wytrzymała i podeszła, zaglądając mu przez ramię. Nie zwrócił uwagi nawet wtedy, gdy za jego plecami zebrała się już spora grupka gapiów.

— Kto to jest? — zapytał Maks, ale Matei pochłonięty rysowaniem milczał.

Szybkimi ruchami zapełniał kartkę, na której pojawiły się sylwetki dwóch nieznanymi mężczyzn. Długowłose wojownik usiłujący gołymi rękami obalić mur, za którym była cela, a w niej przykuty do ściany chłopak.

— Chloe, co to znaczy według ciebie? — dopytywał Maks. — Nigdy nie widziałem tych ludzi, a ty?

— Nie wiem, Maks, nie rozumiem... — Zaprzeczyła ruchem głowy, choć w oczach pojawiło się zdziwienie. — Ten starszy..., jakby... — Nie dokończyła, spoglądając na Olande, który właśnie podchodził.

— Co ty tam mażesz? — zapytał przyjaciela, ale nim zdążył zerknąć, rysunek już zniknął pod grubymi kreskami.

— On tak zawsze — odpowiedział Maks. — Zacznie coś malować, a później zamazuje. Nikt nie wie dlaczego, on sam chyba też nie.

— To wizja — dodała Chloe. — Narysował dwóch mężczyzn, jeden z nich był więźniem, a drugi usiłował go ratować. Wiesz Ole, starszy trochę przypominał ciebie, ale kogo miałbyś ratować? — Pokręciła głową z namysłem, wiedząc, że malarskie wizje chłopaka zawsze się sprawdzały.

Matei zgniótł rysunek, cisnął go w palenisko, po czym przysiadł się do pozostałych, jednak nie dał rady niczego przełknąć, gdyż przecucia nie dawały mu spokoju.

Kiedy śniadanie dobiegło końca, Olande poprosił wszystkich, żeby pozostali na miejscu. Należało podjąć decyzję, co robić dalej, ruszyć do Morovii, czy wracać na Taei. Wieści, które uzyskali w mieście, nie wróżyły niczego dobrego — król najwyraźniej dążył do wojny i wyniszczenia podbitych narodów, bo choć rozkazy dotyczyły ludzi powiązanych z magią, to pewnym było, że ucierpią wszyscy.

Olande najchętniej ruszyliby do swojej ojczyzny, ale nie miał prawa zmuszać do tego wyspiarzy — oni swoją wojnę już przeżyli, oplakując przy tym wielu bliskich. Czekał więc na zdanie innych, zamierzając zaakceptować każdą decyzję.

Matei nadal jeszcze osłabiony, a także oszołomiony wizją, która nie pozwoliła mu spokojnie przespać nocy, wstał, ale zmęczenie wzięło górę.

— Pozwolicie, że będę mówił na siedząco — zaśmiał się nieco wstydliwie — widać już taki ze mnie leń. Nie chcę być złym prorokiem, ale czuję, a właściwie wiem, że wkrótce te ziemie zapłoną. Nie potrafię określić żadnej daty, jednak ten czas jest bliski. Mam nieodparte wrażenie, że obecność niektórych z nas mogłaby istotnie wpłynąć na zdarzenia, które wkrótce się potoczą. Niech każdy rozważy w swoim sumieniu, co powinien zrobić. Zagłosujmy. Wybór jest prosty: odpływamy — biały kamyk, zostajemy — czarny. Ci, którzy zdecydują się wracać na Taei, mogą to zrobić. Nie ma co przedłużać i dyskutować, po prostu zagłosujmy. Talar, użycz nam jakiegoś naczynia, byle dużego. Kamyków jest tu co niemiara, postarajcie się tylko, żeby ich zabarwienie było jednoznaczne. Chloe ma słaby wzrok — puścił oko do szamanki — i nie będzie się przyglądać każdemu kamieniowi z osobna.

Talar nakazał kuchcikom wyszorować i przytaszczyć sporych rozmiarów beczkę po solonym mięsie. Ustawiono ją na piasku i wkrótce zaczęło się głosowanie, sprawnie, jak przystało na ludzi Tae-Nai. Wypełnioną beczkę trzeba było przewrócić, co sprawiło nie lada trudność krzepkim marynarzom.

— Uff, obedrzyć ze skóry tego, który to wymyślił, psiamać. Chyba mi coś strzeliło w plecach — stękał jeden z nich. — Talar, wisisz butelkę tej swojej nalewki, ma takie lecznicze właściwości.

Kucharz przetoczył się parę kroków, stanął przed wielkim chłopem, postukując grubymi palcami w tasaczek przy pasie, po czym zadarł głowę i zapytał:

— A ty skąd niby to wiesz, hę?

— Wiem, wiem, rzecz w tym, że nie wiem, tylko tak słyszałem. — Marynarz zwijał się jak piskorz, ale kuk nie odstąpił ani o krok. — No dobra, raz taki jeden mały przegrał w kości i, no wiesz...

Talar spojrzał w jedną, potem drugą stronę, wykonując nad wyraz bystre ruchy głową, ale jego pomagierzy pierzchli, jak tylko temat nalewki się pojawił.

— Może byśmy tak sprawdzili, jak poszło głosowanie, co? — Ugodowo poprosił marynarz.

Kamyki utworzyły pokaźny stos. Na pierwszy rzut oka było widać, że białych zebrała się ledwie garstka.

— Maks, jak głosowałeś? — Kieri szarpnęła go za rudy kucyk, ciesząc się z wyniku.

— A niby jak miałem zagłosować, skoro białych kamieni jak na lekarstwo na tej plaży? Musiałbym szukać do jutra, to wziąłem pierwszy lepszy. Okazał się czarny — ot los.

— Dokonaliśmy wyboru — oznajmiła Chloe. — Ci, którzy zdecydowali się wracać, mogą odpłynąć albo zostać w tej zatoce i czekać. Załatwimy, co jest do załatwienia, i wrócimy, a potem do domu. Zaczniście się zbierać, wyruszymy o świcie,

a teraz muszę zająć się rannymi, trzeba ich postawić na nogi.

Olande podszedł do Kieri, przytulił ją bardzo mocno i z widoczną radością tłumaczył:

— Wiesz, że to będzie wojna? Król najwyraźniej jej pragnie, wydając rozkazy zniszczenia magii w imperium, choć sam otoczył się magami. Boi się, dlatego uznaje tylko tych, którzy są mu posłuszni. Jestem naznaczonym, a tam giną moi bracia, przyjaciele. Kocham cię nad życie, ale nie mogę wrócić na Taei, nie teraz — tłumaczył najlepiej, jak umiał. — Może kiedyś, może ten koszmar się skończy.

Milczała przez chwilę, potem stanęła przed nim i długo patrzyła prosto w oczy.

— Ja to wiedziałam, Ole, od chwili, kiedy weszliśmy na pokład. Jeśli mnie zechcesz, zostanę tu z tobą tak długo, jak będzie trzeba i będę robić to, co potrafię najlepiej, leczyć rany i ratować życie.

Wkrótce zaczęły się gorączkowe przygotowania. Z wieści zasłyszanych w Gelenie wynikało, że większość naznaczonych uciekała do Sylii. Ten malutki, górzysty kraj był dla nich ostoją, tym bardziej, że w tak trudnym terenie łatwiej się bronić. Olande podjął decyzję, by właśnie tam się udać. Ludzie robili przegląd rzeczy, zabierając to, co niezbędne, przede wszystkim broń i żywność. Do wieczora wszystko było gotowe, więc dowódcy zebrali się na krótką odprawę, a później w obozie zapadła cisza. Na sen nie zostało dużo czasu.

Matei długo nie mógł zasnąć, bo choć cieszył się z takiej decyzji, gdyż była nieuchronna, to świadomość, że zostawił Ahije samą, że nie znał nawet w przybliżeniu daty powrotu, odpędzała sen. W końcu przymknął oczy, rozmyślając o żonie i przypominając sobie najlepsze chwile z nią spędzone. Nagle zobaczył jej sylwetkę zbliżającą się od strony plaży, podświetloną bladym światłem księżyca. Podeszła bardzo blisko, tak blisko, że poczuł jej ciepło i zapach. Uśmiechnęła się i słodkim gestem odgarnęła włosy z twarzy, a potem pochyliła głowę i musnęła ustami jego usta. To było nierealne, a jednak prawdziwe. Bał się ruszyć, a nawet oddychać, ale ona przyłgnęła do niego swoim ciałem, coraz mocniej rozpalając stęsknione zmysły. Mijały sekundy, minuty, może godziny — nie potrafił określić — przesycone namiętnością i czułością zarazem. Później leżeli obok siebie, spoceni i szczęśliwi, gapiąc się w gwiazdy. Czuł, że zasypia, ale zapadając w sen usłyszał jej głos:

— Potrzebujesz mnie, kochany?

— Tak, skarbie, najbardziej na świecie.

— Jestem, Matei, jestem z tobą, pamiętaj — szeptała. — Matei...

— Matei, Matei, obudź się wreszcie. — Czyjaś dłoń szarpnęła go za ramię.

— Ahije?

— Odbiło ci? To ja, Maks, wyglądam na dziewczynę, głupku? Wstawaj, już czas. Od kwadransa próbuję cię obudzić.

Zerwał się na równe nogi, czując walące w szalonym tempie serce.

— Maks, ona tu była ze mną dzisiejszej nocy. Widziałem ją jak ciebie teraz, dotykałem.

— Dobra, dobra, ale już sobie poszła. Ocknij się w końcu, stary, bo nie mamy czasu.

Ledwie świtało, a w obozie panował już taki ruch i gwar, jakby ludzie w ogóle nie spali. Na każdym kroku dało się odczuć ekscytację, ale i wielką dyscyplinę. Walka o przetrwanie, o życie, którą musieli stoczyć w swojej ojczyźnie, nauczyła ich bardzo wiele.

Dowódcy poganiali swoich ludzi, choć tak po prawdzie, to oni byli już gotowi do wymarszu. Miecze przytroczone do pasów, łuki albo kusze na plecach, strzały w kołczanach, a tobołki z odzieżą poskładane na plaży, tylko zarzucić na ramiona.

Natenge ze swoimi tancerzami czekał na uboczu. Oni byli gotowi wcześniej niż wszyscy pozostali. Prawie bez broni, nie licząc noży zatkniętych za paski umieszczone na łydkach oraz dmuchawek przewieszonych przez plecy, spokojnie oczekiwali na rozkaz wymarszu. Niektórzy sprawdzali jeszcze strzałki z trucizną, inni poprawiali kamuflaż albo grali w kamienie. Nie znając terenu, musieli polegać na pamięci Olande. Tym razem to on miał prowadzić, choć wieczorem długo siedzieli razem na plaży, ucząc się mapy okolicy narysowanej na piasku. Ustalenia były takie, że zwiadowcy wysuną się na niewielką odległość, żeby w razie zagrożenia zdążyć ostrzec pozostałych.

— Ruszajmy! — krzyknął Olande, wskazując ręką kierunek.

Droga do Sylii początkowo prowadziła wzdłuż klifu, z którego w dole widać było zatokę ukrytą wśród skał, a w niej zakotwiczone okręty. Obraz z góry ukazywał niewiarygodne piękno tego miejsca, aż oczy bolały patrzeć. Niewielu ludzi pozostało na miejscu, gdyż spośród tych, którzy głosowali za powrotem na Taei, jeszcze kilkunastu zdecydowało się dołączyć do oddziałów.

Później kolumna oddaliła się od morza i wkroczyła w niezbyt gęsty las. Mimo że drzewa nie należały do szczególnie wysokich, to dość gęste krzewy sięgające ramion mogły skrywać wrogów. Natenge wyznaczył kilkunastu ludzi, którzy odskoczyli od reszty, by po chwili zniknąć w zaroślach, nie wydając przy tym żadnych dźwięków. Płócienne spodnie i koszule, włosy splecione sznurkami oraz malunki na twarzach — wszystko w barwach ziemi — stapiały ich w jedno z otoczeniem. Byli szybcy, zwinni i śmiertelnie groźni.

— Oni są jak duchy — podsumował Maks z zazdrością — tyle że duchy nie podrzynają gardeł, a oni owszem.

— Prawda, nie chciałbym stanąć na ich drodze jako wróg — zgodził się Matei.

Chloe tylko potaknęła głową, z dumą myśląc o swoich ludziach.

Maszerowali cały dzień bez przeszkód, zatrzymując się na niezbyt długie postoje. Przed wieczorem dotarli do wąwozu na granicy z Sylią, gdzie urządzili nocleg w licznych dziurach i jaskiniach, starając się nie przeszkadzać ich mieszkańcom — nietoperzom. Gryzonie i węże wołały na wszelki wypadek ustąpić. To było doskonałe miejsce do obserwacji, a także do obrony. Płaskowyż nad wąwozem nie dawał nikomu szans na atak z zaskoczenia. W świetle księżyca wszystko było widoczne jak na dłoni. Zmęczeni ludzie pozasypiali błyskawicznie, tylko strażnicy niezmiernie patrolowali okolicę.

— Matei — Olande zbudził przyjaciela głośnym szeptem. — chodź ze mną. Kirue też już wstał i szamanka. Tancerze przyprowadzili jakiegoś człowieka. Był brudny i tak

zmęczony, że musieli go wlec pod pachy, bo nie miał siły iść. Znaleźli go nieopodal w jakiejś norze.

Matei podniósł się z trudem, kolejna nieprzespana noc dawała o sobie znać. Ruszył za Ole ze spuszczoną głową i smętną miną. Tęsknota za Ahije sprowadzała wizje, które przyprawiały go o drżenie serca. Chwilami zastanawiał się, czy to tylko złudzenia, czy może już szaleństwo. Wiedział, że postąpił słusznie, zostając z Olande, a jednak dotkliwy smutek sprowadzał brak jakiegokolwiek chęci działania. Nigdy wcześniej nie czuł się tak samotny, mimo obecności przyjaciół. Każdym nerwem swego ciała i umysłu przywoływał ukochaną, mając wrażenie, że ona to usłyszy.

Olande wszedł do niewielkiej jaskini, w której byli już Kirue i Chloe. Na ziemi siedział gruby jegomość w obszarpanym odzieniu, z brudną twarzą i kołtunem tłustych włosów na głowie. Spoglądał przekrwionymi oczami jak zaszczute zwierzę.

— To zakonnik z Esenii — oświadczył Ole, przyglądając się mężczyźnie. — Wypytałiście go, co tutaj robił samotnie?

— Próbowaliśmy, ale mamrotał tylko pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa — odpowiedziała Lija. Spośród wszystkich tancerzy ona najlepiej opanowała eseński.

Matei przykucnął, przypatrując się uważnie. Pomimo kiepskiego stanu mężczyzny, rozpoznał w nim Anchela — jednego z najsilniejszych i najbardziej skrytych magów w Kościele Boga Stworzenia.

— Właściwie, to nie wiem o nim nic, poza tym, że w klasztorze niemal wszyscy omijali go szerokim łukiem — oznajmił. — Znali jego siłę, a jednocześnie uznawali za dziwaka jakich mało. Odwiedzał Gelenę dość często, właściwie zawsze towarzyszył królowej Sylwii w podróżach, choć nigdy nie rzucał się w oczy. Ponoć był jednym z niewielu, którym ufała.

— Anchel, poznajesz mnie? — zadał mu pytanie.

— Tak — potwierdził zakonnik — widziałem cię parę razy z bratem Albertem — wychrypiał. — Proszę o trochę wody, nie piłem od wielu godzin.

Ktoś podał bukłak, który Anchel chwycił drżącymi dłońmi i przechylił, pochłaniając płyn tak łapczywie, aż się zakrztusił. W końcu oddał worek i podziękował. Przebiegł wzrokiem po twarzach otaczających go ludzi i zapytał.

— Czy oni pochodzą z tych wysp?

— Owszem — odparł Matei.

— To znaczy, że podbiliście te ziemie, a ludzie gadali o takiej klęsce. Ty też przeżyłeś, jak widzę. Tak, Esenia zawsze zwycięża, jakżeby inaczej.

— Niezupełnie — przerwał mu Matei.

— No przecież widzę. Skoro przywieźliście wyspiarzy, to świadczy...

— O niczym nie świadczy, zapewniam cię — wtrącił się Olande. — Wracales z Sylwii, tak?

— A co, jeśli nie odpowiem?

— Co tam słyszać u górali? Wszystkich już wyrzneliście? A może to oni was wyrzneli? — Olande patrzył na zakonnika z odrazą. — Ty wyglądasz raczej na to drugie.

— Nie będę z wami rozmawiał — odparł Anchel z dużą odwagą, biorąc pod uwagę liczbę przeciwników. — Nie wasza sprawa, skąd ani dokąd wiodła mnie droga.

— Odważny z ciebie braciszek, a myślałem, że tylko w grupie jesteście tacy hardzi.

— Olande, nie prowokuj go. On jest silny, a my nie potrzebujemy walki, tylko informacji. — Matei ponownie przykucnął z nadzieją, że jednak czegoś zdoła się dowiedzieć, ale zakonnik już nie zwracał na niego uwagi, uporczywie przyglądając się Morowowi.

— Nazywasz się Olande? — zapytał w końcu. — Masz brata Naira i siostrę Caril? Zresztą, po co ja pytam? Jesteś młodszy, ale oczy te same, nos i w ogóle...

Zapadła kompletna cisza, Olande również milczał, stojąc jak słup soli.

Anchel pokręcił głową z dezaprobatą, a po chwili znów zaczął swój monolog:

— On opowiadał, że popłynąłeś z tamtą wyprawą, ale nie wróciłeś. Rozpaczał, przekonany, że zginąłeś, a ty co? Sprzeniewierzyłeś się swojemu narodowi, bratu, siostrze i zamordowanym rodzicom, zadając z tymi tutaj? — Wskazał na Matei. — Co z ciebie za człowiek? — Najwyraźniej zabrakło mu tchu, bo zamilkł. — Wiem, że możecie mnie zabić, ale nie dbam o to. Moi rodacy też zabijają, gwałcą i rabują, chcąc zniszczyć wszystkie narody, odbierając im honor, a najczęściej życie. Próbowałem im w tym przeszkodzić, jednak poległem, bo jestem nikim, słabym pyłkiem wobec takiego zła.

— Człowieku, o czym ty gadasz? — przerwał ten wywód Matei. — Mów do rzeczy. Znasz Naira? On żyje? Gdzie jest teraz? Odpowiadaj, do diaska! — warknął, potrząsając zakonnikiem.

— Niczego ode mnie nie wyciągniesz. Już straciłem jednego przyjaciela, drugiego nie zamierzam — odpowiedział hardo Anchel. — Nawet gdybyś pokroił mnie na kawałki, nic nie powiem.

— Nie rozumiesz. — Olande przyklęknął, patrząc Esenowi prosto w oczy. — Nie rozumiesz, nikogo nie zdradziłem. Ci ludzie — wskazał na wyspiarzy — są moimi przyjaciółmi, przybyli tu ze mną dobrowolnie. Jeśli wiesz, gdzie jest mój brat i siostra, to powiedz. Byłem pewien, że wymordowano moją rodzinę, a ty mi mówisz... — Po twarzy spływały mu stróżki potu, a ciałem wstrząsały dreszcze jak w gorączce.

— Mówże, człowieku — dokończył za niego Matei. — Wróciliśmy, bo on tęsknił za swoim krajem, bo miał nadzieję, że coś można jeszcze zrobić. Teraz dowiedział się, że najbliżsi, których dawno opłakał, żyją, więc mów, jeśli naprawdę jesteś przyjacielem Naira.

Anchel wstał, chwycił oburącz twarz Olande i wlepił wzrok w jego oczy. Zrobił to wszystko błyskawicznie, mimo że jeszcze przed momentem ledwie dychał.

Tancerze doskoczyli, chcąc go obezwładnić, ale Chloe powstrzymała ich ruchem dłoni.

— Wiem, co on robi — uspokoiła. — Bada jego myśli, sprawdza. Brał nas za wrogów, a teraz chce mieć pewność. Odstąpcie.

Anchel dość długo sondował umysł Ole, po czym przytulił go do siebie mocnym, przyjacielskim uściskiem.

— Przepraszam, pewnie śmierzę, uciekałem całą noc i dzień. — Zawstydzony odszedł na odległość dwóch, może trzech kroków. — Chciałem się dostać do Alierii. Potrzebowałem pomocy, a w Berii mam przyjaciół. Jestem brudny i wygłodniały, z wdzięcznością przyjmę waszą pomoc, a później porozmawiamy. W ogóle, to dokąd

szliście?

— Do Sylia — odpowiedział Matei. — Górale to dzielni ludzie, nawet brat Albert ich szanował.

— Znam ich wielu, szczególnie ludzi z pewnej wioski w górach — zakonnik gadał z pełnymi ustami. Kirue poczęstował go szennym plackiem, specjałem Chloe. — Stamtąd wyruszyłem z przyjacielem, Alierczykiem Kalą, do Mare, miasteczka u stóp Pallarów. Chcieliśmy rozeznac się w sytuacji, ale to nie był dobry pomysł. W miasteczku byłem pierwszy i już na przedmieściach spotkałem pełno królewskich żołnierzy, a także sporo zakonników. Widzieli, że przyszedłem od strony wioski, toteż zatrzymali mnie i zaczęli przepytawać. Opowiedziałem im bajeczkę, że górale trzymali mnie jako więźnia, ale zbiegłem. Udawałem wyczerpanego niewolę i uciezką, poprosiłem więc o wskazanie jakiegoś lokum z nadzieją, że pozwolą mi odejść. Wówczas mógłbym ostrzec Kalę. Niestety nie pozwolili, nakazując czekać. Zobaczyłem przyjaciela z daleka, ale nie było żadnych szans na ostrzeżenie. Dopadli go łucznicy, otoczyli, a co najgorsze szybko rozpoznali, gdyż rysopisy jego, Naira i innych, otrzymali wszyscy dowódcy, zaznajamiając z nimi żołnierzy. Poszukiwali ich zapewne wszędzie jak najgorszych zbrodniarzy. Wiedziałem, że nie mam szans mu pomóc, zbyt wielu tam było zakonnych. Jedyne, co mogłem zrobić, to osłabić w nim magię, żeby nie walczył — zginąłby w mgnieniu oka. Tak też zrobiłem, a potem, korzystając z zamieszania, uciekłem. Nie mogłem wracać do wioski, postanowiłem więc ruszyć do Sahana, szejka Berii, mając nadzieję, że tak ważnego więźnia jak Kala nie zgładzą natychmiast. Będą chcieli zorganizować mu pokazowy proces i publiczną egzekucję, ku przestrodze. Myślę, że posłańcy już przekazali te wieści Nairowi, który przebywa w królewskim zamku Sylów razem z pięćdziesiątką naznaczonych. On z pewnością wyruszy na ratunek, choć obawiam się, że nie da rady. Żołnierzy było zbyt wielu, patrząc tylko na przedmieścia, a nie mam pojęcia, ilu ich jeszcze stacjonuje w samym mieście. — Anchel umilkł, wyczerpany zarówno uciezką, jak i żalem wysysającym siły. Patrzył tylko po twarzach ludzi z nadzieją, że znajdą jakieś rozwiązanie. Oni też spoglądali po sobie nawzajem, czekając na decyzję Matei. Milczał dłuższą chwilę, jakby przeliczał w głowie szanse, potem kiwnął głową i ogłosił:

— Zatem znamy cel.

Rozdział XXX — O, Bogowie

Strażnik postawił miskę z owsianką i kubek mleka na podłodze, po czym wyszedł, zamykając drzwi celi na skobel. Nawet nie spojrzał w stronę człowieka siedzącego na podłodze z podkurczonymi nogami. W ciasnym pomieszczeniu nie było żadnych sprzętów oprócz dymiącej lampki oliwnej na ścianie i śmierdzącego wiadra w kącie. Nikt go nie opróżniał, jednak zubożętniały na wszystko więzień nie reagował nawet na smród. Strażnicy przychodzili regularnie co dwie godziny, zabierali go na przesłuchanie, po czym odprowadzali do celi, rzucając w kąt jak starą szmatę. Nie wiedział, kim jest, nie rozumiał zadawanych pytań ani nie czuł razów wymierzanych za brak odpowiedzi. Potem leżał na zimnej podłodze spocony i drżący, aż w końcu dźwigał się mozolnie i siadał gdzieś w kącie z głową zwieszoną na kolana, podświadomie bojąc się zasnąć. Resztkami świadomości obliczył, że skoro przesłuchania odbywały się co dwie godziny, a było ich już kilkanaście, to znaczy, że w tej norze spędził prawie dwie doby, choć nie mógł sobie przypomnieć, jak się w niej znalazł. Kim był Nair, o którego ciągle pytali, albo Mirie? O co chodziło z tymi naznaczonymi i magią? Co to w ogóle ta magia? Sahan — o tego człowieka też pytali, ale nie umiał odpowiedzieć na żadne pytanie z nim związane, choć znał to imię, tylko skąd? Był zmęczony, bardzo zmęczony i śpiący, ale nie wolno zasnąć — to wiedział na pewno. Podczołgał się do stojącej w przeciwległym kącie miski i zjadł trochę owsianki, a potem duszkiem wypił mleko. Było wspaniałe, nigdy nie miał nic lepszego w ustach, a przynajmniej tak sądził. Wrócił do swojego bezpiecznego kąta i oparł obolałą głowę na kolanach, próbując przypomnieć sobie, co było wcześniej. Głowa jednak opadała coraz niżej, a ręce stały się ciężkie, mimo że walczył ze snem ze wszystkich sił.

Nagle w celi pojaśniało, rozbłysk światła był tak silny, że więzień zerwał się na równe nogi i przylgnął do ściany, jakby chciał się w nią wtopić. Patrzył w sam środek świetlistego strumienia i nie mógł wyjść z podziwu, że oczy zdołały to wytrzymać.

— Kala... — Rozległ się głos dochodzący zewsząd i znikąd. — Kala... — Wezwanie rozbrzmiało ponownie.

— Jestem tutaj — odpowiedział z wyraźnym lękiem. — Tu jestem, w kącie.

— Wiesz, kim jesteś? — Ni to stwierdził, ni zapytał głos.

— Kala Harim Szach, jedyny żyjący potomek władcy Alierii Marada Harim Szacha, następcą tronu, przez Sahana Mahadi, szejka Berii, mianowany szachinszachem, choć królestwo jest zniewolone, a ja przebywam tu... w kącie — wyrecytował jednym tchem, pomijając pomniejsze tytuły.

— Wiesz, kim ja jestem? — Znów to niby pytanie.

— Jesteś bogiem. Twoje imię brzmi Uman. — Kala odpowiadał trwożnie, nie poznając własnego głosu, ale z wielkim przekonaniem, że się nie mylił.

— Szachinszach, kto by pomyślał, że z taką personą przyjdzie mi zawrzeć znajomość — zaśmiał się głos. — To prawda, jestem Uman, Pierwszy z Pięści, Bóg Myślących, czyli ludzi, jak mawia o was mój brat Ar.

— Bóg, wiedziałem. — Kala padł na kolana i złożył pokłon do samej ziemi, nie

śmiać nawet unieść głowy.

— Powstań! Ludzie nie powinni składać hołdów, gdyż są nam podobni i równi, a nawet, z uwagi na swoją mądrość i spryt, może wyżsi. Takie było moje zdanie od początku, choć pozostali z Pięści, moi bracia i wrogowie zarazem, uważali, że należy was zniszczyć, byście nie zatracili tego, co dano wam w darze. Przede mną wszakże nie padaj na twarz.

— Masz słuszość, Umanie. — Drugi głos brzmiał wyniośle. — Zmieniłem jednak zdanie, nie wszystkich należy zniszczyć.

— Ar — wyszeptał Kala. — Przybył do mnie? Specjalnie do mnie? Najważniejszy z bogów?

— On nie jest najważniejszy. Ja także nie — stwierdził beznamiętnie trzeci głos. — Jestem Cron.

— Wiem, bóg podziemi. — Kala nie odważył się nawet spojrzeć.

— A ja jestem Bral, strażnik mórz i rzek. — W jego głosie słychać było szum wiatru, plusk fali, rwący nurt górskiej rzeki. Ten głos przepływał gdzieś w oddali, by nagle uderzyć tuż obok z siłą gromu.

Kala zadrżał.

— Nie obawiaj się. Nie przybyliśmy, żeby wzbudzić w tobie strach. Jesteśmy, aby dać ci zrozumienie, mądrość i wiarę. Nazywam się Hon, a moją dziedziną są wszystkie żywe stworzenia małe i duże, ptaki i zwierzęta, ale też pająki, szczury i węże. Walczyliśmy ze sobą całe wieki, brat przeciw bratu. Nasza walka obudziła w was, ludziach, nienawiść. Doprowadziła do wojny i zniszczenia, ale nadszedł czas zgody. Jesteśmy dłońią zdolną budować i zdolną zadawać ciosy, niszczyć małych i nienawistnych. Dajemy wam naszą wiedzę i siłę. Od tej chwili Pięść to wy. Odnajdziesz wszystkich, którzy do niej należą i sprawisz, by połączyli siły i myśli. Tylko razem możecie powstrzymać rosnącą żądzę władzy i zbrodni.

— Ale jak, gdzie? — bełkotał chłopak.

— Sam to odkryjesz — odpowiedział Ar. — Nie pomożemy, gdyż nie wolno nam się mieszać, ale nasze myśli będą przy tobie.

— Wstań zatem, człowieku — nakazał Uman. — Podnieś głowę, patrz i słuchaj. Nie pomył się w ocenach, nie kieruj nienawiścią i żalem, nie oceniaj pochopnie. Dobro nie zawsze jest takie dobre, a zło tak złe, jakbyś myślał. Wszystko się zmienia, my się zmieniamy, wy także.

— Wstań — powiedział Bral.

Kala poczuł dotyk dłoni na swoim czole, gorący i stanowczy, usłyszał szum i świst wwiercający się w mózg. Przepływające przez ciało fale gorąca dostarczały sił i pewności siebie, wyostrzyły wzrok i słuch, a także sprawiły, że w jednej chwili z chłopca przeistoczył się w mężczyznę. Fizycznie nie dostrzegwał na sobie żadnych zmian, ale w jego świadomości pojawiła się determinacja i poczucie odpowiedzialności za los Alerii, za losy wszystkich podbitych narodów. Poczował coś jeszcze, narastające uczucie nienawiści i chęci zemsty, które swoją intensywnością wstrząsnęło nim tak mocno, że zadrżał. Uniósł zaciśniętą pięść i krzyknął:

— O, Bogowie, przysięgam wam, że nie spocznę, dopóki każdy oprawca nie

zapłaci za swoje czyny.

Zniknęła świetlista poświata i nastała cisza. Kala osłabł z wrażenia i próbował usiąść w swoim bezpiecznym miejscu, ale usłyszał głos dochodzący z oddali:

— Wstawaj!

Ktoś kopnął go w nogi i powtórzył:

— Wstawaj, śmieciu! — Kolejny kopniak wymierzony był w głowę. — Podnoś swoje śmierdzące zwłoki.

Poczuł dotkliwy ból, otworzył oczy i zerknął na nogi stojącego obok człowieka.

— „Strażnik” — pomyślał — „a więc spałem, to był tylko sen, żadnych bogów ani światła. To wszystko mi się śniło” — rozpamiętywał w myślach z goryczą.

Podniósł się jednak i ruszył za strażnikiem bez powłóczenia nogami albo wleczenia pod ręce, jak to miało miejsce wcześniej.

— „Trochę snu, a jak stawia na nogi” — stwierdził w myślach. — „Nie powinienem spać, ale to jednak pomaga przetrwać.”

Strażnik otworzył drzwi i brutalnie popchnął Kalę w ich kierunku. Wszedł do niedużego pomieszczenia z jednym małym oknem. Poza starym, drewnianym stołem i marnym krzesłem, nie było tam innych sprzętów. Drewniana próchniejąca podłoga przy każdym kroku wydawała nieprzyjemne zgrzytliwe dźwięki, jakby lada moment miała się zarwać. Na szczęście pod nią znajdowała się już tylko goła ziemia, gdyż przez liczne dziury przełaziły kępki zbrązowiełej trawy.

Usadzono go na rozklekotanym krześle, a potem został sam. Uświadomił sobie, że dopiero teraz dostrzegł szczegóły nory przeznaczonej do przesłuchań, choć był tu już wielokrotnie. Zdał sobie też sprawę z bólu, którego wcześniej nie odczuwał.

Powoli wracały do niego wspomnienia — Nair, Sahan, Mirie, Anchel. Właśnie, Anchel, przyjaciel, który go zdradził. Ta myśl zaboląła najmocniej, więc zacisnął dłonie i zazgrzytał zębami z bezsilnej złości. To on musiał sprawić, że przez wiele godzin był bezwolnym wrakiem pozbawionym pamięci, niezdolnym do jakiegokolwiek obrony. Pojmali go niczym pięcioletnie dziecko. Właśnie odzyskiwał tożsamość, tuż po tym dziwnym śnie. Czemu tak nagle? A może jednak...?

Drzwi zaskrzypiały i do środka wszedł wysoki mężczyzna z opuszczoną głową i ponurą miną. Włosy opadające na twarz potęgowały wrażenie nieprzyjemnego typu.

— „Morov” — pomyślał zdumiony Kala. — „Co wśród nich robi morovski wojownik. I mag... Naznaczony albo ktoś z tego kręgu”. — Uświadomił to sobie, jak tylko sięgnął jego umysłu. — „Ma wszystkie cechy naznaczonych, ale też coś więcej. Coś nieprzeniknionego”.

Kala chciał jeszcze dążyć, ale człowiek przysiadł na krawędzi stołu tuż przed nim i bez słowa chwycił go pod brodę, unosząc twarz. Spojrzał prosto w oczy świdrującym wzrokiem. Kala niemal natychmiast poczuł obcy umysł wdzierający się w jego myśli, jednak nie zamierzał go do nich wpuścić.

— Nie tak szybko — powiedział ze spokojem w głosie, choć w rzeczywistości przerażony takim naporem. Nawet Anchel mu się nie równał, tyle że nigdy nie było okazji, by to sprawdzić — mógł się maskować.

Nacisk rósł i zaczął sprawiać ból, jakby w mózg Kali wbijano igły. Poczuł je też

w oczach i uszach, a potem w całej głowie. Próbował chwycić się za twarz, ale nie było łatwo skutymi rękami. Gdyby tylko zdołał sięgnąć, to wydrapałby oczy sobie albo jemu. Ból narastał, wyciskając pot, który płynął zimnymi strumieniami po całym ciele. Kala wiedział, że nie wytrzyma tego długo, tym bardziej, że niewidzialne igły zaczęły się wwierać w jego brzuch i genitalia, aż poczuł ciepły mocz spływający po nogach.

— „To koniec” — myślał, nawet nie czując wstydu z powodu swojej słabości. Z jego ust wyrwał się charkot, przechodzący stopniowo w dzikie wycie. Wył i wrzeszczał bez pamięci, wiedząc, że umiera.

I wtedy nacisk niespodziewanie zelżał, a igły, jedna po drugiej, zniknęły z jego ciała. Spojrzał w ponure oczy oprawcy i zdumiony dostrzegł w nich szok. Twarz Morova była potwornie blada i spocona.

— No, cóż, nie lada z ciebie przeciwnik. — Po raz pierwszy się odezwał.

Kala odniósł wrażenie, że w jego głosie dosłyszał zdumienie a nawet podziw, który jednak niczego nie zmieniał. Nadal był więźniem i miał pewność, że będzie dręczony tak długo, aż opowie im wszystko.

— Czemu nie zostawicie ludzi w spokoju, nie dacie im szansy żyć normalnie, bez strachu? Nie przestaniecie mordować? Nigdy? — pytał, wiedząc, że nie otrzyma odpowiedzi. — Kim ty jesteś, że stajesz przeciwko swoim?

— Na żadne z twoich pytań odpowiedź nie jest prosta. — Padły słowa, które zdumiały Kalę i przerażyły, gdyż przesycone były nienawiścią.

Mag wstał, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

— Zabrać go! — krzyknął w stronę strażników. — Nie jest prosta — rzucił jeszcze do Kali i odszedł leniwym krokiem z opuszczoną głową.

Rozdział XXXI — Czas się kurczy

Siedzieli, gdzie popadło, na sofach, na podłodze, a nawet na postumentach królewskich posągów. Naznaczeni, górale, kapłani, a wśród nich Nair, Sulla, Mirie i Caril. Jak tylko bajarka opowiedziała o tym, co stało się w Mare, postanowili wyruszyć do zamku, wiedząc, że Nair zrobi wszystko, by odzyskać chłopaka. Sylowie nie zapominali wyrządzonych krzywd, ale też dozgonnie pamiętali dobro, którym ktoś ich obdarzył. To Kala przybył do nich z pomocą w czasie pożaru i dzięki temu zdołali się obronić. Zawdzięczali mu niejedno życie, dlatego byli gotowi położyć na szali własne, żeby spróbować wyrwać go z łap wroga. Pomimo że Caril i Jall mieli już za sobą parę godzin wędrówki, to bez wahania poszli razem z innymi. Nocna wspinaczka i marsz w ulewnym deszczu dla nikogo nie były łatwe, ale Caril z zaciśniętymi zębami dotrzymywała kroku pozostałym. Pod murami zamku słaniała się na nogach, więc któryś z górali przerzucił ją przez ramię i doniósł na miejsce. Sulla natychmiast zajęła się dziewczyną, przygotowując jej gorącą kąpiel, a także pożywne śniadanie. Potem niemal siłą ułożyła do snu. Zbudziła Caril, kiedy Nair zwołał naradę.

Od uwięzienia Kali minęły już dwie doby i wszyscy zdawali sobie sprawę, że dłużej czekać nie można. Byku zaniósł odpowiedź i było pewne, że nie spodobała się królowi, jeśli faktycznie przybył do Mare. Nikt nie wiedział, kiedy dojdzie do egzekucji, ale nikt też nie miał wątpliwości, że Kala zostanie stracony, o ile jeszcze żył. Nair cierpiał podwójnie — raz, że Sahan zostawił przybranego syna pod jego opieką, dwa, że chłopak stał mu się naprawdę bliski, szczególnie od pamiętnego dnia, kiedy połączyli moc. I najważniejsza rzecz, o której nie wiedział nikt poza nimi dwoma i Anchelem — Kala z pewnością był częścią przepowiedni. Musieli zrobić wszystko, by wydostać go z niewoli, wyrwać z łap zbrodniarzy, inaczej lata ukrywania się, ciągłej ucieczki, utraty bliskich, wszystko mogło pójść wniwecz. Jak to powiedziała Mirie?

— „Kiedy palce jednej ręki odnajdą się i zacisną w pięść, na ziemi znów zapanuje porządek rzeczy”. — Nie zapanuje, jeśli Kala zostanie zgładzony.

— Podsumujmy. — Nair przerwał rozmowy. — Kalę zatrzymali w środę i zamknęli w strażnicy, a przynajmniej tyle widział Byku. Jeśliby..., gdyby został zamordowany, to sądzę, że wysłaliby kogoś, żeby nam tę wiadomość dostarczył. Chcąc nas zastraszyć, zrobiliby wszystko, byśmy się o tym dowiedzieli, na przykład podrzucając ciało. Dlatego myślę, że on nadal żyje i stanowi przynętę. Oni chcą nas tam zwabić, a potem wyłapać jednego po drugim. Jak wynika z żądań, szczególnie zależy im na mnie i Mirie. Jeszcze rozumiem, dlaczego ja, ale co takiego zrobiła im babka? Chyba że chodzi o zemstę za wyprowadzenie naznaczonych. Mirie, zagrałaś im na nosie, przechytrzyłaś królewskich szpiegów w habitach i nie mogą ci tego darować. To było bardzo zuchwałe, kobieto — zażartował.

Mirie uśmiechnęła się filuternie jak mała dziewczynka, która zrobiła psikusa i uniknęła, jak dotąd, kary.

— Jeszcze nie raz ich zaskoczę — stwierdziła tajemniczo.

— No dobrze, skoro tak bardzo pragną nas zobaczyć... — Klasnął w dłonie

z uśmiechem. — Nie ma nad czym debatować, trzeba iść, tylko, jak to zrobić, żeby nie zauważyli nas zbyt wcześnie. Obie drogi obstawili swoimi ludźmi, nikt się nie przemknie niepostrzeżenie. Myślałem o tym, żeby przejść przez przełęcz na drugą stronę gór i wrócić od strony Alierii, ale to potrwałoby z tydzień — za długo.

— Znamy inną drogę — niespodziewanie odezwał się jeden z kapłanów — trudną, jednak pewną, przez jaskinie pod zamkiem. Większość naznaczonych przeprowadziliśmy tamtędy. Jestem pewien, że królewscy nigdy o niej nie słyszeli.

— To na co czekamy? — zirytował się Wilk. — Siedzisz tak sobie, człowieku, przysłuchujesz się i potrzebujesz godziny, żeby nam o tym powiedzieć?

— Przejście było znane tylko królom i niektórym z nas — odparł spokojnie kapłan. — Każdemu kolejnemu władcy składaliśmy przysięgę, że pozostanie to tajemnicą. Dzięki temu wielu naznaczonych bezpiecznie dotarło do zamku. Nadal nikt nie odnajdzie drogi samodzielnie, to istny skalny labirynt. — Obrzucił zgromadzonych ludzi przelotnym spojrzeniem, z których niejeden kiwnął głową na potwierdzenie jego słów. Mówię o tym, bo już żadna przysięga nas nie wiąże, a ostatnie wydarzenia pokazały, że ukrywanie się niczego nie zmieni i przed niczym nie uchroni.

Zakonnik wstał i ruszył do wyjścia, zatrzymując się na chwilę w drzwiach.

— Poczekajcie, w ciągu dwóch godzin wrócę z przewodnikami, gdyż ja drogi nie znam.

— Będziemy gotowi — oświadczył Nair w imieniu wszystkich obecnych. — Pójdzie ze mną piętnastu naznaczonych, a wy — wskazał górali — podzielcie się na dwie grupy. Jedna ruszy z nami, a pozostali zostaną na wypadek niepowodzenia. Gran, przejmiesz dowodzenie! Częścią załogi obsadzisz zamek, a dwudziestu naszych wyślesz razem z góralami do wioski, tam zostały niemal same kobiety i dzieci. Może wam się wydawać, że dwudziestka niewiele zdziała — zwrócił się do Sylów — ale wiercie mi, każdy z moich braci to śmiertcionośna broń warta więcej niż setka żołnierzy. Wy ich tylko ochraniajcie przed strzałami i bełtami, a oni załatwią resztę. Nie mamy wyboru, nie możemy dłużej czekać na Sahana. Nawet nie wiemy, czy dotarł do swoich, bo pustynia to przeciwnik równie groźny jak królewscy, jeśli nie groźniejszy.

Dwie godziny później wszyscy byli gotowi. Żadnego zbędnego balastu, tylko broń. W zamkowej zbrojowni od dawna panował ład. Ludzie z zapalem posegregowali, oczyścili i naostrzyli miecze, piki, topory, alierskie jatagany i długie noże, a także całe stosy sztyletów różnego pochodzenia. Były też błyszczące zbroje, choć dla nich nieprzydatne, gdyż przejście skalnymi tunelami i bez tego stanowiło trudne zadanie. Niektórzy wybrali lekkie kolczugi, a inni skórzane kamizele.

Pozostało już tylko czekać na przewodnika i jakież było ich zdziwienie, kiedy zobaczyli kilkunastu kapłanów w skórzanych kurtkach i spodniach oraz długich, miękkich butach. Krótkie łuki przewieszane przez plecy i kolczany pełne strzał, a przy pasach po kilka cienkich noży zatkniętych równo jeden przy drugim.

— No, no — skwitował Nair, a Wilk aż zacmokał ze zdumienia.

— A przypadkiem nie zrobicie sobie krzywdy? Te nożyki wyglądają na ostre — rzucił Jall z lekko kpiącą miną.

— Coś tam potrafiemy — odparł młodziutki kapłan z nieśmiałym uśmiechem, po

czym błyskawicznym ruchem wyciągnął zza pasa dwa noże i cisnął nimi z obu rąk jednocześnie w drewniane wrota, wbijając oba w wąską, poprzeczną belkę, co nie mogło być przypadkiem. — Polujemy czasem — dodał. Nie wolno nam zabijać ludzi, ale mamy prawo chronić niewinnych i bezbronnych.

Wszyscy zamilkli, a Jall podszedł, by uścisnąć kapłanowi rękę w geście przeprosin i szacunku.

— Gotowi? — zapytał potężny kapłan, zwany Malutkim, rozglądając się wokół. — Ruszajmy zatem.

Zawrócił do wnętrza zamku, co wywołało niemałe zdziwienie, wszedł do sali tronowej, kierując się w stronę jeziora o niesamowitej, turkusowej barwie, za którym był skalny tron wyrzeźbiony przez wodę przed tysiącami lat. Kapłan obszedł staw, naparł z całej siły na oparcie tronu, odsuwając je na bok. Zaskoczeni ludzie patrzyli w milczeniu na otwierające się wejście do jaskiń. Istniało od wielu stuleci i nikt, nigdy o nim nie słyszał.

— Zejdę pierwszy, a po mnie trzech, czterech ludzi. Potem kolejny kapłan i znów kilku z was. To trudna droga z mnóstwem odnóg i ślepych korytarzy. Im większa grupa, tym łatwiej się zgubić. O wypadek też nietrudno, zdarzają się miejsca tak wąskie, że ledwo można przejść, a tuż za nimi przepaście. Nie mamy pojęcia, jak głębokie, bo kiedy rzucić kamień, odgłos spadania dochodzi bardzo długo. Jest ciemno, zimno i mokro, a ścieżki strome i śliskie. Zachowajcie czujność i słuchajcie swoich przewodników, oni doprowadzą was bezpiecznie. Poczekamy na końcu drogi, aż wszyscy dotrą. Wyjdziemy w pobliżu placu targowego, górale wiedzą, gdzie to jest. Na szczęście będzie już ciemno, łatwiej dotrzeć do strażnicy. Tam będę dowodził ja, bo Nair, z całym szacunkiem, nie zna miasteczka. — Spojrzał na Morova, ale ten tylko skinął głową, więc Malutki zapalił pochodnię i ruszył w dół.

Schodzili grupkami w kilkuminutowych odstępach. Nigdy w przeszłości nie przechodziło tą drogą tylu ludzi naraz, a każdy z szesnastki kapłanów prowadził trzech albo czterech. Zachowywali ciszę, jedynie migoczące światła pochodni, rzucając niesamowite cienie na skalne ściany, świadczyły, że oprócz nietoperzy ktoś jeszcze zawitał do podziemnego świata. Widok był fascynujący i straszny zarazem. Ludzie rozglądali się na lewo i prawo, zadziwieni stalaktytami o niesamowitych kształtach i kolorach. Gdzieniegdzie połyskiwała mika, a może nawet złoto. Kapłani musieli przywołać niektórych do porządku, żeby baczniej spoglądali pod nogi zamiast gapić się po ścianach. Po pewnym czasie do wszystkich dotarło, jak groźne i niebezpieczne to miejsce, tym bardziej, że zmęczonym ludziom zaczynała doskwierać wilgoć i zimno.

Wreszcie, po trzygodzinnej, mozolnej wędrówce, dotarli do celu. Kiedy cała grupa znalazła się w obszernej skalnej grocie, kapłani gestami nakazali ciszę. Malutki odszedł niewysokim korytarzem, a chwilę później usłyszeli kilka stuknięć następujących w określonych odstępach, co zapewne było umówionym znakiem. Potem jeszcze dźwięk otwieranych drzwi i zapadła cisza. Po dwóch, może trzech minutach ponownie dało się słyszeć regularne stuknięcia. Kapłani ruszyli naprzód, wskazując ludziom schodki i właz prowadzący na powierzchnię. O dziwo znaleźli się w pomieszczeniu, w którym stało mnóstwo beczek, a przy jednej ze ścian regały z butelkami szczelnie zamkniętymi lakiem.

Nikommu nie trzeba było tłumaczyć, co to za miejsce.

Z piwnicy wychodzili na zaplecze karczmy, choć Wilk z niejakim żalem pożegnał wyłożone butelki. Znał właściciela i jego wina, najlepsze w Sylii, spędziwszy niejedną wieczór przy ich degustacji. W każdy wtorek górale z Zaskała handlowali wyrobami z drewna, a czasem też skórami upolowanych lisów. Kiedy nie było z nimi kobiet, korzystali z okazji i zachodzili do karczmy, by kilka roanów przeznaczyć na dobrą kolację i parę lampek czerwonego, a zimą grzanego z korzeniami. Miewał z tego powodu kłopoty w domu, gdyż żona absolutnie nie podzielała tej jego pasji. Rankiem musiał znosić potworny ból głowy spowodowany nadmierną liczbą wypitych lampek oraz gradem słów wyrzucanych przez małżonkę. Trudno powiedzieć, co było gorsze.

Pewnej nocy wrócili z Bykiem i Jalleem później niż zazwyczaj. Z trudem wtoczył się do domu, usiłując zachować pion. Struchlał na widok żony czekającej w kuchni, więc czym prędzej wyciągnął zza pazuchy sporą ilość zarobionych roanów i położył je przed nią na stole. Później usiłował jeszcze dotrzeć do sypialni, ale padł na twarz tam, gdzie stał. O świcie obudziła go straszliwa suchość w gardle, więc na czworaka dotarł do cebrzyka z wodą. Nieco otrzeźwiony sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i zamarł — pieniędzy w niej nie było. Zanurzył głowę w cebrzyku, otrząsnął się, usiadł i ze strzępów pamięci usiłował odtworzyć wieczór spędzony w towarzystwie kumpli oraz drogę powrotną do domu. Im bardziej wysilał umysł, tym więcej fragmentów z niego uciekało. W końcu przerażony wypadł z chaty i popędził do Nuta. Załomotał w drzwi i po chwili ujrzał w nich zaspaną twarz przyjaciela.

— Wilk? Człowieku, ledwie świta. Ktoś ci umarł, czy...? — pytał sąsiad, ziewając raz za razem.

— Jeszcze nikt, ale jak mi nie pomożesz — wyjęczał z obłędem w oczach — to jutro będziesz musiał sprawić mój pogrzeb.

Opowiedział kumplowi tragiczną historię o zaginionych monetach i parę minut później wracał uszczęśliwiony, pobrzękując sakiewką. W przedpokoju, o zgrozo, zetknął się z chmurnym jak noc obliczem małżonki.

— Gdzie żeś się znowu szlała? — zadała krótkie, rzeczowe pytanie.

— Tak się chciałem trochę przewietrzyć, a co? — Buńczucznie odpowiedział pytaniem na pytanie, po czym sięgnął za pazuchę. — Lepiej weź pieniądze, kobieto, zanim się rozmyślę.

Żona przyjęła trzosik ze sporym zdumieniem w oczach, po czym wysypała zawartość w otwartą dłoń, nie mówiąc ani słowa.

— Co, czyżby za mało? — zapytał wkurzony.

Ona nadal stała jak słup soli i patrzyła jakoś dziwnie. Najgorsze jednak było milczenie.

— No, co jest? — Wilk był już poważnie zaniepokojony. — „Może widziała, jak szedłem do Nuta” — pomyślał. — Gapisz się na te pieniądze, jakbyś ducha zobaczyła — rzekł na tyle spokojnie, na ile zdołał. — Wszystko jest jak należy, kobieto. Przysięgam na bogów, tyle zarobiłem, tyle oddaję. — Na potwierdzenie przyrzeczenia walnął zaciśniętą

dłonią w pierś.

Odwróciła się na pięcie, podeszła do komody i z szuflady wyjęła garść roanów. Potem stanęła tuż przed nim, wyciągnęła obie ręce i zapytała:

— Tyle zarobiłeś? — Otworzyła prawą dłoń. — Czy tyle? — Pokazała lewą.

Wilk zgłupiał, rozdziawił szeroko usta i tak został, nie mogąc wymówić słowa.

— „Szaleju się opila, czy co?” — pomyślał.

— Te pieniądze oddałeś mi w nocy, a te przed chwilą. — Ważyła w dłoniach monety, patrząc mu prosto w oczy. — Jeszcze na dodatek bluźnisz, przysięgając na bogów. Nie wiem, skąd je masz, ale to twoja sprawa. W końcu będę miała nowe garnki, takie ładne sobie upatrzyłam, malowane w stokrotki. — Roześmiała się i poszła do sypialni, zabierając obie kupki.

Przez jakiś czas harował podwójnie, by oddać Nutowi dług.

— „To był prawdziwy przyjaciel” — wspomniał w myślach.

Obraz spalonego wraz z rodziną Nuta stanął mu przed oczami, jakby to było wczoraj, co go przywróciło do rzeczywistości, przypominając cel w jakim się tu znalazł. Natychmiast ruszył za pozostałymi ludźmi z jeszcze większą determinacją.

Stłoczyli się w niewielkiej spiżarni karczmy o przewrotnej nazwie „Jaskinia Stepa”. To był rodzinny interes od kilku pokoleń. Jedzenie pierwszorzędnej jakości, nie wspominając już o winach wytwarzanych z doskonałych winogron. Na południowych stokach Pallarów od stuleci rozlewały się winnice, otulając Mare i okoliczne wioski zielonym kołnierzem.

— Dotarliśmy szczęśliwie — zaczął Nair. — Od tej chwili dowództwo przejmuje ten oto skromny człowiek. — Wskazał na kapłana o łagodnej twarzy i uśmiechniętych oczach.

— Jakies pięćdziesiąt metrów stąd jest bazar. — Bez zbędnej zwłoki poinformował Malutki. — Musimy tam dojść najszybciej i najciszej, jak się da — przykazał stanowczym głosem. — Wychodzimy w małych grupkach, dobiegamy do miejsca targowego i ukrywamy się między straganami. Stamtąd przemykamy pod arkadami do końca ulicy i czekamy na pozostałych.

Kapłan miał potężny głos pasujący do równie potężnej sylwetki. Nawet nad Nairem górował dobre siedem cali, toteż w spiżarni Stepa głową sięgał ponad belki powały.

— Co ze strażnikami? — zapytał Wilk, który miewał z nimi do czynienia, gdy wracał po paru głębszych.

Wtedy jednak nie czepiali się zbyt górali i zazwyczaj puszczały ich wolno.

— Dobrze pytanie — odparł kapłan. — Chodzą dwójkami, ale w rejon bazaru raczej się nie zapuszczają o tej porze. Gorzej będzie po dotarciu do głównego placu, tam zwykle bywają dwa, a nawet trzy patrole. Teraz może być ich jeszcze więcej, gdyż, jak wiemy z pewnych źródeł, w Mare przebywa król. Nie ma jednak na co czekać. O tej porze plac prowadzący do strażnicy jest w miarę spokojny. Step widział króla, jak ze swoją świtą odjeżdżał do myśliwskiego pałacyku. Przygotujcie się i na mój znak ruszamy.

Otworzył drzwi i bez zastanowienia wpadł do głównej sali, wiodąc za sobą całą grupę. Goście zamilkli, patrząc z otwartymi ustami i bezbrzeżnym zdumieniem w oczach na korowód uzbrojonych ludzi wybiegających z zaplecza. Wojownicy wyskakiwali na

ulicę bez oglądania się za siebie. Wkrótce sala opustoszała, nie licząc siedzących przy stolikach osłupiałych biesiadników.

Malutki błyskawicznie dotarł do pustych straganów, co było zadziwiające przy tak potężnej sylwetce. Przyklejeni do ścian domów czekali na jego znak, widząc, że się rozgląda. Po chwili machnął dłonią i pierwsza grupka przebiegła, potem następna i kolejne, aż wszyscy znaleźli schronienie wśród targowych stoisk. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem. Kapłan zdecydował się na kolejny krok i, niemal przyklejony do ściany, przemierzał alejką pod arkadami w kierunku głównego placu. Inni podążali jego śladem. W świetle latarni pojawił się patrol, więc ludzie przycupnęli, zachowując całkowitą ciszę. Kiedy królewscy zniknęli za narożnikiem kamieniczki, korwód ruszył dalej z jeszcze większą ostrożnością. Wreszcie wszyscy dotarli do placu, czekając na dalsze rozkazy. Malutki wyrzął zza ściany i szybkim spojrzeniem omiół okolicę. Podniósł dłoń, pokazując cztery palce, a następnie kierunek na wprost i na lewo. Czterech łuczników wysunęło się naprzód. Kapłan wstrzymał ich, podnosząc rękę i czekając dłuższą chwilę. W końcu machnął, dając sygnał do ataku. Wyskoczyli jednocześnie zza ściany i błyskawicznie przygotowali się do strzału. Jednym z czterech był Jall, dla którego taka akcja nie była pierwszozną, mimo to wziął głęboki oddech, by uspokoić nerwy. Chwilę później wypuścił pierwszą strzałę niemal jednocześnie z innymi. Trzech królewskich padło bezgłośnie, jednak czwarty zaczął wrzeszczeć z bólu.

— Naprzód! — krzyknął Malutki, nie czekając, aż na plac zaczną docierać posiłki.

Pognali przed siebie, by jak najszybciej znaleźć się po drugiej stronie w cieniu kamienic. Wilk dopadł rannego i dobił go szybkim ciosem topora. Gdzieś od południa doleciały dźwięki trąbki alarmowej i wykrzykiwanych rozkazów, ale oni już minęli plac i wpadli w uliczkę prowadzącą do strażnicy.

Nair pędził pośrodku stawki, aż nagle poczuł szarpnięcie za rękę tak mocne, że omal się nie przewrócił. Już wziął zamach, by przywalić napastnikowi z łokcia, kiedy usłyszał:

— Stój, Nair, zatrzymaj się natychmiast!

Mirie, bo to jej głos usłyszał, wciągnęła go we wnękę kamienicy.

— Co ty tu robisz? — zapytał zszokowany.

— Nie teraz, nie ma czasu na gadanie. Skup się i czekaj. Ja spróbuję odszukać Kalę, a ty pomożesz mu rozwalić to więzienie. Jeśli go nie znajdziemy, będziesz likwidował królewskich, aby zwiększyć szanse Malutkiego z oddziałem.

— Co takiego? Mirie...

— Bądź cicho, słuchaj i patrz! — Błyskawicznie przeniknęła barierę jego myśli, pokazując mu strażnicę najpierw z zewnątrz, potem w środku.

— „Co...?” — Zdążył ledwie pomyśleć, a już przed oczami migają mu wizje kolejnych pomieszczeń i ludzi. Nagle obraz stanął w miejscu i Nair dostrzegł Kalę leżącego w kącie jakiejś nory. Czuł, że Mirie próbuje dotrzeć do świadomości chłopaka, ale bez powodzenia. Pokręciła głową i natychmiast skierowała jego wzrok na strażników w środku, a on usuwał ich jednego po drugim. Nadal nie miał pojęcia, jak to robi, ale tworzący się w głowie wir pochłaniał tych ludzi, nie pozostawiając po nich nawet śladu. Potem jego spojrzenie zostało zwrócone na plac przed budynkiem, gdzie właśnie

wbiegali królewscy. Zdążył zmieść sześciu, jednak musiał przestać, widząc swoich ludzi atakujących strażników.

— Biegnijmy — krzyknęła Mirie.

W tym momencie obraz sprzed oczu Naira zniknął. Pędził jak szalony, ale Mirie nie odstawała ani o krok, wprawiając go w zdumienie. Nie była co prawda staruszką, ale swoje lata miała.

— Zdziwiony? — krzyknęła. — Parę lat wyprowadzania naznaczonych sprzed nosa królewskich oprawców dało efekty.

Dobiegli przed strażnicę, gdzie toczyła się bitwa. Nair wyszarpnął miecz i skoczył do pomocy Malutkiemu, któremu skończyły się już noże, a łuku nie mógł użyć w takim zamieszaniu. Opędzał się tylko rękami i nogami przed całą sforą uzbrojonych żołnierzy, choć odniósł wiele ran. Rozcięty rękaw koszuli ociekał krwią, a i nogi mocno krwawiły. Naznaczeni też walczyli za pomocą mieczy, nie mogąc posłużyć się magią. Paru rannych, a może martwych, leżało na bruku.

Mirie zauważyła dwóch młodych kapłanów, uzbrojonych w krótkie sylskie łuki, ukrytych za sporym drzewem, więc czym prędzej pognąła w ich kierunku. Na zmianę wychylali się zza osłony, by wystrzeliwać kolejne strzały. Potrzebowała ochrony, żeby móc się skoncentrować, a to było jedyne w miarę bezpieczne miejsce. Jeszcze raz spróbowała nawiązać kontakt z Kalą, ale on nie reagował, choć wiedziała, że nadal żyje. Nic więcej nie mogła zrobić, gdyż póki co przebicie się do strażnicy nie było możliwe. Skupiła uwagę na zakonnikach, których przybywało coraz więcej. Zaczęła sondować ich umysły, zaszczepiając w nie brak wiary i apatię. Była silna, więc jej działanie przynosiło efekty — niektórzy odchodzili, a inni kręcili się bez celu chwiejnym krokiem. Młodzi kapłani dzielnie ostrzeliwali wrogów, nie marnując strzał. W końcu, któryś z królewskich wypatrzył strzelców i chwilę później jeden z nich padł wprost pod nogi Mirie ze sterczącym w piersi bełtem. Pochyliła się nad chłopakiem i natychmiast wiedziała, że nie zdoła mu pomóc. Wyjęła łuk z jego ręki, ściągnęła z ramienia kołczan i, choć nie była zbyt dobrym łucznikiem, robiła, co mogła, celując w oddalonych, skołowanych braciszków zakonnych. Widziała cały plac, coraz więcej królewskich nadbiegających ze wszystkich stron i ludzi Naira spychanych pod mur strażnicy. Dostrzegła Jalla, padającego z włócznią w plecach, okrwawionego Malutkiego usiłującego podnieść się z kolan, młodego Krona, naznaczonego, którego osobiście doprowadziła do kapłanów jeszcze zimą. Uratowała go, a teraz odcięli mu głowę toporem.

— „Ile on miał lat? Piętnaście, szesnaście? Dziecko jeszcze.” — pomyślała i podjęła decyzję.

Odrzuciła łuk, skupiając się na żołnierzach. Wtłaczała się w ich umysły, miażdżąc je za pomocą magii, co sprawiało, że z ludzi stawali się bezwolnymi kukłami bez wzroku, słuchu, mowy i myśli.

Nagle dostrzegła grupę jeźdźców galopujących od strony targu. W środku pędził Morov z rozwianymi włosami i dzikim wzrokiem. Jej ciało zaczęło drżeć, a właściwie trząść się jak w febrze. Ten moment sprawił, że nie tylko utraciła zdolność walki, ale też obrony i niemal natychmiast poczuła jego umysł wdzierający się w jej. Zlokalizował ją i próbował wyeliminować, ale instynkt przetrwania nabywany latami wrócił

w odpowiednim, ostatnim momencie. Drżącymi rękoma uciskała głowę, mając wrażenie, że za chwilę eksploduje. Poczła niewyobrażalny ból w uszach, a po policzkach popłynęły łzy rozpacz, strachu i poczucia klęski. Mieliby szansę, uwalniając Kalę, zanim przybyły posiłki. Stało się inaczej. Rzuciła ostatnie spojrzenie na plac, na niedobitki broniących się jeszcze ludzi Naira. Nawet nie wiedziała, czy on żyje. Wiedziała za to, że ponieśli porażkę, ona poniosła porażkę największą w całym swoim życiu. Poddała się i opuściła bezradnie głowę z myślą — koniec.

— „Ale... Cóż to? Nacisk ustąpił? Co się...?” — Myśli w jej głowie szalały, a młody kapłan tuż obok śmiał się, skacząc i krzycząc.

Przed oczami Mirie przebiegał całkowicie odmienny obraz bitwy. Królewscy rzucili się do ucieczki ścigani niczym dzikie zwierzęta przez jakichś ludzi poruszających się lekko i szybko — jak w tańcu. Nad miasteczko napłynęły chmury, rozszalała się wichura, gałęzie, a nawet niewielkie drzewa fruwały wokół, budząc grozę. Na placu z sekundy na sekundę przybywało ludzi — dziwnych, obcych. Pod eseńskimi zakonnikami zniemacka zapadała się ziemia, odcinając im drogę ucieczki albo grzebiąc żywcem. Mirie nie wiedziała, czy to rzeczywistość, czy może urojenia zniszczonego umysłu. Z osłupieniem patrzyła, jak ten człowiek, ten... odjeżdżał galopem, uciekał. Dopiero co chciał ją zniszczyć, zniszczyć jej przyjaciół, swoich przyjaciół, braci, a teraz uciekał w popłochu. Usiadła na ziemi, nie mając siły nawet ruszyć ręką. Wydarzenia przerosły jej zdolność pojmowania.

— Zwycięstwo, Mirie. Ktoś przyszedł nam z pomocą, jacyś ludzie, wielu, wielu ludzi — krzyczał młody kapłan, klęcząc obok niej. — Chodźmy, babko, już po wszystkim.

Wziął ją pod ramię, próbując podnieść, ale odepchnęła jego rękę.

— Ten człowiek... Widziałeś go? Tego Morova na koniu widziałeś? — pytała gorączkowo, a kiedy przytaknął, przyciągnęła jego głowę i wyszeptwała. — To był mój syn...

Mirie próbowała powiedzieć coś jeszcze, ale twarz okryła bladość i pot. Osunęła się na ziemię, tracąc przytomność.

— Pomocy — wrzasnął kapłan. — Ratujcie, ona umiera...

Ktoś podbiegł, podniósł kobietę lekko jak piórko i czym prędzej zaniósł na plac, gdzie parę osób zajmowało się rannymi. Jeden z mężczyzn zgarnął w dłoń długie warkoczyki spadające na twarz i zbadał Mirie, przykładając ucho do jej piersi i nasłuchując dłuższą chwilę.

— To jej dusza jest chora, nie ciało — stwierdził w końcu, układając kobietę wygodniej. — Nie pomogą tu ani leki, ani zioła, tylko czas.

— Dam jej coś specjalnego — uśmiechnęła się młoda uzdrowicielka. — Im mocniej zapadnie w sen, tym łatwiej będzie wyrwać ten kolec.

Nair ślaniał się na nogach, ale przeżył, nie odnosząc żadnej rany, żadnego draśnięcia, choć tak wielu ludzi zginęło w tej bitwie: Jall, a oprócz niego jeszcze trzynastu górali, których Nair nie zdążył poznać, widząc ich zaledwie raz w życiu podczas tańców w Zaskalu, Malutki i czterech innych kapłanów oraz sześciu naznaczonych. Kilkunastu solidnie oberwało, odnosząc obrażenia, niektórzy ciężkie. Mirie leżała na czyjejs kurtce nieprzytomna, choć właściwie nikt nie wiedział, co jej się stało. Na ciele nie było widać nawet zadrapania, nawet jednej kropli krwi. Obok niej ułożono też Kalę, przy którym czuwał Anchel przybity stanem przyjaciela. Chłopak przeżył, ale jego twarz pokrywały rany i sińce, miał złamaną szczękę i odcięte dwa palce u lewej ręki. Oczu prawie nie było widać spod opuchlizny, stracił też kilka zębów. Mimo to Nair nie krył radości, że go odzyskał — rany się zagoją, tylko życia nie można przywrócić. Stracił już brata, rodziców, tak wielu przyjaciół, że trudno zliczyć, ale jego odzyskał. Pośród rannych krążyły dwie kobiety i kilku mężczyzn, o których nie wiedział nawet, skąd pochodzą. Przyprowadził ich Anchel, choć zdążyli go już pogrzebać w myślach, uznając za zdrajcę. Wszyscy byli w szoku, kiedy żegnając się w myślach z bliskimi, nagle doświadczyli cudu. Jacyś obcy wpadli w najtrudniejszym momencie. To, co się wówczas działo, trudno opisać. Najpierw pojawili się ludzie-cienie odziani na szaro z maskującymi malunkami na twarzach i dłoniach.

Poruszając się jak koty, wpadli w sam środek bitwy. Właściwie nie posiadali żadnej broni, jednak ich nogi i ręce sprawiały, że wrogowie padali jak ścięci — żaden nie zdążył zareagować. Obracając się w jakichś tanecznych wyskokach i piruetach, zniemacka walili piętą w środek twarzy albo pięścią w grdykę, po czym natychmiast odskakiwali, by w kilka sekund zaatakować ponownie. Niektóre ciosy następowały jeden po drugim, celne i śmiercionośne. Nawet patrzenie na to bolało.

Potem dołączyli do nich wysocy wojownicy uzbrojeni w miecze, jakich Nair nigdy nie widział. Wbiegli na plac, poruszając się, podobnie jak szarzy, w jakiś dziwny zwierzęcy sposób. Otoczyli grupę walczących nadal królewskich i swoimi długimi mieczami wyrąbywali sobie drogę usłaną ich trupami.

Morovski mag, widząc, co się dzieje, wycofał jeźdźców, by wspólnie ochraniać

zakonników. Korzystając z ich siły, usiłował wpłynąć na obcych, osłabić ich wolę i zapał. Niemal wysysał życie z zakonnych, którzy drżeli i słaniali się na nogach, ale, nie wiedzieć czemu, to nie działało. Wtedy zarządził odwrót, próbując ujść z życiem. Przybysze naparli z jeszcze większym animuszem i rozmiotli królewskich w pył.

Oprócz ludzi maga ledwie kilkunastu żołnierzy zdołało zbiec, ale dwudziestka konnych przybyszów, popędzając wierzchowce do galopu, ruszyła ich śladem.

Nair nie miał jak dotąd czasu, by poznać swoich wybawców, podziękować. Przede wszystkim musiał zadbać o rannych i przemęczonych ludzi. Nie odnaleźli jeszcze Byka ani żywego, ani martwego. Skrzyknął więc paru swoich i zamierzał wyruszyć na poszukiwania, gdy podszedł do niego młody mężczyzna o skórze ciemniejszej niż u Morovów, przenikliwych brązowych oczach i długich włosach splecionych w warkoczyki.

— Nair? — zapytał po eseńsku z bardzo czystym akcentem.

— Owszem, Saendran Nair Karun — odpowiedział uprzejmie z niemym pytaniem w oczach.

— Jestem Matei. — Wojownik wyciągnął dłoń, a Nair ją uściśnął. — Pochodzę z wyspy Taei jak i pozostali ludzie, których tu widzisz. Wychowałem się w Esenii, ale to długa historia. Przybyliśmy drogą morską na czterech okrętach odebranych Esenom, kiedy ponad dwa lata temu odwiedzili naszą ziemię. Ich wizyta kosztowała moich braci wiele istnień i zmieniła nas na zawsze, ale to jeszcze dłuższa historia — przerwał, patrząc prosto w oczy Morova. Po chwili uśmiechnął się szczerze, jednak zaraz spoważniał. — Chciałbym cię komuś przedstawić, jeśli pozwolisz.

— Wybacz, że nie podziękowałem wam za ocalenie, to była wielka rzecz. — Nair skłonił głowę, przykładając dłoń do piersi. Matei tylko machnął ręką, jakby ratowanie ludzi na drugim końcu świata było rzeczą normalną.

— Zakonnik Anchel powiedział nam, że Eseńczycy zaplanowali zagładę twoich braci, a my byliśmy akurat w pobliżu. Wrogowie naszych wrogów... no wiesz. — Zaśmiał się serdecznie, wywołując też uśmiech na twarzy Naira. — Zapraszam ze mną, nie zajmę ci dużo czasu.

— Niestety teraz nie mogę, muszę odnaleźć przyjaciela, zbyt wielu już straciłem. — Nair przeciągnął dłonią po włosach. Spod rękawa koszuli wyłonił się tatuaż, łeb żmii.

Matei zerknął, nie pokazując po sobie wzruszenia, po czym klepnął go po ramieniu i odparł krótko:

— Pomożemy, jest ze mną paru ludzi, którzy jak nikt znają się na tropieniu. Weź swoich i chodźmy razem na poszukiwania.

Nair przytaknął, wiedząc, jak bardzo zmęczeni są jego wojownicy. Ruszył za Matei wdzięczny za bezcenną w tych okolicznościach pomoc.

— Weźmiemy konie, będzie szybciej, a i nogom lżej — zaproponował Matei.

— Nie wiem, jak ani kiedy będę mógł się odwdziaczyć, ale na zawsze zapamiętam, co dla nas zrobiliście — odparł Nair drżącym głosem. — Tak po prawdzie, to nie miałem już nadziei, że wyjdziemy z tego żywi, zjawiliście się w ostatnim momencie. Chyba bogowie czuwali nad nami.

Doszli do oddziału konnych i Matei szybko podszedł do jednego z nich, rzucając parę słów, których Nair nie usłyszał. Stojący tyłem mężczyzna upuścił wodze, odwrócił się i ruszył wolnym krokiem. Nair stał w miejscu osłupiały i tylko rozszerzone źrenice i drżące ciało świadczyły o tym, co przeżywał. Patrzył na zbliżającego się człowieka, nie wiedząc, czy to zjawa, czy żywy, cudownie ocalony Olande. Nie miał siły zrobić najmniejszego ruchu, wypowiedzieć choćby jednego słowa. Ole już biegł i po chwili porwał Naira w uścisk tak mocny, aż mu pobieleły kłykcie. Wtulił głowę w jego pierś i rozplakał się jak dziecko, nie bacząc na stojących wokół ludzi. Oni zresztą szybko odwracali wzrok, a niejednym ukradkiem ocierał łzy. Nair próbował objąć młodszego brata jak dawniej, gdy byli jeszcze dziećmi, coś powiedzieć, jednak wzruszenie odebrało mu resztkę sił. Osunął się na kolana z pobladłą twarzą, w porę podtrzymany przez Ole.

— Kieri! — krzyknął Olande. — Ratuj go... — wołał zrozpaczonym głosem. Wracając w swoje strony, był przekonany, że nie ma już rodziny, nikogo bliskiego, a okazało się inaczej. Nair nie mógł umrzeć, to byłoby niesprawiedliwe, straszne i nieludzkie. Nie po to los ponownie ich połączył, by po chwili zadrwić okrutnie, dlatego wrzeszczał o ratunek, co sił.

Dziewczyna już biegła w ich stronę z flakonikami jakichś mikstur w dłoniach.

— Połóż go — poprosiła łagodnie, ale on nadal trzymał Naira, jakby bojąc się stracić kontrolę.

Kieri ścisnęła jego dłoń i powtórzyła, tym razem stanowczo:

— Połóż go i odsuń się, inaczej nic nie będę mogła zrobić. — Pomogła Olande ułożyć brata na dywaniku, który naprędce skombinował Matei. Pochyliła się nad omdlałym i ostrożnie wlała mu do ust kilka kropel sporządzonego przez siebie eliksiru.

Nair nie reagował. Podała mu jeszcze jedną dawkę, jednak bez efektu. Ktoś pobiegł po Chloe, ktoś inny po Anchela. Wszyscy chcieli pomóc, każdy na swój sposób.

Chloe zjawiła się bardzo szybko, a chwilę później dobiegł zdyszany Anchel, choć i tak nadzwyczaj sprawnie, biorąc pod uwagę jego tuszę.

— Rozejdźcie się! — nakazała Chloe. — Dajecie mu oddychać, a nam zróbcie miejsce! — Była kategoryczna, więc posłuchali i natychmiast rozstąpili się na odległość co najmniej paru kroków.

Pochyliła się nad nieprzytomnym mężczyzną i przykneła oczy. Natychmiast poczuła obcą moc sondującą ciało Naira. Podniosła głowę i spojrzała na zakonnika, rozumiejąc i odnajdując zrozumienie w jego oczach. Szybko znaleźli sposób na połączenie strumieni. Chloe krótkim gestem dłoni przywołała też Kieri. Szamanka wypuściła ostrożną niteczkę, próbując przeniknąć umysł Naira, ale zakonnik to powstrzymał i przejął inicjatywę. Poczuła, jak jest silny i poddała się jego woli, pamiętając, co zrobił brat Albert, wyrywając Ahije ze szponów śmierci. Anchel sprawdzał wszystko niezwykle dokładnie i ostrożnie, przenikając ciało chorego milimetr po milimetrze, aż dotarł do serca. Tam poczuł przeszkodę powstrzymującą krew. Wszyscy troje natychmiast zrozumieli, co się stało. Wtedy Anchel uderzył mocą, bez ostrzeżenia, z taką siłą, że obie kobiety zadrżały, potem jeszcze raz i jeszcze. Wtedy zdarzyło się coś nieprawdopodobnego — serce, choć słabo, jednak drgnęło. Później skurczyło się i znów stuknęło, tym razem mocniej, a po chwili zaczęło uderzać rytmicznie za każdym razem

z większą siłą. Chloe chwyciła dłoń Anchela, a Kieri westchnęła z ogromną ulgą. Żadna z nich nigdy nie widziała takiego uzdrawiania.

Wycofali nitki mocy i rozerwali połączenie. Nikt nie powiedział ani słowa, ale oczy obu kobiet wyrażały podziw i wdzięczność za uratowanie człowieka i bezcenną lekcję. Anchel poczerwieniał zawstydzony, wstał i uciekł czym prędzej, choć w jego ruchach widać było zmęczenie. Nair oprzytomniał, mimo że nadal był bardzo słaby.

— Olande, chodź tu — zawołała Chloe. — Możesz chwilkę z nim porozmawiać, ale tylko chwilkę. Jest jeszcze słaby, uważamy jednak, że wszystko będzie dobrze. Musi porządnie się wyspać i odpocząć, trochę za dużo na niego spadło, a nikt nie jest z kamienia.

Poruszony Olande podszedł i szybko ucałował obie uzdrowicielki. Nawet Anchela gotów byłby cmoknąć, gdyby ten w porę nie uciekł.

Potem przykucnął obok Naira, okrył go kocami, które ktoś dostarczył, i cicho przemówił:

— No, bracie, masz ty talent. Najpierw myślałem, że nie żyjesz, a kiedy cię odnalazłem, ty postanowiłeś umrzeć. Nie rób tego więcej, bo stłukę na kwaśne jabłko, nie zważając na starszeństwo.

Nair chciał coś powiedzieć, jednak Ole nie pozwolił, kładąc palec na ustach i kręcąc głową.

— Caril też żyje — wyszeptał chory mimo zakazu. Uratowali ją kapłani z Sylii, wiesz? Została w zamku, czeka na wieści razem z Sullą, moją żoną. Pamiętasz Sullę?

Olande najpierw wytrzeszczył oczy ze zdumienia, a potem zaczął się śmiać i szlochać na przemian. Ludzie podchodzili poruszeni, poklepywali i gratulowali, po czym odchodzili, zostawiając ich samych. Matei stał tuż obok i cieszył się razem z nimi, gdyż on najlepiej wiedział, jak to jest odzyskać najbliższych. Podszedł też Kirue, który wiedział, jak to jest bliskich stracić, a także Maks wzruszony chyba najbardziej, ponieważ on nawet nie znał swojej rodziny. Porzucony gdzieś w slumsach, przygarnięty przez żonę marynarza, od najmłodszych lat zapędzony do pracy, w końcu trafił na statek. Dopiero wśród Tae-Nai poczuł się potrzebny.

— Czy jest tu gdzieś Wilk? — Nair rozejrzał się dookoła. Nadal była jeszcze noc, choć na wschodzie przecinały niebo pierwsze jaśniejsze smugi.

— Jestem — odparł góral. — Zbieramy ekipę poszukiwawczą, może uda się odnaleźć Byka. Ty też mógłbyś nie robić takich rzeczy. Z okazji zwycięstwa należy pić, a nie umierać. — Zaśmiał się serdecznie, poruszony jak inni.

— Wilku, niech któryś pójdzie do zamku, oni czekają na wieści. — Nair dochodził do siebie, co było słyhać w jego głosie.

— Już kapłani poszli, o nic się nie kłopotz. Zdrowiej, bo wojna przed nami. — Wilk poklepał przyjaciela.

Kwadrans później grupa złożona z górali i przybyszów wyruszyła na poszukiwania zarówno Byka, jak i ukrywających się w mieście zakonników czy żołnierzy. Dołączyło kilkudziesięciu mieszkańców Mare, zwykłych rzemieślników i sklepikarzy,

mieszkających w pobliżu rynku. Od paru godzin ukradkiem obserwowali bitwę, a potem odwrót, a właściwie ucieczkę, królewskich. Wreszcie mogli wyjść z piwnic albo strychów. Zgłaszali się na ochotnika z wdzięczności za uwolnienie miasteczka od zarazy, jaką stanowili ludzie króla Anvila. Kiedyś nie było ich tak wielu, ale od jakiegoś czasu przybywali codziennie w coraz większej liczbie. Król nałożył na mieszkańców kontrybucję, na mocy której żołnierze przetrząsali zagrody i domostwa, zgarniając dla siebie wszystko, czego zapragnęli — rzecz jasna bez zapłaty. Każdy sprzeciw przeciwko jawnej grabieży tłumiony był w zarodku, a ludzie karani chłostą albo wtrącani do więziennej klitki, gdzie w ciasnocie i brudzie siedzieli całe tygodnie, a nawet miesiące.

Miejska strażnica posiadała dwie cele, z których ta mniejsza przeznaczona była dla szczególnie „niebezpiecznych zbrodniarzy”. Wychodzili z niej tylko ci, którzy zapłacili karę nałożoną przez eseńskiego sędziego, w monecie lub towarze, często przewyższającą wartość majątku dłużnika. Mieszkańcy stworzyli nawet specjalny fundusz, żeby pomóc wykupić się najbiedniejszym, ale wysokość kar rosła z tygodnia na tydzień. Kiedy bitwa dobiegła końca, więźniów można było wreszcie uwolnić.

Ostatnim „niebezpiecznym zbrodniarzem” okrzyknięto Kalę, toteż strażnicy używali sobie na nim, bijąc i okaleczając dla rozrywki.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to zaledwie początek odzyskiwania wolności, jednak wieść już poszła w świat i zaczynała żyć własnym życiem. Opisywana w niej potyczka urosła do rozmiarów wielkiej bitwy, a porażka królewskich do pogromu. Choć, jak każda plotka, zawierała prawdę tylko w części, to z pewnością przywracała nadzieję.

Grupa konnych wraz z szarymi zwiadowcami Tae-Nai, a także mieszkańcami Mare przemierzała miasto, sprawdzając uliczka po ulicze. Wilk całkiem nieźle radził sobie w siodle, mimo że na co dzień sylscy górale nie używali koni. Na górskich szlakach były nieprzydatne, a całe miasteczko dało się obejść w kilka godzin. Zresztą Sylowie nie należeli do zapalonych wędrowców. Nawet wyprawa do Geleny nie była dla nich specjalnie kusząca, gdyż większość niezbędnych artykułów dostarczali kupcy. Na rynku w Mare można było kupić właściwie wszystko, zarówno żywność, odzież, jak i narzędzia czy broń. To byli spokojni ludzie, którym do szczęścia wystarczały góry, własna chata z oczekującą w niej żoną i dzieciakami, wypad z kamratami na polowanie albo do winiarni Stepha. Tylko nieliczni wypuszczali się gdzieś dalej, zwykle bardziej z powodu żylki podróżniczej, chęci przeżycia przygody, niż z potrzeby. Na szczęście nie wcielano Sylów ani Morovów do imperialnej armii, gdyż eseńscy królowie nie darzyli zaufaniem podbitych narodów.

Matei też wyruszył z góralami na polowanie. Właściwie każdy miał jakieś porachunki z królewskimi. Trzeba było jednak pokoleń, by zrozumieć, że tylko wspólnie można przeciw nim stanąć, biorąc pod uwagę wielkość i siłę eseńskiej armii, a także liczbę zakonnych parających się wyrafinowaną magią zdolną przenikać ludzkie myśli.

— Kim jest Byku? — zapytał Matei. — Wydawało się, jakby wiele znaczył dla Naira.

— To góral z Zaskala, mojej wioski, nikt szczególny — odparł Wilk. — Kiedy na tronie Esenii zasiadła królowa Sylwia, a później jej syn, Edmur Anwil III, na tych terenach zaczęło się źle dziać. Królewscy szczególnie upodobali sobie polowania na morovskich

naznaczonych. My od zawsze z Morovami w przyjaźni, to i gdzie mieliby uciekać jak nie tu. Trochę im pomagaliśmy, ukrywaliśmy w górach. Nieraz przyszło i topora użyć. No to dobrali się w końcu i do nas, jak dotrzemy do wioski, sam zobaczysz. Byku był w miasteczku, kiedy schwytali Kalę. To Alierczyk, szachinszach czyli król, a na dodatek bardzo mocny w magii. Gdyby nie on, w Zaskalu nie przetrwałby ani jeden człowiek. Dlatego przyszliśmy się o niego bić, choćby nie wiem co. Kalę odzyskaliśmy, dzięki wam, ale Byku przepadł.

Wielu już zginęło, na przykład Jall, a taki dobry człowiek i przyjaciel z niego był, albo Nut, którego z całą rodziną spalili, został tylko jego synek, sierotka. Wychowywaliśmy się wszyscy razem, a teraz ich już nie ma.

Nair jest królem Morovii, choć jeszcze nie było koronacji, bo niby jak, ale dla nas, zwykłych górali, ma wiele szacunku i traktuje jak przyjaciół. Czasem sobie myślę, że niewola i prześladowania pomagają ludziom dojrzeć innych. Nawet królowie rozumieją, że bez poddanych nie dadzą rady, a wtedy zaczynają ich doceniać. Nair nie jest głupcem, człowiekiem zaślepionym władzą, ale gdyby nie ta wojna z pewnością nie przyjechałby do Sylii z powodu takich zwykłych górali jak ja czy Byku.

— To prawda, szczerą prawdą, Wilku. — Matei pokiwał głową. — Wspólne nieszczęście zbliża i uczy. Myślę, że dzięki temu Nair będzie dobrym królem.

Mare było dobrym miejscem do życia — otoczone górami, zaciszne i ciepłe. Kamieniczki pomalowane na jasne, ciepłe kolory, z gontowymi dachami, wyglądały niezwykle malowniczo.

Jechali małymi uliczkami odprowadzani wzrokiem mieszkańców, którzy powychodzili z domów, obserwując oddział. To było niezwykłe wydarzenie, bo oprócz Sylów i Morovów pojawili się jacyś wyspiarze, obcy, nigdy wcześniej nie widywani w tych stronach. Wysocy, gibcy, poruszający się miękko, wręcz tanecznie, wzbudzali wielkie zainteresowanie. Kobiety z ciekawością zerkały na ich urodziwe twarze, długie, proste włosy i niezwykle, lekko skośne oczy. Oni rozglądali się nieśmiało, otrzymując w zamian zalotne spojrzenia i uśmieški.

W asyście ciekawskich, ale też z ich pomocą, oddział przeszukiwał dom po domu, sutereny i piwnice, co i rusz wyprowadzając z nich eseńskich żołnierzy. Gdzieniedzie mieszkańcy sami wywlekli z domu ukrywającego się zakonnika. Ci próbowali bronić się za pomocą magii, jednak to nie działało zbyt dobrze na obcych. Szamani z wysp zadbali o to, by osłonić ich umysły. Poszukiwania trwały kilka godzin, przetrząśnięto każdy dom, każdą komórkę, ale Byka ani śladu, zatem Wilk zarządził koniec. Kiedy wrócili na plac, zastali przygotowane stosy, na których ułożono już zabitych. Z pogrzebem Nair kazał poczekać na rodziny, jeśli mieszkały w pobliżu. Kapłani, którzy wyruszyli o świcie, powiadomili już z pewnością zamek i Zaskale.

Nair czuł się niezłe, jak na przeżycia tego dnia, a Mirie też już odzyskała świadomość. Siedziała na uboczu, oparta o pień drzewa, zdając się całkowicie zatopiona we własnych myślach. Chloe, uporawszy się z opatrzaniem rannych, podeszła do niej i przysiadła obok, nie mówiąc ani jednego słowa. Olande nauczył ich posługiwać się eseńskim, a także co nieco morovskim, ale nie zamierzała rozpocząć rozmowy. Czekala. Jeśli kobieta zechce coś powiedzieć, to tylko z własnej woli, własnej potrzeby.

Przesiedziały tak dobre pół godziny, gdy nagle Mirie zapytała:

— Czy możesz przyprowadzić Naira? Poproś też Anchela, by przynieśli Kalę albo nie, ja do nich pójdę.

Chloe pogładziła ją po ramieniu, po czym wstała, podała Mirie rękę i pomogła jej wstać, co na moment wywołało uśmiech na twarzy Morovki.

Podeszły do leżącego na prowizorycznej pryczy Kali — Mirie usiadła na ziemi tuż obok niego, a Chloe poszła po ludzi, o których poprosiła bajarka.

— Usiądźcie — nakazała krótko — bo to potrwa. Wielu z was, szczególnie naznaczeni, zna mnie od lat. Niektórzy byliście jeszcze dziećmi, kiedy przeprowadzałam was do Sylii razem z rodzicami. Wiedzieliście, że zajmowałam się zielarstwem — ot babka Mirie, bajarka. Przychodzili do mojej chaty wasi ojcowie, a czasem matki, kiedy trzeba było pomóc przy porodzie albo poskładać złamane kości, czy wyleczyć z gorączki. Poza takimi okazjami nikt mnie nie odwiedzał i nikt nie interesował się moim losem. Bardziej się mnie bali, niż lubili. Tak było mi wygodnie, nikt nie przyjaźnił się ze mną na tyle, żeby zadawać pytania. Nadszedł jednak czas na wyjaśnienia, ponieważ zdarzyło się coś niespodziewanego, ale o tym później.

Nazywam się Elaron Mirie Adan, jedyne dziecko Kasara, naznaczonego.

— Kasar nie miał dzieci — wtrącił się Nair zdumiony tym, co usłyszał.

— To nieprawda, miał mnie, córkę — przerwała mu stanowczo. — Od momentu moich narodzin rodzice wiedzieli, że jestem inna. Morovskie kobiety nie posiadały zdolności magicznych, choć podobno zdarzały się takie co kilka pokoleń. Kiedy zauważyli, że ja je mam, na dodatek innego rodzaju niż naznaczeni, byli zdumieni i przerażeni jednocześnie. Nie potrafili przyznać się przed światem, że ich dziecko jest ułomne, jak uważali, dlatego wychowywałam się w rodzinie jednej ze służek mojej matki. Dopiero jako dziesięciolatka dowiedziałam się, kim jestem. Rodzice zakazali mi nawet wspominać o tym, co pojawiał się od czasu do czasu, czyli radości nie do opisania, rozpiekającej energii, jednym słowem magii. W zaciszu domu uczyli, jak to ukrywać i kontrolować. Straszili, że jeśli dowie się o mnie król z Esenii, to cała rodzina trafi do więzienia, a może nawet zostanie skazana na śmierć. Dlatego nie wolno mi było mówić do nich mamó i tato.

Przez te wszystkie lata ludzie mi zazdrościli, że pani domu osobiście zajmowała się edukacją dziecka zwykłej służącej. Rozumieli jednak, dlaczego to robiła. Przyjaciółki okazywały jej współczucie jako bezpłodnej, nieszczęśliwej kobiecie.

Nikt nie wątpił i o nic nie pytał, aż do wizyty pewnego zakonnika z Geleny. Od razu rozpoznał, kim jestem, i oznajmił, że zabiera mnie do Esenii. Ojciec, mimo strachu, postanowił odmówić, gdyż zapewne mnie kochał, mimo wszystko. Zakonnik wyjechał, ale kilka dni później jacyś zbójce zaatakowali nasz dom — znienacka, późną nocą. Mieszkaliśmy nad samym oceanem, z dala od innych, toteż z łatwością wtargnęli na teren.

Najpierw podpalili zabudowania gospodarcze, a kiedy ludzie zaalarmowani rżeniem koni i wyciem psów wybiegli na zewnątrz, by ratować dobytek, zaczęli padać jak muchy od gradu strzał łuczników. Pierwszy zginął ojciec, jako że stanowił największe zagrożenie. Próbowałam walczyć, nawet udało mi się zabić kilku, ale trudno było wysledzić ludzi skrytych w ciemnościach.

Mieszkańców domu miotających się w świetle pożogi wybili w kwadrans, mnie ranili tylko w ramię. Półprzytomną schwytali, wywlekli przed płonąca bramę i tam zgwałcili. Już nie miałam sił, by się bronić, ale pamiętam wszystko. Było ich kilku, brutalnych i bezlitosnych. Po wszystkim, spętana jak prosię, przerzucili przez siodło i wywieźli. Nie zapomnieli jednak opatrzyć rany, a może nawet wyleczyć magią, gdyż przestałam odczuwać ból. Nie wiedziałam, dokąd mnie wiozą, byłam sparaliżowana strachem, z obrazem masakry pod powiekami i pewnością, że nie dam rady z tym żyć. Wtedy pomyślałam o magii, o tym, jak jej użyć, by zadać sobie śmierć.

Mirie przerwała na moment, żeby złapać tchu. Rozejrzała się po strapionych twarzach, westchnęła ciężko i kontynuowała z widocznym w oczach bólem.

— Zebrałam się w sobie, usiłując skierować strumień magii w swoje ciało, żeby je unicestwić. Nie pamiętam, co się wtedy stało, ale jakiś czas później oprzytomniałam, ciągle spętana na końskim grzbiecie, tyle że wokół nie było nikogo, żadnych jeźdźców, żołnierzy, pustka. Mój koń dobre parę godzin stał w miejscu jak posąg, jednak w końcu się ruszył, pewnie z głodu i braku wody. Człapał tak przed siebie gościńcem, aż dotarliśmy do małej osady nad oceanem. Miejscowi, zdumieni i przerażeni, czym prędzej zdjęli mnie z siodła i ukryli w stajni, podobnie jak konia, niszcząc wszystkie przedmioty należące do królewskich, nawet uprzęż i siodło, choć to cenne rzeczy. Chorowałam parę tygodni, powolutku dochodząc do siebie. Wtedy gospodarz wywiózł mnie do rybackiej chaty w małej zatoce i zostawił z zapasem jedzenia na kilka dni oraz niewielkim tobołkiem ubrań na zmianę. Jego żona pocałowała mnie na pożegnanie w czoło, obiecując pomoc od czasu do czasu.

Żyłam więc sama na całkowitym odludziu. Nauczyłam się łowić ryby, zbierać owoce w pobliskim lesie, a nawet polować z pomocą prymitywnego łuku, który zostawił mi ten człowiek. Przybył tylko raz, przywożąc mi parę bochenków chleba, woreczek mąki, jajka i trochę suszonego mięsa. Odjeżdżając, otwarcie powiedział, że boi się o swoją rodzinę i więcej nie wróci.

Najgorsze było przede mną. Wkrótce odkryłam, że jestem w ciąży. Bez środków do życia, jakiegokolwiek pomocy, na dodatek brzemienna. Nie było czasu na rozpacz i załamywanie rąk. Zrozumiałam, że muszę się stamtąd ruszyć, poszukać spokojnego miejsca, gdzie nikt by mnie nie znał, ale na tyle blisko ludzi, żeby móc przetrwać. Po paru dniach wędrówki dotarłam do Ore, niewielkiej wioski rybackiej. Opowiedziałam łzawą historyjkę o synu państwa, u których służyłam, o tym, jak mnie rozkochał i porzucił w ciąży. Jego rodzina chciała zapłacić i kazała o nim zapomnieć. Nie mogłam tego znieść, więc odeszłam. Wieśniacy mi współczuli, pomstując na paniczyka. Jedna z rodzin postanowiła pomóc, dając pracę za pokoić na poddaszu.

Tam urodziłam syna, zdrowego, ślicznego chłopczyka. Pokochałam go od pierwszej chwili, pomimo że różnił się od Morovów przede wszystkim kolorem skóry, jaśniejszej niż moja. Ludzie pomogli mi zbudować niewielką chatę na obrzeżu wsi, blisko lasu, w miejscu, które sama wybrałam.

Przeżyłam tam sporo szczęśliwych lat, zajmując się synem, zielarstwem i leczeniem, do którego miałam wrodzony dar. Przydarzyło mi się nawet kilku adoratorów, ale jakoś nic z tych zalotów nie wyszło. Byłam inna i wieśniacy to czuli, toteż

wraz z wiekiem coraz bardziej odsuwałam się od nich, żyjąc niby wśród ludzi, a jednak osobno. Mimo to czułam się naprawdę szczęśliwa.

Mój syn, któremu nadałam imię jednego z bogów, Hona, gdyż jak on kochał zwierzęta, był dla mnie oparciem i motywacją do życia. Co parę dni znosił do domu jakiegoś rannego lisa albo kruka ze złamanym skrzydłem. Wspaniałe, współczujące i kochające dziecko. Pewnego dnia jednak dostrzegł, jak bardzo różni się od innych dzieci i zaczął zadawać pytania: Dlaczego mieszkamy sami, gdzie jest jego ojciec? Kim on jest? Czemu skóra innych ludzi jest ciemna, a jego taka biała? — Te i inne pytania padały coraz częściej. W końcu zapytał o to, co niepokoiło go najbardziej, czyli magię.

Postanowiłam powiedzieć mu prawdę. Był mądrym chłopcem, dojrzalszym od swoich rówieśników. Słuchał z coraz szerzej otwartymi oczami i narastającym w nich żalem. W pewnym momencie zaczął płakać, a potem krzyczeć z przerażeniem i nienawiścią. Nie mógł się pogodzić z tym, że jego ojcem był eseński żołdak czy zakonnik gwałciciel. Spojrzał na mnie ze złością, może nawet z odrazą, a potem wyszedł z domu i nie wrócił ani tego, ani następnego dnia. Pomyślałam, że swoją złość skierował przeciwko mnie, nie mając nikogo innego pod ręką. Odszedł, chcąc mnie ukarać za winy innych, ale przemyślił to i wrócił. Tak się nie stało. Szukałam wszędzie, pytałam — nadaremno. Nikt go nie widział i nic o nim nie słyszał, rozplątał się niczym mgłą. Miał wtedy zaledwie czternaście lat, mój ukochany syn. Choć nigdy nie przestałam szukać, to nadzieja nikła coraz bardziej, a ja zapadłam się najpierw w rozpacz a potem w jakiejś obojętności, apatii. Dopiero, kiedy zaczęłam pomagać naznaczonym, trochę odżyłam.

Tym razem umilkła na dłużej, aż w końcu, łapiąc powietrze z trudem, jak ryba wyrzucona z wody, powiedziała krótko:

— Spotkałam go wczoraj. Od tamtego dnia minęło ponad dwadzieścia lat, ale nie miałam wątpliwości. On też mnie rozpoznał, wiem to. Morovski mag usiłujący zabić nas wszystkich to mój syn, Hon.

— Och, bogowie... — jęknął głośno jeden z naznaczonych.

Inni zareagowali różnie: Nair przycisnęła dłoń do czoła, po czym opuścił głowę kompletnie załamany i rozbity, Olande po prostu patrzył w jej oczy z bezgranicznym żalem, Kala rozplakał się jak dziecko, Wilk zaś kłął siarczyście, nie bardzo wiedząc kogo. Jedynie Anchel podszedł do Mirie i mocno ją przytulił jak brat. Potem odwrócił się do reszty i przemówił nieśmiałym głosem:

— To nie jest wina Mirie, nikt nie ma prawa o nic jej oskarżać. Nie zapominajcie, ilu ludziom uratowała życie, narażając własne — mówił coraz śmielej i głośniej. — To jej syn jest zdrajcą, co nie dziwi tak bardzo, zważywszy, że w połowie ma w sobie eseńską krew. Jeśli ktokolwiek jest winien, to żołdak, który ją zgwałcił. Moi rodacy, a takie bestie, tfu. — Splunął, po czym kontynuował coraz głośniej, niemal krzycząc. — Wybacz, Mirie, wybacz, jeśli potrafisz. Swoim oprawcom i swojemu synowi, a także mnie, bo jak inni patrzyłem na takie zbrodnie i nawet nie próbowałem coś z tym zrobić. Nikt z was nie ma prawa winić tej kobiety, pamiętajcie. Ona przeszła przez piekło i nadal przechodzi. Mirie, jesteś najlepszą osobą, jaką spotkałem w swoim życiu. — Ucałował dłonie kobiety i umilkł.

— Jasne, że tak — potwierdził Wilk, naszą wieś też uratowała razem z Kalą.

— Mnie wyprowadziła z Morovii wraz z siostrą i młodszym bratem — dodał jeden z naznaczonych.

— I moją siostrę, Caril — odezwał się w końcu Nair.

— I moją — dodał ktoś inny.

— Mnie także.

— Mojego brata i matkę przemyciła do Sylii — przekrzykiwali się nawzajem, gdyż niemal każdy z nich coś jej zawdzięczał.

— Nie obawiaj się, Mirie. Tak, jak ty nie opuściłaś nas, tak my nie opuścimy ciebie, przyrzekam. — Uroczyście przysiągł Nair. — Twoje miejsce jest tu z nami. Nie ty sprawiłaś, że twój syn się stoczył. Bardzo mi przykro, że tak się stało, za ciebie i za niego też. Mam nadzieję, że nie stanie więcej na naszej drodze, gdyż musiałbym go zabić.

Mirie milczała, tylko płynące po policzkach łzy świadczyły o cierpieniu. Było najgorsze z możliwych, bo zadane przez osobę najbliższą sercu.

Nagle rozległ się dźwięk tak przeraźliwy, że wszyscy podskoczyli. To kuk Talar walił chochlą w dno wielkiego kotła jak w bęben, wołając na kolację. Nie wiadomo, czy zdawał sobie sprawę z tego, co rozgrywało się nieopodal, czy po prostu był gotów z posiłkiem.

Zapędził do pracy wszystkich swoich kuchcików, pomogły też miejscowe kobiety i wspólnie stworzyli naprawdę uroczyste przyjęcie godne zwycięstwa, które miało miejsce parę godzin wcześniej. W kociołkach ustawionych na zbudowanych z kamieni paleniskach bulgotał sos z kawałkami baraniego mięsa i mnóstwem przypraw. Talar uwielbiał, wprost kochał przyprawy, które zdobywał, sobie tylko znanymi sposobami, gdziekolwiek się znalazł. Gulasz pachniał więc pieprzem z Alerii, majerankiem i bazylią z Morowii, szafranem z Taei oraz czymś tam jeszcze. Wszystkie tajemnice znał jedynie sam Talar i nie odkrywał ich zbyt chętnie.

Na wielkich brytfannach piekły się słodkie ziemniaki i placki ajsz szami, a w mniejszych garnkach gęstniał budyń — specjalność kuchni.

Podawali się z miejsc z niejaką ulgą. Ciężar opowieści Mirie był tak przytłaczający, że gong rozbrzmiał w ich uszach niczym oczyszczająca muzyka. Anchel podał bajarce ramię, prowadząc ją do stołów ustawionych w podkowie. Może wystrój nie był idealny, gdyż przytłaczane przez mieszkańców meble miały różne kształty i rozmiary, ale przykryte serwetami i tak wyglądały elegancko.

Jeden z górali przyniósł Kałę, dla którego przygotowano głębokie krzesło z wysokim oparciem, jako że nadal nie czuł się najlepiej. Mebel był bardzo wystawny z rzeźbieniami zdobionymi złotem, toteż ranny czuł się w nim trochę śmiesznie i głupio. Za to Wilk patrzył na niego z niekłamany szacunkiem.

— Kala, wyglądasz jak prawdziwy władca — powiedział, siadając obok na drewnianym zydlu. — Co ja gadam, przecież ty jesteś władcą. To dlatego pasujesz do tego tronu — dorzucił, kiwając głową z podziwem. — Wyobrażasz sobie, jak ja bym w nim wyglądał?

— Jak brodaty zbój w koronkach — stwierdził młody góral Klim, zwany Myszą, puszczając do Kali oko.

— Ty patrz na siebie. — Wilk odszczeknął się natychmiast. — Masz na głowie

szarą miotłę, nie to co ja. — Pogładził dłonią zmierzwioną, kudłatą czuprynę.

Wszyscy wokół parsknęli śmiechem, nawet poważny dowódca szarych, Natenge, też się uśmiechnął.

Kucharz poganiał pomocników, choć oni właściwie nie potrzebowali zachęty, pracując w pocie czoła z własnej woli. Wkrótce na stołach pojawiły się półmiski z gorącymi chlebkami i ziemniakami, wazy z gulaszem, ciasta i, rzecz oczywista, budyń w różnych kolorach oraz smakach. Z winiarni Stepha, a także z innych, prywatnych piwniczek, donoszono kosze z butelkami najlepszych win w całym imperium.

Przyjęcie nie trwało zbyt długo, gdyż czekał ich jeszcze jeden trudny obowiązek, godny pogrzeb bohaterów. Nieopodal, na przedmieściu, przygotowano stosy, na których ułożono już zwłoki wszystkich zabitych. Nadszedł czas, aby je podpalić. Zanim jednak to się stało, do Naira podszedł Matei z człowiekiem w szarym odzieniu.

— Nairze, chciałbym przedstawić ci Natenge, dowódcę tancerzy — powiedział. — On ma pewną prośbę.

— Tancerzy? — Morov najwyraźniej nie zrozumiał.

— Nazywamy ich tak z powodu sposobu walki.

— Ach, wiem, widziałem trochę, choć niezbyt wiele. — Nair pokiwał głową. — Wszystko działo się tak szybko, a przy tym w ciemnościach, dlatego twoi ludzie — zwrócił się do Natenge — ledwie migali mi przed oczami. Możesz prosić, o co chcesz, w końcu uratowaliście nam życie. Jeśli tylko będę w stanie...

— My chcieli zaszpiewacz tym duchom — poprosił tancerz łamanym eseńskim — bo tak czeba. — Skłonił głowę, wycofując się o krok w oczekiwaniu na decyzję.

— To odwieczny zwyczaj na mojej wyspie — wyjaśnił Matei. — Pieśń otwiera duchom drogę do nowego życia, a jednocześnie zawiera błaganie o ich opiekę i pomoc żyjącym.

— Nam pomogliście przeżyć, a im chcecie pomóc odejść. Rozumiem, oczywiście, że się zgadzam — uśmiechnął się Nair. — Nie sądzę, aby muzyka mogła komukolwiek zaszkodzić.

Ruszyli razem w pobliże stosów. Tancerze podeszli z pochodniami, ale nie tylko oni. Byli tam też wojownicy Kirue oraz łucznicy Majo. Coraz więcej ludzi otaczało teren, zapalając pochodnie. Pieśń rozpoczął starszy mężczyzna z oddziału Majo. Potem przyłączali się kolejni, a wkrótce śpiewali już wszyscy. Słowa nie były zrozumiałe, ale płynąca melodia, z początku cicha i spokojna, powoli nabierała mocy. W jej rytmie zaczęli tańczyć. Płonące pochodnie wirowały to wokół nich, to wysoko nad głowami. Moc pieśni cały czas rosła, a wojownicy, nie ustając w tańcu, zaczęli podpalać stosy. Zarówno górale jak i Morowowie patrzyli na ten spektakl poświęcony życiu i śmierci, jedni płacząc, a inni włączając się w taniec, a nawet próbując śpiewać. Nigdy nie widzieli czegoś równie pięknego i poruszającego. Była już noc, ale pieśń trwała — tak długo, jak długo płonęły stosy.

Chloe szła wzdłuż obozowiska, zerkając na zmęczone twarze śpiących ludzi. Wokół była cisza, jedynie śwąd spalenizny przypominał o zakończonych późną nocą uroczystościach. W bladym świetle świtu dostrzegła przechadzające się pary wartowników uważnie przepatrujących otoczenie. Nikt nie wiedział, czy królewscy

uciekli na dobre, czy w pobliżu nie było więcej oddziałów, które mogłyby zaatakować obóz, toteż Nair dmuchał na zimne, nakazując większą liczbę wart, niż byłoby trzeba w normalnych okolicznościach.

Szamanka pochylała się nad rannymi, uważnie spoglądając na twarze i dotykając skóry, by sprawdzić, czy nie trawi ich gorączka. Noc była dość chłodna, toteż poprawiała zrzucone koce, opatulając chorych szczelnie pod samą brodę. Podeszła do Kali, przykucnęła i obserwowowała go przez chwilę. Spał niespokojnie, drżąc na całym ciele, a po jego bladej twarzy spływały stróżki potu. Sprawdziła czoło, było nienaturalnie zimne, wręcz lodowate. Sięgnęła do przewieszanej przez ramię torby i wyciągnęła niewielką buteleczkę. Wprawnym ruchem ucisnęła mu policzki, zmuszając w ten sposób do otwarcia ust, po czym z wielką ostrożnością wlała w nie kilka kropel mikstury. Odczekała parę minut, a kiedy oddech chłopaka uspokoił się nieco i ustąpiły dreszcze, wstała i ruszyła do kolejnych rannych. W pobliżu spała Mirie opatulona po czubek głowy. Chloe pochylała się ostrożnie, żeby jej nie zbudzić — dość przeżyła poprzedniego dnia. Nie słysząc oddechu, leciutko pociągnęła za koc naciągnięty na głowę kobiety. Pod spodem leżała zwinięta w kłębek spora garść trawy, a posłanie było puste — Mirie zniknęła.